

Odgłosy

NUMER 33 (1429) ROK XXVIII

17 SIERPNI 1985 ROKU

CENA 20 ZŁ

FAMA'85

(1) To jest buda psa.
Ten pies to suka FAMA.
Ona jest stara, ma 15 lat
Mówią o niej, że się skundliła z ALMA-ARTEM
Ona nie ma uprzedzeń rasowych
Ale nie daje byle komu.

10

Zapiski z przeciekającej tratwy

JOLANTA WRÓŃSKA



Foto: Andrzej Morawski

- „Wielki las”
Zbigniewa Nienackiego
- Wybory zdrowego rozsądku
- Podróż do grodu św. Marka
- Księga magii i fanaberii

Ambasada

ROMAN KUBIAK

Mur, betonowy plot pod niecioliną kolczastego drutu. Mur jest szczelny — żeby wzrok nie slegał dalej. Po tej i po tamtej stronie jest mur. Po tamtej stronie słychać hałas ulicy: warkot silników, klaksony, sygnał karetki pogotowia. A czasem to słychać nawet bez troski śmiech — jak wyzwanie, jak potępienie — jak policzek.

Po tej stronie nie słychać nic.

Po tamtej stronie oczy widzą tylko ten mur. I jeszcze skrawek nieba na granicy matowej bliny. Po niebie suna obłoki. Poruszała się. Wiesz ten hałas zza muru nie jest oszustwem. Obłoki poruszała się — to także ważne... i tak boli.

A wtedy zaczyna działać wyobraźnia. Przenosi ciało na tamtą stronę, lekko stawia na chodniku, wybiera miejsca — dużo miejsc, gdzie trzeba być już teraz, zaraz. Gdzie trzeba spotykać się, rozmawiać, milczeć. Aż zachodzące słońce brutalnie wderze się w dostępny oczom pasek nieba, zarzy do celi. I już po marzeniach. Bezlitosne promienie oświetlą przy- cze, drewniany stół, miske. To jest twój dzień. Tamto za murem istnieje, owszem — lecz może istnieć bez ciebie. A ty ludzisz się...

Mur. W murze jest wylot: szara, stalowa brama z naleśnikami drzwiami i maleńkim okienkiem. Na ścianie przycisk dzwonnka. Ostry metaliczny dźwięk prowokuje stukot butów po tamtej stronie. Kroki, kroki, lek podnoszonej klawy

okienka, czyjaś dłoń w szczelnie popycha tam kartkę papieru, czyjaś oczy. I znowu cisza.

Ale w bramie są dwie szpar-ki, dwie dziurki chyba po sru- bach przedwcześnie wypadłych z ramy. Co widać? To jest ścianka — wysoki plot z s'atki, front budynku, zakratowane okna, człowiek z taczka. To wszystko.

Nagle stalowa brama zarzyta, rozwiera się. Strażnik prowadzi ku niskim schodom pie- trowego budynku z białej ce- gły. Na rogu czerwona tabli- ca: „ZAKŁAD KARNY”. Gdzieś za plecami słychać łaskot za- trząskiwanych wrót.

Biały budynek trochę przy- pomina pocztowy urząd, albo bank, kratami strzeżony tajem- nicy swego wnętrza. Dwa od- dzielne wejścia, poczekalnia, pokoje rozmów.

Oni, tam, nazywają to mie- sce „ambasadą”.

W „ambasadzie” istnieje czas. W celi takiego pro- blemu nie ma. Nie ma pół roku, nie ma potrzeby za- kładania szalik i ciepłych re- kawic, gdy opadała liście z drzew.

Tam nie widać kiedy opada- ją liście z drzew. Czy li- ście z drzew rzeczywiście opadają... Są takie miejsca na ziemi, gdzie ruch planety nie obowiązuje, a ootecie „czas” wydaje się bzdurne — wymy- ślone przez intelek- tualistów.

Bo przecież tu-

W każdy poniedziałek „rodeo” w Zgierzu!

EDWARD BRYL

1 lipca 1985 roku o godz. 14.30 mieszkańcy tego miasta byli świadkami niecodziennego widowiska. Samochód marki „Zuk” należący do Rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Zgierzach wyladowany maleńkimi kłatkami, w których ciasno poupychano skomlące psy, wlokł z sobą kilka powiązanych łańcuchami czworonogów. Jeden pies zwisał bezwładnie po- zostawiając na ziemi krwawą smugę. Za wozem biegła z piaz- czem gromadka dzieci. Jakaś starszuszka błagała głośno — oddaj- cie mi moją suczkę, zapłacę każdą cenę... Nikt jej nawet nie chciał słuchać. Samochód nagle dodał gazu i rakarska karawa- na zniknęła z oczu zrozpaczonej dzieciarni.

Owe nieszczęsne zwierzątki wzięto w ten sposób do schroniska w Łęczycy. Zatem cała siódemka spętana łańcuchami musiała tę drogę pokonać w zawrotnym tempie. Stan, w jakim je oddano był godny pożałowania. Polamane nogi, poodzierana skóra, jeden pies ze złamanym kręgiem szyjnym, całkowicie sparaliżowany, z potrzaskaną miednicą... jeszcze żył. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami w Łodzi dysponuje obszerną doku- mentacją...

Psie „rodeo” zaczęło się 1 czerwca 1985 roku, kiedy to Pre- zydent Miasta Zgierza W. Orczykowski postanowił zrobić por- ządek z bezpańskimi psami na podległym sobie terenie. Wydał absolutnie bezprawnie odpowiednie zarządzenie, w myśl którego każdy, kto doprowadzi czworonoga do tzw. ruchomego punktu skupu otrzymuje z kasy miejskiej 300 złotych! Łapanki mają regularnie odbywać się w każdy poniedziałek.

Pierwsi zrozumieli apel burmistrza obywatele spod budek z piwem. Rachunek prosty — dwa pieski równa się butelka „Vistuli”. Za nimi tu i ówdzie ruszyła młodzież szkolna. Jej sadystyczne zapędy czytelnicy mieli już możliwość poznać przy okazji publikacji artykułu „Koci horror”. Trudno się teraz dzi- wić, że wobec okrutnych zabaw miłusińskich, polegających na krajanu zwierząt żywcem, obdzieraniu ich ze skóry, wydłubywa- niu oczu, zgierska milicja była bezradna, a zjawisko przybierało niepokojące rozmiary — powstała i grasowała wysoce wyspecja- lizowana w swoim rzemiośle banda nastolatków.

Wypada, aby Kuratorium wyciągnęło z tego zdarzenia odpowiednie wnioski. Dotąd całkowicie odżegnywało się od współpracy z TOZ. Twierdzono, iż programy są zbyt- nio przeciążone, brakuje czasu na mało ważny „zwierzęcy” temat. Inspektorów Towarzystwa nie

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113,

Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wronska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 95.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 23.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy; — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blanketu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”. 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolorportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201043-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zlecających indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada, na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2394, P-10.

Przegląd prasy

Sierpień, miesiąc tradycyjnych wakacji politycznych. W tym roku sprawa zawód wszystkim, którzy „robili w polityce” i liczyli na uroczą, trochę bezmyślny urlop. Cały ten ustalony porządek rzeczy zalał się oczywiście z powodu wyborów.

Oto Ogólnopolski Konwent Wyborczy ogłosił wykaz kandydatów na posłów z listy krajowej —

PIĘCDZIESIĄT NAZWISK

a każde tak dzwoni! No, może nie wszystkie z jednakową siłą „dźwięczą” we wszystkich zakątkach naszego kraju, bo kto na przykład w Łodzi lub Suwałkach zna Tadeusza Rycała — dyrektora mieleckiego WSK? Dotąd uważałem się za nieźle zorientowanego w polskiej „geografii” nazwisk politycznych, ale przynajmniej, że o tym człowieku, nb. o jedynym na liście krajowej, słysze po raz pierwszy.

Deklarowałem się wielokrotnie jako umiarkowany zwolennik listy krajowej, w rozumieniu instytucji prawa wyborczego — jeszcze w fazie teoretycznej dyskusji o politykach z niej płynących. Nie zmieniam zdania po opublikowaniu pierwszego pod rządami nowej ordynacji wykazu kandydatów. Mimo bogatej argumentacji nadal nie pojmuję, dlaczego wyborcy w okresach nie mogą głosować „u siebie” (i mieć potem jako „swoich” posłów) na osobistość życia publicznego z tej listy. Np. na generała Jaruzelskiego w Szczecinie, wicepremiera Rakowskiego w Sieradzu — jak dotąd — a na Witka Siemiona w Skierniewicach, jako kosciodarza z Petrykózów gmina Zabia Wola... Z politycznego punktu widzenia lista krajowa ma charakter plebisytu popularności, dlatego podejmuję się z cory wskazać, kto zdołałby największą liczbę głosów. Politycy bowiem, członkowie najwyższych władz państwowych i partii, ludzie z pierwszych stron gazet, z natury rzeczy mają swych przeciwników (czekoladki, jak wskazują sondaże opinii publicznej, w stale malejącej ilości), co może się uwidocznić w samym akcie wyborczym; natomiast wszyscy kochają radio-wą komentatorkę Krystynę Zielińską...

W każdym razie dla wszystkich kandydatów na posłów (nie tylko z listy krajowej) nadziedził czas pracowity: będą przedstawiali się wyborcom podczas obywatelskich zebrań konsultacyjnych, będą udzielali się w środkach masowego przekazu, będą aktywnie uczestniczyli w innych przejawach życia zbiorowego. Niektórzy już zaczęli.

Między innymi Halina Auderska udzieliła „Kulturze” (nr 10 — 85.08.07.) swego „poselskiego” wywiadu pt. „Wiedza i doświadczenie”. Odpowiedziała w nim na pytanie

CZY PISARZE POWINNI BRĄC AKTYWNY UDZIAŁ W ŻYCIU POLITYCZNYM?

„To zależy od temperamentu i charakteru tych ludzi. Pisarzy można zaliczyć do dwóch grup. Jedni żyją niemal wyłącznie swoją pracą twórczą i nie udzielała się w życiu politycznym, aczkolwiek to, co piszą, może być odzwierciedleniem prądów politycznych, nastrojów ludzkich, żywym obrazem epoki. Jednak ich temperament sprzyja, że potrafią tworzyć tylko w skupieniu, w samotności i nie jest im potrzebny kontakt z masami społecznymi czy politykami.

Drudzy nie mogą pisać, tworzyć bez bezpośredniego kontaktu ze społeczeństwem, z życiem politycznym. Niektórzy z nich odegrali kiedyś ważną rolę polityczną. (...)”

Otóż to. Halina Auderska mądrze i prosto poradziła sobie z odwiecznym nieporozumieniem, drażniącym całą to arcydzieło pojmowanie społecznej roli twórcy. Totalne „inżynierstwo dusz” wiera w misie szczególna i posłannictwo pisa-

rzy, malarzy czy muzyków per saldo przyniosła nam wszystkim więcej szkód niż pożytków, chociaż narodowe zyski z okresu zaborów są bezdyskusyjne (acz tylko do pewnego stopnia...). Całym sercem przychylam się do poglądu wyrażonego przez Eustachego Ryłskiego, najciekawszego ubiegłorocznego debiutanta w konkurencji prozatorskiej. „Literatura to jest opowiadanie interesujących historii” (w wywiadzie dla „Polityki” nr 21 — 85.08.25). I do prawdy, wyłącznie osobista sprawa pisarza jest jego udział w życiu publicznym — w żadnym bowiem razie nie może to być wymóg tzw. sytuacji społecznej literatury i jej twórców.

Tworzenie, nisanie „na zbył”, dla innych ludzi, jest czynnością samotniczą, tak dalece indywidualną, intymną wręcz (mimo handlowego charakteru dzieła...), że wszelkie podejmowane kiedykolwiek próby tej „uspołeczniania” dostatecznie dawno i dotkliwie skompromitowały się. Pisarz jest natomiast sam na sam z kartką papieru, potem sam na sam z wydawcą, krytykiem i czytelnikiem przede wszystkim. I tylko

TALENT DECYDUJE

o wynikach „głosowania” dokonywanego przez odbiorców w księgarniach, kioskach i na targowiskach. Talent, a nie udział pisarza w życiu publicznym czy w funkcjonowaniu literackiej organizacji. Pisarstwo jest działalnością rynkową, kierującą się tak nie lubianymi przez biednuchów ogólnymi prawami popytu i podaży...

oczywiście nie chodzi mi tu wyłącznie o brutalne i prymitywne prawa ekonomiczne. W dziedzinie literatury w gre wchodzi także zjawiska jak gusty publiczności, interesy, wartości estetyczne, normy etyczne, dobra duchowe godne popierania, anomalia intelektualne wymagające zwalczania, ideały, światopoglądy czy wręcz mody i „tryndy”. Cała ta skomplikowana paletyna współzależności sprawia, że ostateczne kryteria wartościowania w piśmarstwie są nieuchwytnie do końca, bowiem wszystkie rozstrzygnięcia nie da się sprowadzić do eszemplary; chociaż nie jest to — mimo iż inaczej chciałoby wielu — okoliczność zupełnie bez znaczenia.

Jedno jest pewne, przynajmniej dla mnie: na stan literatury nie ma i nie może mieć decydującego wpływu publiczna, pozaliteracka aktywność pisarza. A już żadnego wpływu nie ma na pewno samoorganizowanie się twórców w rozmaite związki. Te ostatnie bowiem mogą spełniać wyłącznie funkcje społeczne, nigdy zaś merytoryczne. Pisarze kładą własnym głosem wyłącznie na własnym rachunek, na to nazwisko umieszczone na okładce...

Dlatego nieco zdumiewa i bawi mnie postać wraźny przez pana przez Auderską w tym samym wywiadzie na temat pisarskich zarobków i możliwości ich zrównoleżowania.

„Trzeba też opracować nowe zasady prawa autorskiego. Tu jednak sprzeciwiałabym się „reformom”, które zmieniąby zasady honorowania za książkę. Są propozycje, żeby pisarz otrzymywał

PROCENT OD NAKŁADU

Taki system istnieje co prawda np. we Francji czy w Szwecji, ale jak wiemy z rozmów z naszymi kolegami — literatami, żyją tam z pisanja nieliczni literaci, twórcy bestsellerów. Sądzę, że nie byłoby to korzystne dla ogółu naszych pisarzy”.

A dlaczego nie? Otóż zaręczam pani prezes, że i u nas żyją z pisanja nieliczni literaci — ba, prawie każdy na gdzieś takiś „stat”. No i bardzo dobrze. Rzeczywiście bowiem z samego pisanja nie daje się żyć. Ale czy to źle. Chyba nie... Naturalnie nie zachęcam tu do systemu, w którym uprawianie literatury byłoby nieszkodliwym i społecznie niekosztownym hobby. Ale ostra gra rynkowa — w postaci właśnie procentu od nakładu — na pewno by się przydała jako skuteczne narzędzie odświeżenia, czego publicznosc nie akceptuje i nie kupuje. Czas skończyć z wiecznymi stwendystami — forse można dawać tylko na

rozruch, na inwestycje, potem pisarz musi się odciąć, dać zarobić sobie i innym (wydawcy, drukarzowi itp.). Ci, którzy nie wydola, z pożytkiem dla siebie i skarbu państwa, zajmą się czymś innym. I nie bójmy się, że na tym straci kultura narodowa. Prawdopodobnie powtórzenia się, nawet w mniejszej skali, losu Norwida jest w dzisiejszych warunkach nieznaczne.

Dajmy wszelako spokój literatom — podobno do tworzenia spokój najbardziej jest potrzebny. Weirzymy znów w sezon polityczny, czas bowiem sprzyja rozważaniom tego gatunku, wśród których na pierwszym miejscu stawiam

MYŚLI O DEMOKRACJI

— mojej ulubionej kwestii. Właśnie w okresie wyborów do Sejmiku szczególnie ważną sprawę podjął w „Prawie i Życiu” Romuald Wiśniewski. Zajął się on bowiem, w artykule pt. „Rządzenie na dole” (nr 32 — 85.08.10) demokracją praktyczną — ta najbliższą obywatela...

„W wielu demokratycznych krajach na świecie — pisze Wiśniewski — szczególnie tam, gdzie istnieje daleko posunięta decentralizacja, społeczeństwa dużo bardziej interesują się wyborami do władz miejscowych niż wyborami do parlamentu (w przekonaniu np. że ustrój i tak się nie zmienia, a sytuacja gospodarcza też raczej od parlamentu nie zależy, to zaś,

CO SIĘ ZROBI NA MIEJSCU

będzie zrobione). Często te same miejscowości w wyborach do parlamentu głosują na jedną partię (bo to wynika z oceny politycznej), a w wyborach lokalnych oddają przewagę przedstawicielom innej (bo oceniają ludzi tak, jak ich znają; według zdolności, przedsiębiorczości, srodziszowej przydatności”.

Wiśniewski, w przekonaniu (które nb. bez reszty podzielam), że „o sprawach rad narodowych winno się mówić co najmniej tyle samo, co o Sejmie”, zajmuje się przede wszystkim barierami normalnego, tj. demokratycznego funkcjonowania terenowej władzy. Oto kilka takich przeszkód: niemożność koordynowania i współpracy z przedsiębiorcami nie podporządkowanymi formalnie radom i administracji terenowej, słabość finansowa lokalnych władz, permanentne konflikty rad z wojewodami i naczelnikami...

I wreszcie: „zarówno teoretycy zajmujący się radami narodowymi, jak i sami działacze, z niepokojem podkreślają, że coraz więcej różnych aspektów władzy lokuje się na szczeblu rejonowym (objęmującym kilka, czy kilkanaście miast i gmin, bo dla jednej są za duże), (...) Mamy zatem reżim wycinek życia publicznego wymykających się spod okiściał przedstawicieli, a zatem kontroli przez społeczeństwo. (...) Rady narodowe borykają się więc ze skutkami podziału administracyjnego kraju dokonanego w roku 1975. (...) Upiękniono dziesięć lat, a nową podział kuleje coraz bardziej. Miał być dwustopniowy, a tymczasem wystrza się czterostopniowy (okręgi, województwa, rejonu oraz miasta, dzielnice i gminy). Po dziesięciu latach nie można udawać, że wszystko jest w porządku, a wadliwość nie na czasie”.

Panie Romualdzie, jak Pan mógł, no, jak Pan mógł? Czy pan nie wie, że w naszym kraju samopoczucie urzędników jest rzeczą świętą? A jeśli kto nie wierzy, niech przeczyta znakomity reportaż w „Kulturze” (nr 10 — 85.08.07) pt. „Klej biurów” — o perwersjach miasta Oleśna i tego skołatanych mieszkańców, którzy do dziś nie mogą przyjąć do siebie po transplantacji z O-polszczyzny na „Częstochowszczyznę” (wybaczenie ten niezdecydniony neologizm). Takich przypadków jest więcej na krędy granic nowych województw, że o nieszczesnych leżących, sercu mojemu najbliższych, żywcem inkorporowanych do Płocka, nie wspomnę. Życze im, mimo to, wszystkiego najlepszego.

TOMASZ SAS

Minał tydzień

KONSULTACJE SPOŁECZNE

dotyczące treści, które winien zawrzeć gen. Wojciech Jaruzelski w swym projektowanym wystąpieniu na najbliższej, czterdziestej Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku jesienią br., zostały ogłoszone w oświadczeniu rządowym złożonym przez rzecznika rządu Jerzego Urbana. W Urzędzie Rady Ministrów rozpoczął pracę telefoniczny punkt konsultacyjny, zbierający w tej sprawie opinie obywateli (telefon nr 31-48-32 w Warszawie, czynny trzy razy w tygodniu — we wtorki, środy i czwartki od godz. 15.00 do 17.00. Można także pisać listy w tej sprawie pod adresem: Prezes Rady Ministrów PRL generał armii Wojciech Jaruzelski, Al. Ujazdowskie 1/3, 00-583 Warszawa. Wyniki konsultacji zostaną opublikowane i wzięte pod uwagę przy redagowaniu tekstu wystąpienia premiera w ONZ. Z dotychczas zanotowanych wypowiedzi obywateli wynika, że najważniejszą dla nas sprawą jest utrzymanie pokoju światowego.

WOJEWÓDZKI KONWENT WYBORCZY

w Łodzi podjął uchwałę w sprawie ustalenia wykazów proponowanych kandydatów na posłów w obu okręgach wyborczych na terenie naszego województwa — nr 42 i 43. Wykaz ten został ogłoszony. Kandydaci będą przedstawiani wyborcom podczas obywatelskich zebrań konsultacyjnych. Miło nam donieść, że wśród kandydatów na posłów w okręgu nr 42 proponowany jest nasz współpracownik i kolega redakcyjny Edward Bryl, zgłoszony przez wojewódzkie władze Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

ZWIĄZKI ZAWODOWE SĄ JAK LEGIA CUDZOZIEMSKA

— nie pytamy nikogo, skąd do nas przychodzi, ani co robił przedtem. Oświadczenie takiej treści złoży publicznie Alfred Miodowicz — przewodniczący Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Powiedział też, że obecnie do związków należy ponad 5,5 miliona ludzi, a co miesiąc przybywa od 60 do 100 tys. nowych członków.

OD DAWNA NIE NOTOWANE OPADY

deszczu ogarnęły znaczną część kraju. Z wyjątkiem Mazur i Pomorza Szczecińskiego, gdzie panowały na odmianę całkiem niegorsze, jak na sierpień, upały...

W Łodzi, w ciągu kilku dni padało po około 50 milimetrów deszczu na dobę — opady wyrządziły spore szkody; wystąpiła z brzegów Olechówka, zalane zostały setki pól, magazyny paru firm, torowiska tramwajowe (przy okazji dziesiątki awarii taboru). Deszcze ujawniły też kompromitujące niechlujstwo budowlanych — dosłownie w setkach bloków teoretycznie szczerze ściany i stropy (na złazach) przepuszczały wodę jak dziurawę. kalosze. Telefonia nie wygrzebie się z awarii zapewne przez kilka miesięcy... A już w szkołach podstawowych — na lekcjach geografii ucza, że w naszym umiarkowanym klimacie, w strefie poniekąd wpływów oceanicznych, deszcze padają dość często i obficie.

W górnych i środkowych rejonach dorzeczy Wisły i Odry ogłoszone alarmy powodziowe. Fala powodziowa na górnej Odrze przekroczyła o trzy metry punkt alarmowy. Wylały dziesiątki mniejszych rzek. Opady zahamowały żniwa. Wszystkie straty trudno jeszcze oszacować.

W SZPITALU WE WŁOCŁAWKU

jedenastu niemowlakom podano preparaty wzmacniające odporność — glukozę i albuminy. Pięćro dzieci zmarło, pozostałe z ciężkim stanem. Albuminy podane noworodkom pochodziły z importu, glukozą natomiast była krajowa. Przyczyną tragedii będą znane za dwa tygodnie, gdyż tyle potrwa — zdaniem specjalistów — zbadanie toksyczności obu preparatów. Tymczasem wstrzymano stosowanie ich w szpitalach całego kraju.

ZAPADŁ WERDYKT W SPRAWIE ZATONIĘCIA

M/S „Busko Zdrój”, Izba Morska w Gdyni orzekła, że bezpośrednim powodem zatonięcia był nagły przechył statku spowodowany przesunięciem się żle umocowanego ładunku. Statek wyszedł z Oslo w stanie nie nadającym się do żeglui...

W tej sprawie ujawniono szereg liczących i groźnych zaniedbań, przypadki braku kompetencji zawodowych i moralnych kwalifikacji do pracy na morzu u licznej grupy oficerów marynarki handlowej, M. in. w kadłubie statku stwierdzono obecność blach o zbyt niskim stopniu wytrzymałości, co obciąża nie tylko naddunajską stocznię w Turku Severin, ale przede wszystkim Polski Rejestr Statków; w tratwach ratunkowych były przeterminowane rakiety (nie tylko na „Busku” — takich tratw pływa na polskich statkach 1350); większość załóg pływających; w tym i oficerowie, nie jest w ogóle przeszkolona w ratowaniu się na morzu (skandal!); dowództwa kilku polskich statków w ogóle nie zareagowały na wezwania z „Buska” i nie włączyły się do akcji. I tak dalej... Dwa wnioski: „zdrowcowe”, które jeszcze pozostały we flocie, bezwzględnie na żyletki, natomiast kadre Polskiej Marynarki Handlowej — do remontu... Moralnego.

PODNIESIONO STAWKI CELNE

na samochody — już nie liczy się na kilogramy, tylko od centymetra sześciennego pojemności składowej; za takiego np. Gólfę płać się teraz 1.112 tys. (dotąd 430 tys.). Oficjalnie chodzi o skierowanie „strumienia” dewiz do Pewexu. Faktycznie nowe cła wpłyną zapewne na hośną u autogieldziarzy. Zniesiono cło od mikrokomputerów...

„REEBERTHING” PO ŁÓDZKU

ogarnia cały świat — jak donosi nasz nieoceniony i ukochany organ popołudniowy; są nawet zawodowi reebertherzy... Ale co to jest? Posiłkując się naszą skromną wiedzą w dziedzinie tzw. języków obcych, ustaliłmy, że może mieć to coś wspólnego z odrodzeniem lub czymś w tym rodzaju. Ale może też chodzić o regenerację opon samochodowych lub odnawianie chińskiej porcelany. Dlatego błągamy kolegę (dż) o wyjaśnienie przy pomocy możliwie przystępnej polszczyzny — czym, do cholery, „toto” jest naprawdę?

VICESEKATOR

Nie tak dawno, bo trochę więcej niż przed rokiem, wybraliśmy rady narodowe i samorząd terytorialny. Teraz przygotowujemy się do wyborów posłów na Sejm PRL. Czy i w jaki sposób można spożytkować doświadczenia tamtych wyborów w tych, które nas czekają? Nie zapominając oczywiście o występujących różnicach.

— Porównanie jest dość trudne, bo tamte wybory mamy całkowicie za sobą, a w tych jesteśmy w fazie przygotowania. Poza tym wybieramy teraz inny szczebel władzy — najwyższą. Ale mimo to — sądzę — że już można powiedzieć o pewnych doświadczeniach i różnicach. Otóż w

— To dobrze, czy źle?

— Pewnie, że dobrze, ale jednocześnie chciałoby się, aby przychodzili też do sprawami o szerszym znaczeniu, o szerszym społecznym wymiarze.

— I z takimi sprawami nie przychodzą?

— Przychodzą, ale rzadko. Ale bywa i tak, że podczas dyżuru nikt nie przychodzi. I taki przypadek trafił mi się już w czasie sprawowania funkcji radnego. Odnoszę także wrażenie, jakby fala społecznego zainteresowania wypaliła się.

— Dlaczego tak się dzieje? Jakże są tego przyczyny?

wą najbardziej polityczną i musi być dokonywany według zasady: każdy daje z siebie według swoich możliwości, każdy otrzymuje według jakości i ilości społecznie użytecznej pracy, jaką wykonuje.

— Co z tego wynika?

— Z tego wynika konieczność uświadomienia sobie i każdemu z nas tej prawdy, która być może zabrzmiała paradoksalnie, że socjalizm nie jest ani tylko ustrojem równości, ani tylko ustrojem sprawiedliwości, ale jednocześnie i równości, i sprawiedliwości społecznej.

— Można zatem powiedzieć, że przyszli posłowie w swojej działalności będą musieli — jeśli będą chcieli zdobyć uznanie wyborców — szukać skutecznych sposobów wprowadzania w życie zasady: każdemu według ilości i jakości pracy. Ale wróćmy jeszcze do kontaktów radnego z wyborcami. Czy nie zastanawialiście się w gronie radnych, że być może dyżury radnych i spotkania z wyborcami już dziś nie odpowiadają potrzebom? Jest to jakby oczekiwanie na wyborcę, przyjdzie czy nie. A być może radny powinien pójść do wyborcy? Sam poszukać z nim kontaktu? Nie chce mi się wierzyć, że ludzie nie znają spraw i problemów o szerszym wymiarze, że tak łatwo godzą się na różne nieprawości i błędy. Przeczy temu choćby nasza, dziennikarska praktyka.

— Zgadza się z tym. Trzeba szukać nowych form kontaktów z wyborcami. W różnych środowiskach są ciekawe inicjatywy społeczne. Przykładem może być Retkinia, gdzie mieszkańcy walczą o czystość środowiska otaczającego to osiedle.

— A potrzeba udziału w rządzeniu? Zmniejszający się udział w rządzeniu — mimo licznych deklaracji — był powodem konfliktu z połowy 1980 roku. Jak z tego punktu widzenia można ocenić „Ordynację wyborczą do Sejmu PRL”?

— Tak, „Ordynacja wyborcza” stwarza takie możliwości, i kampania wyborcza także możliwości powinna stworzyć. Po pierwsze, już w procesie wyłaniania kandydatów na kandydatów, powinno uczestniczyć jak największe osób. Artykuł 51 „Ordynacji wyborczej” wymienia długą listę tych organizacji, „o zasięgu krajowym, zrzeszających obywateli w miastach i wsiach”, które mają prawo zgłosić wybrane osoby do konwentów. Konwenty zostały powołane właśnie po to, aby wyłonić „kandydatów na posłów spośród osób wysuniętych przez uprawnione organizacje”. One — jak stanowi to artykuł 47 — ustalają wykazy kandydatów proponowanych na posłów, a następnie listy kandydatów. Przedstawiciele konwentów wyborczych i organizacji, które wysunęły kandydatów obowiązani są brać udział w zebraniach konsultacyjnych, które organizuje PRON. Na tych zebraniach — co jest szczególnie ważne — dyskutuje się nie tylko o kandydatach, ale i o programie, czyli również o treściach deklaracji wyborczej PRON. Tak więc każdy obywatel ma możliwość wypowiedzenia się i powiniem z niej skorzystać. Chodzi bowiem o to, aby nie tylko pójść i wrzucić kartki wyborcze, ale żeby się przedtem zastanowić, na kogo i dlaczego należy głosować.

— W wyborach do samorządu terytorialnego sprawa była jakby prostsza. Wybierało się ludzi, których lepiej się znało. Często byli to sąsiedzi z osiedla, bloku albo kolega z pracy. Teraz będą to ludzie często nieznanymi z bezpośrednich kontaktów.

— „Ordynacja wyborcza” daje możliwość każdemu wypowiedzenia swoich uwag i opinii o każdym kandydacie. Te opinie i uwagi można zgłaszać na zebraniu konsultacyjnym, bezpośrednio do konwentów wyborczych, jak też do organizacji, organów i instytucji, które mają obowiązek przekazywania ich właściwemu konwentowi wyborczemu. Każde zebranie konsultacyjne musi być zaprotokołowane, a protokół ten musi zawierać opinie i uwagi zgłoszone podczas zebrania i musi to być przekazane właściwemu konwentowi wyborczemu. Dotyczy to zarówno kandyda-

tów na posłów z list wyborczych okręgowych, jak i krajowej.

— Krajowa lista wyborcza jest czymś nowym w naszej praktyce wyborczej.

— Owszem. Jest to lojalne postawienie sprawy. Ale jest to też i w pewnym sensie spożytkowanie doświadczenia z wyborów do rad narodowych. Tam była lista specjalistów. Tu jest lista działaczy centralnych władz partii i stronnictw, jak też ludzi kultury, nauki, których działalność ma walor ogólnopolski, a którzy powinni kandydować na posłów. Listę taką Ogólnopolskiemu Konwentowi Wyborczemu zgłasza Rada Krajowa PRON. Lista ta obejmuje 50 kandydatów na posłów. Każdy głosujący otrzyma dwie listy: jedną z kandydatami krajowymi i na tej liście na jeden mandat będzie tylko jeden kandydat i druga, okręgowa, na której na każdy mandat będzie przypadło dwóch kandydatów. Liczba mandatów została określona proporcjonalnie do liczby mieszkańców w danym okręgu.

— Wybory są tajne. Panuje na ten temat trochę nieporozumień: prawo to czy obowiązek?

— Artykuł 8 „Ordynacji wyborczej” stanowi, że „wybory odbywają się w tajnym głosowaniu”. Jest to zatem prawo. Wyborca może z niego skorzystać, ale nie musi. Artykuł 78 mówi wyraźnie, że „po strymania kart do głosowania wyborca ma prawo udania się do pomieszczenia za osłoną”. Natomiast punkt 2 Artykułu 79 głosi, że wyborca pozostawiając na karcie do głosowania nie skreślone nazwisko „w obrębie jednego lub więcej mandatów” oddaje głos na tego, „który umieszczony jest w pierwszej kolejności”.

Komisja wyborcza ma obowiązek urządzenia w lokalu wyborczym pomieszczeń za osłoną zapewniających tajność głosowania.

Jest to sprawa jasna i wyraźnie powiedziana w „Ordynacji wyborczej”. Odnoszę jednak takie wrażenie, że „Ordynacja wyborcza” jest mało znana, a przez to wyborcy nie mają możliwości ocenienia jej walorów, wpływu na poszerzenie i pogłębienie procesu demokratyzacji naszego życia politycznego.

— Stąd też chyba bierze się pogląd, że „Ordynacja wyborcza do Sejmu PRL” powinna w dużej mierze opierać się na doświadczeniach z wyborów do rad narodowych. A przecież to zupełnie inny zakres problemów, inny rodzaj odpowiedzialności politycznej i inny szczebel władzy.

— Doświadczenia z wyborów do rad narodowych posłużyły w jakimś stopniu do opracowania „Ordynacji wyborczej do Sejmu PRL”. Zgadza się, że różne tu są zakresy problemów. Wspólne jest jednak dążenie do rozszerzenia udziału ludzi pracy w rządzeniu. Jest to dążenie do likwidacji między innymi podziału na „my” i „oni” poprzez rozszerzenie możliwości współdziałania. Demokratyzacja ujawnia interesy grupowe, są one różne. Ich ujawnienie czyni jasną grę polityczną — oczywiście w dobrym znaczeniu tego pojęcia. Dzięki temu możliwe staje się porozumienie, nie jako coś abstrakcyjnego, ale jako porozumienie co do tego, kto i co chce, może i powinien robić i jak mamy to wspólnie robić.

Powstaje sytuacja, kiedy siły polityczne sprawujące kierowniczą i przewodniczącą rolę w państwie, a więc partia klasy robotniczej i taż klasa, mając jasny obraz układu sił politycznych i interesów klasowych, grupowych i warstwowych, mogą lepiej i skuteczniej sprawować swoją rolę. Takie możliwości stwarza kampania wyborów do Sejmu PRL. Teraz wszystko zależy od tego, w jakim stopniu będziemy chcieli i jak z tych możliwości skorzystamy. Ale to nie stanie się samo. Ludziom trzeba nieustannie uświadamiać ich miejsce i rolę w procesie rozwoju Polski, w procesie rozwoju naszego narodu, trzeba kształtować świadomość społeczną. Jest to nieustanny proces. Wybory są tylko pewnym rozdziałem tego procesu.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Wybory zdrowego rozsądku

Iluzja statystyczna

Polska jest krajem średniej wielkości. Z tego bolesnie obiektywnego faktu wynika wiele najrozmaitszych konsekwencji. Jedną z tych konsekwencji — nieoczekiwana, acz psychologicznie uzasadniona — jest stan niemal powszechnej niezgody rodaków na ową „średniość” (bo nieodłączną towarzyszą „średniości” jest „zwyczajność”). Przeto podkarmiamy się rojeniami o wielkości, wyjątkowości, o misji cywilizacyjnej, o przywództwie moralnym w rodzinie narodów i tym podobnych rekwizytach dominującego (niestety!) irracjonalnego pierwiastka naszej zbiorowej świadomości, funkcjonującego sobie jakby zupełnie niezależnie od równie powszechnego narzekania na nasze niedostatki materialne, ubóstwo idei i niedoleństwo intelektualne... Zjawiskiem stale towarzyszącym temu stanowi ducha wielu Polaków jest namiętne, agresywne zwalczanie wszystkiego, co demaskuje owe rojenia.

Nie ulega wątpliwości, że największym demystyfikatorem iluzji Polaków jest statystyka — obiektywny sprawozdawca rzeczywistości. Toteż szerzy się niechęć do statystyki, niewiara w statystykę — wszystko paradoksalnie uzupełnione nieustającą gotowością do fałszowania statystyki w imię wyższych racji, choćby w celu przypodobania się „władzy”. Z drugiej zaś strony upoważnienia się do nieumiejętności posługiwania się obliczeniami GUS-u, gdy pasują one do rozmaitych tekstów i wzmacniają rachityczną argumentację. Ma to wiele wspólnego z tzw. etyką Kalego...

Cały ten przydługi wstęp o psychosocjalnych funkcjach statystyki na pierwszy rzut oka wydaje się mieć niewiele wspólnego z wyborami. Ale jednak ma — wyborom towarzyszy bowiem na stałe pewna dość specyficzna iluzja statystyczna...

Chodzi, najprościej mówiąc, o to, by Sejm zachowywał możliwie wierną „odpowiedźność” wobec tzw. przekroju społecznego, by był w nim — proporcjonalnie do wielkości i znaczenia swych grup — usadowieni reprezentanci rozmaitych kategorii i sił społecznych, na jakie da się podzielić ogół obywateli. Kryteria tych podziałów są niejednorodne, zaczerpnięte właśnie wprost z obliczeń statystycznych — klasowe, wiekowe, płciowe, zawodowe czy zgola wedle miejsca zamieszkania (urbanizacyjno-rustyczne).

Wielokrotnie spotykałem się z wyrazami autentycznej, szczerzej obywatelskiej troski o taki właśnie kształt przyszłego Sejmu — o to, by „mozaika” posłów w mikroskali odwzorowywała jak najdokładniej wielką „mozaikę” społeczeństwa Polaków. Dlaczego właściwie? Jak sądzę dlatego, iż powszechnie panuje przekonanie o ściślejszej współzależności, o równości właściwie, między reprezentatywnością a demokracją, tym więcej ma być demokracja, im struktura socjalna Sejmu bardziej zbliżona będzie do wszelakich wewnętrznych pogmatwań narodu. Przy czym pojawia się rzecz ciekawa: oto każdy niemal widzi ową strukturę narodu inaczej — nie wedle rzeczywistości, a wedle własnych (lub grupowych) interesów, posługując się niby statystyką, a jednocześnie kartki gusowskiego rocznika gnąc k' sobie... Najwyraźniej wypada to na piaszczynie światopoglądowej, konkretnie — religijnej, gdzie jakiegokolwiek oficjalne liczenie przez państwo urząd jest z mocy prawa — jako logiczna konsekwencja wolności wyznania — zakazane. Stąd biorą się żądania „katolickiej” większości w parlamencie, bo przecież, wedle szacunków samych zainteresowanych, jesteśmy jakoby katolicy w ponad dziewięćdziesiąt procentach...

Jest rzeczą zdumiewającą, jak silnie zakorzenił się w świadomości społecznej ów pogląd, z polskich mitów zrodzony, iż „reprezentatywność” równa się demokracji. Przyczyną popularności tego fałszu jest zapewne ciągle jeszcze całkiem znaczny analfabetyzm polityczny, głęboka nieznajomość podstawowych mechanizmów regulujących nasze życie zbiorowe, a nawet niezamącość przepisów Konstytucji.

Nasze prawo stanowi, że Sejm tworzy się poprzez wybory wedle zasady terytorialno-ludnościowej. To znaczy, że mandaty grupuje się w okręgach, pokrywających się na ogół z jednostkami podziału administracyjnego kraju, proporcjonalnie do liczby ludności. (W pierwotnym tekście Konstytucji, uchwalonym w 1952 roku, istniał przepis, stanowiący iż jeden posel przypada na 60 tys. mieszkańców; ze względów ściśle technicznych ustalono potem, w drodze nowelizacji Konstytucji, stałą liczbę posłów — 460). Żaden inny podział mandatów nie jest możliwy — przez Sejm nie jest ani izba korporacyjna, ani pokoleniowa, ani obywatelska, ani żadna inna. Tzw. rozrzut mandatów między grupami społecznymi, zawodowymi, organizacjami, które mają prawo wśród swych członków, czy choćby między miastem a wsią — nie ma istotnego znaczenia dla demokratyczności władzy.

Natomiast ma dla niej znaczenie co innego — stopień nieskrepowania mechanizmów wyborczych oraz to, ile faktycznie możliwości władczych — stanowiących i kontrolnych — skupiają w swych rękach przedstawiciele ludu pracującego miast i wsi (nie tylko w Sejmie, w radach narodowych też).

Z tego punktu widzenia wydaje się jasne, że drobniagowe „kategoryzowanie” mandatów poprzez stosowanie jakiegoś finezyjnego rocznik statystyczny, „wrzucenie” do komputera dane osobowe obywateli mających bierne prawo wyborcze, a maszyną sama — wedle uśredniającego klucza — wytypowałyby „najśredniejszych”, którzy stanowiliby reprezentację słuszną wedle wieku, płci, przynależności i tym podobnych kwantyfikatorów. Tyle tylko, że tacy „posłowie” nie byłiby władzą, najwyższym organem władzy w państwie, jeno mikrokopią społeczeństwa, nie reprezentującą wyborców, tylko ich strukturę. A to są dwie różne płaszczyzny naszego życia zbiorowego...

Redukując całe zagadnienie do absurdu, można by wyobrazić sobie taką sytuację społeczną, w której wybory zupełnie nie są potrzebne. Wystarczyłoby wziąć do reki odpowiednio precyzyjny rocznik statystyczny, „wrzucić” do komputera dane osobowe obywateli mających bierne prawo wyborcze, a maszyną sama — wedle uśredniającego klucza — wytypowałyby „najśredniejszych”, którzy stanowiliby reprezentację słuszną wedle wieku, płci, przynależności i tym podobnych kwantyfikatorów. Tyle tylko, że tacy „posłowie” nie byłiby władzą, najwyższym organem władzy w państwie, jeno mikrokopią społeczeństwa, nie reprezentującą wyborców, tylko ich strukturę. A to są dwie różne płaszczyzny naszego życia zbiorowego...

Niedawno posyłałem opinię, z wcale wysokiej pozycji wygłoszoną, iż różnym środowiskom społecznym w kraju zapewni się stosowna do ich powagi reprezentację w Sejmie, iżby mogli tam swobodnie przedstawiać swe opinie... Błąd to — wynikający z fałszywego, zakorzenionego od dawna i głęboko poimowania społecznej roli Sejmu! Tymczasem Sejm nie jest żadnym ciałem opiniodawczym, tylko najwyższym organem władzy przedstawicielskiej ludu pracującego. Rola Sejmu nie jest: wytworzenie opinii czy konsultowanie administracji — ta rola jest stanowieniem praw Rzeczypospolitej. Aby robić to skutecznie, trzeba mieć kwalifikacje moralne i ideowe, zaufanie i wiarygodność oraz stosowne wyposażenie intelektualne — a nie tylko kogoś lub coś w miarę wiernie „reprezentować”.

Jedyny zatem — w świetle przedstawionego tu poglądu — podział wewnątrz Sejmu jest dostatecznie uprawniony. To podział wedle sił politycznych uczestniczących w koalicyjnym sprawowaniu władzy, oparty o wspólną wolę i zgodę tych sił — czyli podział mandatów między partię i stronnictwa polityczne. Ale o nim samym oraz jego konsekwencjach dla Sejmu i obywateli — za tydzień.

TOMASZ SAS

Wybijanie się na demokrację

Rozmowa z ALFREDEM LUTRYKOWSKIM — docentem, doktorem habilitowanym, kierownikiem katedry nauk społecznych AM w Łodzi, radnym Rady Narodowej Miasta Łodzi.

wyborach do rad narodowych uwaga społeczna koncentrowała się głównie na mechanizmach wybierania, teraz koncentrować się powinna na programie. Rzecz — w moim rozumieniu — sprostawa się nie tylko do tego, aby wybrać posłów, ale aby postawić przed nimi zadania, które powinni w swoim działaniu poselskim spełnić.

Demokracja przecież, to nie tylko sposób, w jaki wybiera się przedstawicieli ludu, ale również sposób, w jaki lud, podmiot władzy, stawia przed tymi wybranymi zadania do realizacji. A więc ważne jest nie tylko to, jak wyłania się przedstawiciele, ale też i dla realizacji jakiego programu się ich wyłania, wybiera.

— Wiąże się do zatem ze sprawnym działaniem systemu kontroli działalności tych, którzy się wybrali.

— Istotnie, jest to ważny problem. Jest to poważne zagrożenie wszystkich demokracji przedstawicielskich. Ich powodzenie zależy od tego, czy i jak wyborcy mogą kontrolować na bieżąco swoich przedstawicieli. A jeśli stwierdzą, że ich przedstawiciele działają niezadowolająco, to czy i jak mogą pociągnąć ich do politycznej odpowiedzialności?

— Jak wygląda kontakt radnego ze swoimi wyborcami?

— Bardzo różnie. Przede wszystkim powinien to być kontakt tych, którzy zgłosili kandydaturę radnego, a więc organizacji politycznej czy społecznej. Mówię o tym już trochę z myślą o formie kontaktu przyszłych posłów z wyborcami. Taki kontakt oczywiście jest, bo każdy radny jest członkiem jakiejś organizacji i bierze — a przynajmniej powinien — brać udział w jej życiu.

— Ale tu chodziłoby o kontakt specjalny, organizowany pod kątem kontroli działalności radnego, czy posła.

— No właśnie. Radny ma również kontakt z wyborcami, którzy przychodzą na dyżury, spotyka się też z wyborcami przy innych okazjach.

— Z jakimi sprawami przychodzą ludzie na spotkania z radnym, na dyżury?

— Swoje dyżury jako radny pełnię w lokalu komitetu osiedlowego i uważam, że to miejsce powinno sprzyjać kontaktom z wyborcami.

— A czy sprzyja?

— Nie bardzo, gdyż na ogół przychodzą pojedynczy ludzie ze swoimi drobnymi sprawami, które chcieliby załatwić i do załatwienia których potrzebna jest im pomoc radnego.

— Myślę, że uwikłani w codzienne sprawy nie dostrzegamy — a co gorsza nie dostrzegają teoretycy i publicyści — że kończy się pewien etap budowy socjalizmu w Polsce. A socjalizm w Polsce budują ludzie, my wszyscy. Władza tylko steruje tym procesem. A więc i ludzie, i władza, która steruje, powinni zdać sobie sprawę, że zmieniły się warunki budowy socjalizmu, a zatem inny musi być udział ludzi w tym procesie i inne metody, formy i środki sterowania. Ten fakt trzeba uświadomić sobie i innym, bo od zrozumienia tego zależy powodzenie wielu przedsięwzięć, a i sposób budowania czy kształtowania świadomości społecznej.

Z badania opinii społecznej wynika, że mamy do czynienia między innymi z różnymi postawami. Jedną można określić tak: „interesuję się, ale nie nie robię”. Drugą: „interesuję się i coś robię, czyli włączam się”. Rzecz więc w tym, aby postawy pierwsze malały, a rosły te drugie.

— Jaka z tego wynika dyspozycja dla przyszłych posłów?

— Sądzę, że posłowie muszą sobie zdawać sprawę z tego, że będą reprezentowali społeczeństwo zróżnicowane, podzielone, a nawet nie byłbym się powiedzieć — rozbite. A więc będą musieli w swojej działalności odpowiedzieć na pytanie, które chyba najtrafniej sformułował prof. Mariusz Gulczyński: — jak rządzić społeczeństwem niezadowolonym? A dziś przecież wszyscy są z czegoś niezadowoleni.

— Czy można byłoby się pokusić o odpowiedź na pytanie o źródła tego niezadowolenia? Bo z tego, że wszyscy są z czegoś niezadowoleni, jeszcze nie wynika.

— Myślę, że źródło niezadowolenia tkwi w nieuzasadnionym podziale dóbr. Czynnikiem dziś najbardziej różnicującym społeczeństwo, poszczególne jego grupy jest dostęp do dóbr społecznie poszukiwanych i cenionych. Jest to niesprawiedliwość dobrobytu, który nie jest udziałem tych, którzy rzetelnie pracują. Posiadanie dóbr powszechnie pożądanym w nieograniczonej niekiedy wielkości nie jest uzasadnione wkładem pracy.

Tu chcę się zastrzec, że nie jestem zwolennikiem odebrania temu, kto ma więcej odemnie, czy od jakiejś średniej krajowej i podzielenie między tych, którzy mają mniej. To do niczego nie doprowadzi. Ale jestem za tym, że posiadanie dóbr musi być uwarunkowane wkładem pracy. I uważam, że sposób podziału dóbr jest dziś spr-

Warszawa bohaterka stawiała opór niemieckiemu wojsku. Warszawa walczyła, choć brakowało już sił, żywności, amunicji, broni, wody. Niemcy bezustannie bombardowali rejonny załęgę przez powstańców. Brakowało lekarstw, opatrunków, lekarze nie mieli już sił operować ludzi pod nieustannie sypiącymi się bombami. Ludność cywilna koczowała w piwnicach. Walcząca Warszawa oczekiwała pomocy.

Dobiegł końca sierpień 1944 roku. Zaczął się wrzesień. „Pięć lat wojny” — zanotowała 1 września 1944 roku Sabina Sebyłowa. — *Rozpaczliwie długie lata*. Teraz były długie godziny, dni i tygodnie powstającej Warszawy zasypywanej bombami, „krowami”, kulami armatnimi i ostrzelanej z broni maszynowej. Ludzie patrzyli w niebo z nadzieją, że oto nadciągnie z dalekiej Anglii, czy z równie dalekich Włoch alianckie samoloty z oczekiwanymi zrzutami. Ludzie w umięzionej Warszawie słuchali tego, co dzieje się po drugiej, wschodniej stronie Wisły.

9 września 1944 roku gen. Tadeusz Bór-Komorowski wysłał depezę do Londynu, w której pisał:

„Warszawa pada osamotniona po bez mała sześciu tygodniach walki. Od Dworca Gdańskiego po Aleje Jerozolimskie — to pas ruin i zgłiszcz. Nie mając żadnych perspektyw pomocy — musimy się poddać.

Sytuacja w Śródmieściu ulega pogorszeniu. Wytrzymałość żołnierzy w kresu ludzkich możliwości. Beznadziejne położenie. Tracimy dużo terenu, jesteśmy stłoczeni na coraz mniejsze wyspy przez opanowanie Al. Sikorskiego i przecinanie naszych terenów przez nieprzyjaciela. W razie pęknięcia obrony Śródmieścia — Północ może nastąpić rzeź ludności i powstańców. Otrzymanie wybitniejszej, natychmiastowej pomocy w bombardowaniu i zrzutach, w ciągu nocy 10 września lub tego dnia, przedłuża naszą obronę o parę dni. Bez niej musimy kapitulować.”

Nie wszyscy oficerowie sztabu i KG AK podzielali to zdanie. „Kapitulacja jest ostatecznością — meldował Komendzie Głównej AK gen. Antoni Chruściel „Monter” — której chcemy uniknąć. Nikt nie wierzy Niemcom. Ludzie chcą ginąć z bronią w ręku — na posterunku, a nie po rozbrojeniu”. I proponował „wezwać Żymierskiego na odsiecz i przyrzec mu lojalną współpracę”.

A co w tym czasie działo się

NA PRAWYM BRZEGU WISŁY

Po umocnieniu pozycji na przyczółkach pod Magnuszewem, Janowcem i Sandomierzem powstała możliwość likwidacji niemieckiego przedmościa pod Pragę. Zaczynała się aktywność wojsk radzieckich na prawym brzegu Wisły.

„Dziś w nocy — meldował ze Starego Miasta, 25 sierpnia 1944 roku mjr „Gromski” — Tadeusz Wardejn-Zagórski — od 2,00 do 4,15 i następnie od 6,15 z przerwami lub zmienną intensywnością trwa bardzo silny ogień na przyczółkach Pragi w sprężonym kierunku: Targówek — Michałów — Kamionek. Ogień art. sowieckiej lub także niemieckiej rozbudził od rana najróżniejsze nadzieje wśród ludności i poprawił nastroje wybitnie”.

Tym, co działo się na prawym brzegu Wisły interesowali się nie tylko warszawscy powstańcy, interesował się tym również gen. Nicolaus von Vormann, dowódca 9 armii niemieckiej, mający swoją siedzibę w Skierniewicach. Interesował się on tym bardzo, bowiem jego zadaniem było zatrzaskanie napierającej wojska radzieckiego po prawej stronie Wisły, nie przepuścić ich na lewy brzeg rzeki. A przecież już pod Magnuszewem, Janowcem i Sandomierzem wojskom radzieckim udało się zdobyć i umocnić przyczółki na lewym, zachodnim brzegu rzeki. Teraz — dobrze to rozumiał gen. Nicolaus von Vormann — wojska radzieckie muszą przystąpić do likwidacji niemieckiego przedmościa na Pradze.

Marszałek Konstanty Rokossowski miał wyraźny rozkaz Józefa Stalina, aby na początku sierpnia 1944 roku podejść do Wisły, zdobyć Pragę i przyczółki po lewej stronie Wisły na południe od Warszawy. 6 lipca 1944 roku przybył do Moskwy gen. Michał Rola-Zymlerski i w rozmowie z Józefem Stalinem prosił o niebranie Warszawy natarciem frontowym, ale manewrem oskrzydającym. Dla wykonania manewru oskrzydającego niezbędne były przyczółki po lewej stronie Wisły. Na północ od Warszawy było to niemożliwe, gdyż front w tym rejonie odchyłał się od Wisły bardzo daleko na wschód. Możliwe to było na południu od Warszawy, gdzie wojska radzieckie doszły już do Wisły około 25 lipca 1944 roku.

1 sierpnia 1944 roku rozpoczęło się niemieckie przeciwnatarcie na wschód od Pragi. Zatrzymało ono marsz wojsk radzieckich i radykalnie zmieniło sytuację. Jak pisze w książce „Powstanie warszawskie” Jan M. Ciechanowski, Józef Stalin 9 sierpnia 1944 roku przyznał się Stanisławowi Mikołajczykowi, „iż spodziewał się, że Armia Czerwona zajmie Warszawę do 6 sierpnia. Przeszkodziło temu przybycie w rejon Pragi pięciu niemieckich dywizji pancernych. W rezultacie Rosjanom nie udało się zdobyć Pragi”. Pod koniec sierpnia 1944 roku wojska radzieckie na wschodnim brzegu Wisły są już gotowe do ponownego uderzenia. Stąd ich aktywność, która budzi nadzieje w sercu powstańców. Ale do ataku na Pragę musi jeszcze minąć jakiś czas. 20 sierpnia zaczyna się radziecka ofensywa na Bałkanach i ona pochłania uwagę sztabów w Moskwie. Ale tym niemniej los niemieckiego przyczółka na wschodnim brzegu Wisły jest już przesądzony. Musi on być zlikwidowany, gdyż zagraża tyłom wojsk walczących pod Magnuszewem i Warką po lewej stronie Wisły. Ma to również

BEZPOŚREDNI WPŁYW NA POWSTANIE W WARSZAWIE

Spodziewając się ataku na Pragę gen. Nicolaus von Vormann musi zagwarantować wojskom niemieckim stacjonującym na prawym brzegu Wisły swobodny przemarż przez powstańców. Wzajemne uwarunkowania bardzo jasno i wyraźnie przedstawił Jerzy Kirchmayer w książce „Powstanie warszawskie”. Gen. Nicolaus von Vormann dysponował w Warszawie jedną trasą przelotową — Wolską. Dla cofających się z Pragi wojsk było to mało. Poza tym trasie tej zagrażali powstańcy ze Starego Miasta. Stąd dowódca całosci sił niemieckich w Warszawie, SS-Obergruppenführer gen. Erich von dem Bach-Zelewski otrzymuje rozkaz bezwzględnego zdławienia powstania na Starym Mieście. W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1944 roku zapada decyzja o wycofaniu się powstańców kanałami do Śródmieścia. Gdy Niemcy 2 września zaczęli zajmować Stare Miasto i przekonał się o zniknięciu powstańców krwawo zemścili się na rannych, chorych i na ludności cywilnej. „Padło Stare Miasto” — notuje 4 września Sabina Sebyłowa wieść, która nie wiadomo jakimi drogami dotarła do niej

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdy Wisła była granicą

na Pragę. — Nie wytrzymał. Jakoby część powstańców przedostała się kanałami do Śródmieścia. Na Starówce było nieludzkie nasilenie walk i powstańczej zagłady.”

Po likwidacji Starówki gen. Erich von dem Bach musiał wykonać następujące zadania:

1. oczyścić drugą arterię przelotową — Aleje Jerozolimskie,
2. oddać powstańcom dostęp do mostów,
3. w odpowiednim momencie wysadzić mosty na Wisłę.

Czwarte zadanie należało już do gen. Nicolaus von Vormanna — stworzyć linię frontu na lewym brzegu Wisły od ujścia Bugo-Narwi przez Bielany, Żoliborz, Wybrzeże Gdańskie, Powiśle, Czerniaków i Mokotów. Do wysadzenia mostów gen. Nicolaus von Vormann powołał 300 batalion pionierów zmotywowanych i 654 batalion pionierów. Jeśli chodzi o front nad Wisłą, to ani na Mokotowie, ani na Żoliborzu powstańcy nie interesowali się brzegiem Wisły. Inaczej było na Powiślu i Czerniakowie. Z tym, że Powiśle leżało między dwoma mostami: Kierbedzia i Józefa Poniatowskiego.

Korpus gen. Ericha von dem Bacha był na tyle wyczerpany walkami o Stare Miasto, że nie był już w stanie przystąpić jednocześnie do wykonania wszystkich zadań. Gen. Nicolaus von Vormann musiał zatem dokonać wyboru. I jego wybór musiał paść na Powiśle, bo powstańcy na Powiślu zagrażali obu mostom, a to mogło doprowadzić do połączenia się nacierającej Armii Radzieckiej z powstańcami. I to mogło mieć nieobliczalnie skutki dla położenia wojsk niemieckich w środkowej Polsce. Los powstańców na Powiślu został zatem przesądzony. Następnym w kolejności był Czerniaków.

9 września 1944 roku gen. Tadeusz Bór-Komorowski postanowił rozpocząć rokowania kapitulacyjne z Niemcami. 10 września rozpoczął się

BÓJ O PRAGĘ

„W myśl koncepcji sztabu gen. Rokossowskiego — wspomina gen. Michał Rola-Zymlerski — Pragę miały zdobywać jednostki Armii Radzieckiej. Dowiedziawszy się o tym, postanowiliśmy interweniować u gen. Bułganina w sprawie umożliwienia uczestnictwa w wyzwoleniu Pragi jednostkom polskim, podając motyw polityczny i historyczny. General Bułganin uchylił akceptację dla tej propozycji od marszałka Stalina”.

5 września 1944 roku 1 Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki została podporządkowana dowódcy 47 armii, a 10 września o godzinie 8.10 działania rozpoznowe, obok batalionu radzieckiego 283 pułku piechoty, rozpoczął batalion kpt. Wiktora Kapuścińskiego z 1 pułku piechoty. 13 września 1944 roku oddziały radzieckie i polskie ruszyły do szturmu na Pragę.

„Późny wieczór — notuje w nocy z 13 na 14 września 1944 roku Sabina Sebyłowa. — Pionierzy korutars. Siedzę na małym stołeczku. Posiedzę. Wyjdę na podwórce. Rozedmy dalekich pożarów. Artyleria rozrasta się hukiem... Karabiny maszynowe kaszają bliżej, dalej. Uporczywie z okrojonej ściśle strony. Od zachodu, od Bródna... Stołeczki coraz twardszy. Aeroplan turkocze w pobliżu... Głupio się czuje... Jak wszyscy zawsze — zdaje się — nie wiem, kiedy zasypiam.

— Ludzie, wstawajcie! Bolszewicy na podwórku! — czuję wielki gios.

„Rozkaz krzyknięty po polsku do żołnierzy gromadzi błyskawicznie multum (w stosunku do obecnej liczebności mieszkańców kamienicy) ludzi. Większość ma tzy w oczach...”

— Nie masz pani kawałka chleba? — pyta mnie któryś wojak.

— Chleba — nie. Mam papierosy.

— Papierosy ja też mam — poszedł dalej”.

Gdy rozpoczął się bój o Pragę Niemcy wysadzili mosty na Wisłę, a powstańcy odczuli mniejszy nacisk na swoje pozycje. „Odczuwamy niewątpliwie zelżenie niemieckiego terroru ogniowego na Warszawie — pisał „Biuletyn Informacyjny”, 15 września 1944 roku — od czasu rozwinięcia się bitwy na Pradze”. Bitwa ta była pilnie śledzona z Warszawy.

„14 września — wspomina Elżbieta Ostrowska w książce „W Alejach spacerują „tygrysy” — kanonada artyleryjska przeszła nagle w łomot ogromny, który targał powietrzem, dudnił i ogłuszał, spadał jak gigantyczny wodospad.

— „Organy Stalina! Organy Stalina!” — informowano się wzajemnie. — Ale tam bitwa, Jezu... Jaka bitwa!

Z siódmego piętra budynku na rogu Hożej i placu Trzech Krzyży, z punktów obserwacyjnych na dachach wysokich kamienic w Śródmieściu biegła pońcy. Przez lornetki dostrzeżono biało-czerwone flagi na praskich domach!

— Praga wolna! — wieść przelatuje między ludźmi. — Polskie flagi za Wisłą! Praga wolna!”

Bez wątpienia zarówno rozwój wypadków na prawym brzegu Wisły, jak też wiadomość nadana przez radio londyńskie o wielkiej wyprawie samolotowej mającej przynieść pomoc walczącej Warszawie wpłynęły na impas w rozmowach o kapitulacji powstania. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski zaczął grać na zwłokę. Gen. mjr Günter Rohr, z którym jako z żołnierzem Wehrmachtu a nie SS, wolano prowadzić rokowania, zażądał zgody na kapitulację 11 września 1944 roku o godzinie 1.00. Gen. Tadeusz Bór-Komorowski odpowiedział na to, że to Niemcy ponoszą winę za zerwanie rokowań. Niemcy już na to nie odpowiedzieli. Przystąpili intensywniej do walki.

NA POMOC WARSZAWIE

ruszyły oddziały Wojska Polskiego z prawego brzegu Wisły. W nocy z 15 na 16 września 1944 roku bataliony por. Sergiusza Kononkowa i kpt. Stanisława Olechnowicza z 9 pułku piechoty 3 Dywizji Piechoty rozpoczęły forsowanie Wisły i lądowały na Czerniakowie. Nocą z 17 na 18 września — dla odwrócenia uwagi od przyczółka na Czerniakowie — z Pelcowizny na Żoliborz forsowała Wisłę 4 kompania 2 batalionu, 6 pułku piechoty, a z 18 na 19 września dalsze oddziały 2 batalionu. 19 września 1944 roku dwa bataliony 8 pułku piechoty sforsowały Wisłę między mostami Józefa Poniatowskiego i Srebrnicowym, zdobyły przyczółek, ale zostały wyparte przez Niemców.

Rozpoczynają się zrzućy broni dla Warszawy. Popularne „kukuruzniki” latają nisko, nie sobie nie robią z niemieckiej obrony przeciwlotniczej. Zrzucają broń, żywność i lekarstwa z niskiej odległości w pojemnikach bez spadochronów. Zrzućy są celne, ale też i trafiają się uszkodzenia przede wszystkim broni.

„W tym okresie — pisze w książce „Żołnierski obowiązek” Konstanty Rokossowski — rozmawiał ze mną przez telefon W.Cz. Stalin. Złożyłem mu meldunek o sytuacji na froncie i o wszystkim, co wiązało się z Warszawą. Stalin zapytał, czy wojska Frontu są w stanie przeprowadzić natchemist operację w celu wyzwolenia Warszawy. Kiedy dałem odpowiedź negatywną, poprosił mnie o udzielenie powstańcom wszelkiej pomocy, aby ulżyć ich doł.

Zgodnie z podjętą decyzją w dniu 13 września rozpoczęto zaopatrywanie z powietrza powstańców w broń, amunicję, żywność i leki. Do tej akcji zaangażowaliśmy nasze bombowce nocne Po-2. Zrzućy one ładunki z małych wysokości na punkty wskazane przez powstańców”.

Polscy żołnierze z 1 Armii WP walczą bohatercko u boku powstańców z AK i AL. Nie są jednak przygotowani do walki w mieście. Gina w obronie powstańców pozycji razem z powstańcami. Nie ma większych szans na udzielenie im pomocy.

„W takich warunkach nie można było się utrzymać na zachodnim brzegu Wisły — pisze Konstanty Rokossowski. — Potrzebna decyzja przerwania operacji. Pomogliśmy żołnierzom desantu powrócić na nasz brzeg. Do 23 września pododdziały trzech pułków piechoty 1 Armii Wojska Polskiego potoczyły się ze swoimi macierzystymi jednostkami”.

W kilka lat po powstaniu gen. Zygmunt Berling pytany, dlaczego z takim uporem podejmował akcje pomocy dla Warszawy, odpowiedział: „Chciałem mieć czyste sumienie, pragnąłem ratować miasto od zagłady i ludzi od śmierci”.

Z pomocą walczącej Warszawie spieszyli też Polacy walczący we Włoszech i stacjonujący w Anglii. Nad walcząca Warszawą

ROZKWIŁY KOLOROWE CZASZE SPADOCHRONÓW

Cóż z tego, kiedy alianckie bombowce nie mogły dokonywać zrzućów z niskich lotów z powodu silnej obrony przeciwlotniczej niemieckiej, a pojemniki zrzućane z wysoka często wiatr znosił na pozycje niemieckie. KG AK domagała się wielkiego dziennego zrzuću. 10 września nadeszła z Londynu wiadomość, że taki zrzuć będzie dokonany. Amerykańskie superfortece po zrzućeniu ładunków nad Warszawą wylądowały w Poławie, skąd po odpczynku wróćo do swoich baz.

Wyprawa ta doszła do skutku 18 września 1944 roku.

„Przed południem — notuje Sabina Sebyłowa patrząc na Warszawę z wolnej już Pragi — niebo zakwitło nad Warszawą. Na moich zdumionych oczach rozwijały się marzeńowe kwiaty. Białe, kremowe, różowe. Ich odwrócone misy chwiałały się esfemerycznie. Każda zwiśtała na kilku tygodniach... Płynęły na rozległych przestrzennych wysokościach, ciężką nieoduracalnie ku ziemi.

Ciemne punkty amerykańskich transportowców i angielskich myśliców (zdaje się, że trójnie rozpoznaliśmy), z których wykwiły spadochrony, oddalają się pod furiackim ostrzałem boszów... Wiatr zwiśta z wolna zrzućy ku Wisłę... Wszystko chapanę Niemcy.

Widzimy także, że woda wiśłana jakby się gotowała. To Niemcy wpuskują w nią pociski przeszkadzając polskiej akcji z Pragi dotarćo do zrzućów”.

Inaczej patrzone na spadające zasobniki w samej Warszawie. Stanisław Podlewski w „Raportie Żoliborskiej” tak to opisuje:

„...wiatr zaczął znosić zasobniki w kierunku północno-zachodnim, ku Szwedzkiej Górce, nad Boernerowó. Większość zasobników spadała na teren zajęty przez nieprzyjaciela, a nawet na Pragę”.

Na niektórych odcinkach zasobniki spadały między stanowiska bojowe. Wywiązały się gwałtowne walki — każda ze stron chciała zagarnąć zdobycz. Długie godziny słuchać było jazgot broni maszynowej i wybuchów”.

Żołnierze powstańcy w Śródmieściu i na Mokotowie podjęli około 16 ton ładunków, co stanowiło mniej niż 20 procent całości zrzućów. Był to jednak duży zastrzyk pomocy dla głodującej i cierpiącej na brak broni walczącej Warszawy. Była to też demonstracja mająca pewien wpływ na morale powstańców. Ale o losach powstania nie mogła przesądzić. Zbliżał się koniec. Niemcy umożliwili części cywilnej ludności wyjście poza powstańcze pozycje. Mimo obaw o swój los, ludzie decydowali się i w wyznaczonych miejscach oraz czasie pod opieką siostr Czerwonego Krzyża przechodzili na niemieckie pozycje i byli ewakuowani do Pruszkowa, gdzie był wiatry obóz tymczasowy dla mieszkańców Warszawy.

NA PRADZE

łoczy się tymczasem nowe życie.

„Warszawa skapitulowała — notuje 2 października 1944 roku Sabina Sebyłowa. — Po sześćdziesięciu trzech dniach walki. Wiadomość pewna. Z radia”.

30 października 1944 roku — piątek:

„Na podstawie dekretu PKWN-u z 16 sierpnia 1944 roku ogłoszony został pobór. Kilka roczników zasilą nową armię polską. Macieja jeszcze nie dotyczy.”

Otrzymujemy chleb na przydział. Podobno żołnierski. Jaki taki?”

7 listopada 1944 roku — wtorek:

„Praga obchodzi rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. Domy pozajmowane przez polskie urzędy udekorowane biało-czerwonymi flagami. Na dywanach zwieszających się z balkonów na jednym rogu orzeł (bez korony), na drugim sierp i młot”.

4 grudnia 1944 roku — poniedziałek:

„Ojciec mój bardzo chory. Leży w nieogrzewanym pokoju.

Znowu preraźliwie uderzenie. Wczoraj trafilo w Żąbkowską 4. Pół domu zawałiło”.

W lewobrzeżnej Warszawie Niemcy grabili, palili i wysadzali domy. Stolica Polski miała być zrównana z ziemią.

31 grudnia 1944 roku — niedziela — Sabina Sebyłowa notuje:

„Sylwester. Żołnierze nasi obiecują sobie tradycyjną zabawę. Tamci od dwunastej znowu biją ciężkimi nabojami. Z dział umieszczonych na kolejowych podwoziach”.

16 stycznia 1945 roku — wtorek:

„Słyszymy, jak bez wytchnienia, bez oddechu dyszą mślawie ciężka artyleria”.

17 stycznia 1945 roku — środa:

„Wracam z ulicy. Z Warszawy, na pewno z Warszawy, słychać ochryple okrzyki: „Urrrrrr! Urrrrrr! Urrrrrr! Taki ryk wydobywają z siebie żołnierze zdobywają...”

Ulica huczy, że Niemców już nie ma w Warszawie”.

Wisła przestała być granicą, dzielił dwa światy. Zamarnięta Wisła połączyła obie części miasta. Po jej lodzie ludzie ruszyli z Pragi do wolnej, choć zniszczonej, Warszawy. Aby rozpocząć wolne życie, aby pokazać światu, że Warszawa jest, żyje i powstanie z gruzów.

„czuje się szczęśliwym, że przypadł mi zaszczyt otwierać Sejm Polski, który znów będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem...” — Józef Piłsudski

10 lutego 1919 roku, w dostosowanym do spełniania nowych zadań budynku dawniej rosyjskiej szkoły dla szlachcianek przy ulicy Wiejskiej w Warszawie, zebrał się na swoje pierwsze uroczyste posiedzenie Sejm Ustawodawczy.

Otwierając sejmowe obrady tymczasowy naczelnik państwa Józef Piłsudski powiedział: „Półtora wieku walk krwawych nieraz i ofiarnych analiza swój tryumf w dniu dzisiejszym... praca przez was uchwalona będzie początkiem nowego życia wolnej i zjednoczonej Ojczyzny...”

Stało przed sejmem zadanie opracowania konstytucji, a więc określenia politycznego ustroju państwa polskiego, było to jednak w praktyce zadanie nie tyle określenia, co wyartykułowania i z mocy przedstawicielstwa narodu — zalegalizowania spraw, które już się rozstrzygnęły w okresie między listopadem 1918 roku a styczniem 1919 roku.

W tym krótkim niespełna trzy miesiące liczącym okresie, w warunkach ostrej walki klasowej, na pytanie „kto kogo” odpowiadały już w zasadzie po swojej myśli polskie klasy posiadające.

NIM ZARZĄDZONO WYBORY

Sprawa sejmów ustawodawczych została podniesiona po raz pierwszy w warunkach Polski Odrodzonej w Manifestie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej z dnia 7 listopada 1918 roku.

Stwierdzono w nim, że „sejm ustawodawczy zwołany będzie przez nas jeszcze w roku bieżącym na podstawie powszechnego bez różnicy płci, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego głosowania. Ordynacja wyborcza będzie ogłoszona w ciągu najbliższych kilku dni. Czynną i bierzący prawo wyborcze będzie

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Pierwszy parlament Polski Odrodzonej

przysługiwać każdemu obywatelowi i obywatelce, mającemu 21 lat ukończonym...”. Deklarowano także iż „... do chwili zwołania Sejmu Ustawodawczego władzę całkowitą i niepodzielną obejmujemy...”

W obu tych przypadkach skończyło się na zapowiedziach. Sejmu w „roku bieżącym” — to jest 1918 zwołać nie tyle nie zdążyć, co nie chciało. Radykalizacja mas ludowych osiągnęła taki stopień, że wyniki wyborów przeprowadzonych w listopadzie czy grudniu 1918 roku mogłyby doprowadzić do realizacji programu zawartego w Manifestie Rządu Ludowego, a przeciw wkaikowano w ten Manifest zadanie rozkładania radykalnych nastrojów. Trzeba więc było grać na zwłokę, aby dobrze przygotować się do tej decydującej politycznej rozgrywki.

Nie sprawował także Rząd Ludowy swej władzy do dnia wyborów całkowitej i niepodzielnej. Już 22 listopada ustanowiono dekretem rządowym urząd tymczasowego naczelnika państwa objął Józef Piłsudski i to on faktycznie sprawował władzę całkowitą i niepodzielną.

Wracając do pierwszej sprawy, 18 listopada, pod naciskiem prawicy zaniepokojonej radykalnymi zapowiedziami Manifestu wydanego przez rząd Ignacego Daszyńskiego, nastąpiła zmiana na stanowisku premiera. Został nim Jędrzej Moraczewski. Nie pomógł mu jednak to, że rozpoczął energiczną walkę z radami delegatów robotniczych i chłopskich deklarując się jako przeciwnik socjalistycznej rewolucji. Sam fakt, iż podtrzymywał postulat demokratycznych reform zawartych w Manifestie Lubelskim, a także kilka postępów w dziedzinie polityki w zakresie ustawodawstwa pracy spowodowało ostre ataki sił przeciwnych.

W rezolucji z dnia 1 grudnia 1918 roku pisano, że „...rozstrzygnięto, wprowadzając rozstrój w kraju i wytwarzając walkę klasową, torując drogę do anarchii społecznej i politycznej... działa wbrew interesom państwa polskiego, a tym samym nie zasługują na zaufanie...”

11 grudnia 1918 roku, w komunikacji Stowarzyszenia Przemysłowców poddał ostrej krytyce rząd Moraczewskiego. Delegacja przemysłowców, będąc u naczelnika państwa — głosił komunikat — „...zobrazowała sytuację, jaka się wytworzyła w przemyśle krajowym oraz zgubne skutki, jakie pociągnąć za sobą musi dalsze tolerowanie przez rząd stanu obecnego...”. Także konferencja episkopatu polskiego wydała przy końcu grudnia 1918 roku oświadczenie, w którym, gdzie ostro protestowano przeciw zapowiedziom nacjonalizacji przemysłu, reformie rolnej i upowszechnieniu świeckiego szkolnictwa.

Moraczewski rozumiał powagę sytuacji. „...Społeczeństwo kółtów i filistrów zatrzęsało się z wściekłości — pisał — RefORMA agrarna wyklęszająca magnatów i szlachtę, walka z paskarstwem i lichwą, kontrola robotników nad zyskami przedsiębiorstw, podatek od majątku, a moze miliona ludowa lub szkoła wiejska, oto widma nie dające spokoju przywódcóm endeckim. Więcej rozwijaj standard z napisem Bóg i Ojczyzna...”

Rozwinęli — jak się okazało — skutecznie. Piłsudski, chcąc sobie zjednać prawicę, uznał, że Moraczewski, który już swoje podstawowe zadanie — powstrzymanie ofensywy radykalnej lewicy — wykonał, powinien ustąpić. Wyznaczenie nowego premiera Ignacego Paderewskiego oznaczało, że prawica doszła do siebie, że udało się częściowo rozładować nastroje rewolucyjne, że można zwołać sejm dla zalegalizowania i pełnego określenia politycznego oblicza Rzeczypospolitej. Prawica szła do wyborów przygotowana i zwraca, lewica umiarkowana zapatrzona była w Piłsudskiego, mającego wtedy na uwadze inne — jego zdaniem ważniejsze od formowania wewnętrznego porządku prawnego w państwie — sprawy. Radykalna lewica natomiast nie w parlamencie widziała możliwość urzeczywistnienia swoich dążeń. Rząd Moraczewskiego zwał zaciekle, jak prawica, chociaż z odrotych pozycji. „...Gdyby rząd p. Moraczewskiego — pisano w „Naszej Trybunie”, organie SDKPiL z dnia 29 listopada 1918 roku — nie rzucił swych hasel rewolucyjnych dla blagi i demagogii, lecz myślał poważnie o ich przeprowadzeniu, nie oddawałby ich losów w ręce konstytucyjną, która im sprawił pogrzeb pierwszej klasy, lecz odwołałby się do rad delegatów robotniczych i włościańskich. Nie można wprowadzać reform rewolucyjnych, opierających się na całym „narodzie”, na powszechnym głosowaniu wszystkich klas — wyszukiwujących i wyszukiwanych...”

A jeszcze dobitniej swój stosunek do sejmu zaprezentowano w organie Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, „Sztandarze Socjalizmu” na krótko przed wyborami w dniu 11 stycznia 1919 roku stwierdzając: „...Obecnie, skoro okręcamy w okres rewolucji społecznej, skoro klasa robotnicza wypowiedział walkę na śmierć i życie ustrojowi kapitalistycznemu i rozpoczyna bezpośredni bój o przebudowę społeczeństwa na zasadach socjalizmu — musi ona

zaatakować państwo burżuazyjne u samych jego podstaw, musi zburzyć jedną z głównych kolumn tego państwa, parlament ogólnonarodowy.”

Faktzem jest, że Sejm oparty na najbardziej demokratycznym nawięć prawie głosowania, jest podstawą „ludowości”, wyrazicielem swobodnie ujawnionej „woli ludu”.

Dopóki rewolucja społeczna nie została dokonana... — dopóty każde wybory powszechne nie dadzą obrazu „woli ludu”, wyniki ich będą zawsze zafałszowane, spaczne, wykrzywione na rzecz klas posiadających i faktycznie panujących...”

Burżuazja chce Sejmu bo widzi w nim, w okresie rozpoczynającej się i dojrzejącej rewolucji najdogodniejsze hasło dla zabicia rewolucji...”

Wychojąc z takiego punktu widzenia, Komunistyczna Partia Robotnicza Polski podjęła decyzję o bojkocie wyborów. Popeliła poważny błąd polityczny, skwapliwie wykorzystany przez siły społecznej prawicy.

Społeczeństwo polskie w pierwszych, po półtorawiecznej niewoli, miesiącach wolności, entuzjastycznie i często bezkrytycznie witało wszystko to, co związane było z istnieniem niepodległego państwa i tak też przyjęło zarządzenie wyborów do Sejmu. Prawica, szermując hasłem — jak to określił Jędrzej Moraczewski — „Bóg i Ojczyzna” i posługując się demokratycznymi frazesami uzyskiwała znaczne wpływy wśród wyborców. Lewica umiarkowana, wśród której było wielu współpracowników lub zwolenników Piłsudskiego, dystansując się od radykalnej lewicy wysuwała program realizowania reform społecznych, przy założeniu nadrzędności interesów państwa, kształtującego się pręciek jako burżuazyjne.

W rezultacie wybory zakończyły się zwycięstwem prawicy, która zdobyła 36 proc. mandatów. Jej 140 posłów szeregonych w klubie Związku Ludowo-Narodowego, wspartych 131 posłami centrum, gdzie główną rolę odgrywał klub PSL „Piast” Wincentego Witosa, posiadając łącznie 69 proc. głosów mogło skutecznie paraliżować wszelkie próby wprowadzenia bardziej radykalnych reform społecznych.

Lewica parlamentarna posiadała 27 proc. głosów. Było to wystarczająco dużo, by stawić na porządku dziennym sejmowych obrad interesy ludu pracującego miast i wsi, ale zbyt mało, by je w woli sejmu urzeczywistnić.

Już wybór pierwszego marszałka sejmu jednoznacznie pokazał jakie siły decydująco będą o kształcie polskiego parlamentu. Dwaj byli tylko liczący się kandydaci: z ramienia centrum — Wincenty Witos, a z prawicy — Wojciech Trąpczyński, wybrany większością kilku zaledwie głosów.

JAK PRACOWAŁ SEJM

Wybory stworzyły nową sytuację prawnopolityczną w państwie. Dotychczasowa władza najwyższa skupiona w osobie Józefa Piłsudskiego, jako tymczasowego naczelnika państwa, przeszła w ręce sejmu. 20 lutego 1919 roku pojawił się na sali sejmowych obrad Józef Piłsudski witaany entuzjastycznie przez wszystkich, nawet przez niechętną mu prawicę i przekazał władzę sejmowi. Powiedział wtedy: „...Rola moja jest skończona. Jestem szczęśliwy, że postawny swej żołnierskiej przysiędze i swemu przekonaniu postawić mogę do dyspozycji Sejmowi swoją władzę, którą dotąd w narodzie piastowałem. Oświadczam niniejszym, że składam swój urząd naczelnika państwa w ręce marszałka Sejmu...”

Nie czekał długo. Tego samego jeszcze dnia sejm uchwalił tzw. Małą Konstytucję, zabezpieczając dla siebie władzę suwerenną i ustawodawczą, natomiast Piłsudskiemu powierzył urząd naczelnika państwa, już nie tymczasowego. Jednakże mającą przewagę w sejmie prawica zadbała o to, by ograniczyć uprawnienia Piłsudskiego. Naczelnik państwa został określony jako przedstawiciel państwa i najwyższy wykonawca uchwał sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych. Każdy akt państwowy naczelnika państwa wymagał kontrasygnaty przez właściwego ministra.

Przy takim układzie politycznym w parlamencie i przy odmiennych nastrojach szerokiej mas można się było spodziewać, że przygotowywana konstytucja miał być charakterem kompromisu społecznego, zakładającego jednak zabezpieczenie podstawowych interesów klas posiadających.

Świadczą o tym mogła uchwała sejmowa z dnia 10 lipca 1919 roku o zasadach reformy rolnej. Ustalono wprawdzie, że chłopci otrzymają ziemię z parcelacji majątków państwowych i prywatnych — ponad 180 ha, a na kresach zachodnich i wschodnich — 400 ha — za odszkodowaniem dla obszarników, ale nie ustalono sposobu realizacji i uchwała pozostała na papierze.

17 marca 1921 roku sejm uchwalił konstytucję. „...dobro całej — zjednoczonej i niepodległej Matki-Ojczyzny mając na oku, a pragnąc Jej byt niepodległy, potęgę i bezpieczeństwo oraz ład społeczny utwierdzić na wiekistych zasadach prawa i wolności — stwierdzono na wstępie — pragnąc zarazem zapewnić rozwój wszystkich Jej sił moralnych i materialnych dla dobra całej odradzającej się ludzkości, wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej równość, a pracy poszanowanie, należne prawa i szczególną opiekę Państwa zabezpieczyć — tę oto Ustawę Konstytucyjną na Sejmie Ustawodawczym Rzeczypospolitej Polskiej uchwalamy i stanowimy...”

W tej podstawowej sprawie — równości, skończyli się jednak na deklaracjach. Artykuł 99 Konstytucji głoszący iż „...państwo uznaje wszelką własność... jako jedną z najważniejszych podstaw ustroju społecznego...” świadczył jednoznacznie, że Polska Odrodzona będzie burżuazyjna.

Przy swoich klasowych ograniczeniach miała Konstytucja, marcową nazywaną, demokratyczny charakter. Był to w stosunku do poprzedniej, jakże przecież postępowej Konstytucji 3 Maja, zdecydowany krok do przodu. Wprowadziła Konstytucja Marcowa równość obywateli wobec prawa, znosząc jakże rozbudowane dawne stanowe przywileje. Gwarantowała szerokie wolności obywatelskie — wolność myśli i przekonań, tajemnicę listów, wolność prasy, zgromadzenia się i stowarzyszenia. Szczególną ochroną państwa objęto pracę wprowadzając rozbudowany system ubezpieczeń społecznych. Mniejszościom narodowym — jedną trzecią ludności Rzeczypospolitej stanowiącym gwarantowano prawo zachowania narodowości, języka i szkół narodowych.

Z wolnością sumienia i wzniana była już nieco gorzej. Gwarancje równości w tym zakresie były podważane przez sformułowania Konstytucji, przyznające poważne uprawnienia Kościołowi katolickiemu i wprowadzające obowiązkową naukę religii. Przez cały czas sejmowych obrad trwał ostry spór o charakter konstytucji. Lewicy nie zadowalały świadczące o demokratycznym charakterze państwa konstytucyjne zapisy. Występowało przeciwko senatorowi, domagano się wolności strajków, żądano rozdziału Kościoła od państwa i szkoły świeckiej. Mimo jednak licznych sprzeciwów i protestów w czasie sejmowych obrad konstytucję uchwalono zdecydowaną większością głosów.

Sejm Ustawodawczy spełnił swoje podstawowe zadanie, a w Rzeczypospolitej Polskiej, utrwalonej jako państwo o ustroju kapitalistycznym rozpoczął się kolejny etap rozwoju, wiele wewnętrznych sprzeciwów w sobie kryjących. Zwierały się bowiem ze sobą i zaciekle zwalczały dwie tendencje — lewicę parlamentarną, dążącą do wprowadzania w życie demokratycznych sformułowań marcowej konstytucji i prawicy — wyraźną przewagę mającej, a starającej się burżuazyjni charakter tej konstytucji w pełni wykorzystywać dla potrzeb klas posiadających.

Tymczasem zbliżały się kolejne wybory, w których i prawica i lewica, tym razem i radykalna, upatrywały szansę zwiększenia swych wpływów.

Urodzony w rok po trzasku powstania styczniowego w polskiej, arystokratycznej i rzymskokatolickiej rodzinie (spokrewniony z Ledóchowskimi i Wiśniowieckimi, wnuk po kądzieli Aleksandra Fredry) — słuchacz uniwersytetów we Wrocławiu i w Krakowie, jednorocznik w huzarach Aleksander hrabia Szeptycki w dwudziestym trzecim roku życia uświadamia sobie powołanie do stanu kapłańskiego i wdziewa habit mniszy bazylianina. Habit klasztoru uńskiego, grecko-katolickiego!

Kłeska państw centralnych rozwiewa te nadzieje. Niepodległość Polski, w której granicach znalazła się Galicja, srawia Szeptyckiego przed ciężką próbą — Ukrainę zachodnią ogarnia płomień pobratymczych walk. Leje się krew ukraińska, leje się (obficie niestety) krew polska. Metropolita, zwany już wówczas „Ukraińskim Mojżeszem” jest przecież Polakiem, bratem polskiego generała! Wybiera to, co uważa za lepsze dla interesów Kościoła Powszechnego i Cerkwi unickiej. Łata panowania na wzgórze świętojurskim nauczyły go, że dla Cerkwi jest dobre to, co uważa za dobre naród ukraiński. Staje po stronie ukraińskich szowinistów.

Biografia kyr Andrieja Szeptyckiego, pióra Edwarda Prusa ma charakter naukowy i dlatego też młodość „władcy świętojurskiego” jest — głównie z powodu braku wiarygodnych źródeł potraktowana marginesowo. A szkoda! Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Święty czy kolaborant?

Czy prawdą jest, że inteligentny, wykształcony młodziwiec zrobił ten krok na życzenie hrabiego Ledóchowskiego, późniejszego generała zakonu jezuitów? Jaki wpływ na decyzję hrabiego miała audyencja jakiejś krótko przed wstąpieniem do nowicjatu bazylianów uświetnił mu papież Leon XIII?

Tego nie dowiemy się nigdy. Jedno wydaje się nie budzić wątpliwości: przysły metropolita Rusi Halickiej nie wstepuje do Kościoła unickiego, aby wieść tam żywot skromnego duszpastera. Jeśli czuje powołanie kapłańskie to nie jest to powołanie do życia w skromności i modlitwie, to powołanie do przewodzenia. Czy przewodzenie tylko Cerkwi unickiej, na obszarach zaboru austriackiego? Bez wątpienia — nie, Szeptycki przyjmuje imię: Andriej, Święty Andrzej Apostół jest patronem Cerkwi prawosławnej. Legenda głosi, że brat św. Piotra, Andrzej zafaknął krzyż nad dnierprowym brzegiem w miejscu gdzie później zbudowano Kijów, stając się w ten sposób prekursorem chrześcijańskiej słowiańszczyzny. Rzecz niezwykle charakterystyczna: młody mnich przybiera imię św. Andrzeja nie w brzmieniu ukraińskim „Andrij”, tylko w rosyjskim „Andriej”!

Kariera duchowna Szeptyckiego imponuje dynamizmem: już po dwóch latach, jeszcze przed przyjęciem święceń kapłańskich, jest przeorem, po następnych dziewięciu latach otrzymuje sakrę biskupa i nominację na ordynariusza stanisławowskiego. Na krótko — już po roku zostaje metropolitą Galicji i Lodomerii...

Przez całe życie był zdecydowanym papistą. Toteż pisał wniopoddane epistoły do Franciszka Józefa, Stolica Apostolska po upadku Rzeczypospolitej widziała przedmurze właśnie w monarchii austro-węgierskiej, a w cesarzu najwierniejszego ze swych synów. Cerkiew unicka była czymś w rodzaju „przedmurza przedmurza”

Nacjonalistycznie nastawiony na opinię ukraińską, zwłaszcza inteligencji i kleru grecko-katolickiego przyjmuje dość niechętnie młodego metropolitę. Jest „Lachem”, na dodatek arystokratą, słabo mówi po ukraińsku. Kyr Andriej do końca życia nie nauczył się płynnie mówić po ukraińsku. Po polsku ze zrozumiałych względów, nie chciał ani mówić, ani pisać. Wszystko było w rękopisach... po francusku!

Dzięki swej aktywności, ruchliwości i zrozumieniu dla ukraińskich spraw zdobywa sobie powoli serca narodu, któremu przewodził jako swego rodzaju interrex. Angażuje się w ukraińskie życie kulturalne i polityczne, zakłada organizacje, przewodzi fundacjom, inicjuje rozwój narodowego szkolnictwa, nieobecny mu są problemy ekonomiczne.

Wybuch pierwszej wojny jest dla kyr Andrieja szansą na rozszerzenie Cerkwi unickiej na wschód. Chyba w tym okresie widzi się już patriarchy całej Ukrainy, może nawet całej Rosji. Człowiekiem który tymfanie zakochany tysiącletnią szczytną bizantyjską, przywrócił Słowiańszczyznę wschodnią na

lona jedynego kościoła rzymskokatolickiego.

Kłeska państw centralnych rozwiewa te nadzieje. Niepodległość Polski, w której granicach znalazła się Galicja, srawia Szeptyckiego przed ciężką próbą — Ukrainę zachodnią ogarnia płomień pobratymczych walk. Leje się krew ukraińska, leje się (obficie niestety) krew polska. Metropolita, zwany już wówczas „Ukraińskim Mojżeszem” jest przecież Polakiem, bratem polskiego generała! Wybiera to, co uważa za lepsze dla interesów Kościoła Powszechnego i Cerkwi unickiej. Łata panowania na wzgórze świętojurskim nauczyły go, że dla Cerkwi jest dobre to, co uważa za dobre naród ukraiński. Staje po stronie ukraińskich szowinistów.

Biografia kyr Andrieja Szeptyckiego, pióra Edwarda Prusa ma charakter naukowy i dlatego też młodość „władcy świętojurskiego” jest — głównie z powodu braku wiarygodnych źródeł potraktowana marginesowo. A szkoda! Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

Być może nie jest to temat dla historyka czy publicysty, ale jaki temat dla beletrysty!

1.

Jego dionie leczyły. Dziesiątki, setki tysięcy ludzi garmęły się do nich. Rozbudzał nadzieję tam, gdzie już jej nie było. Codziennie przychodziły do niego setki listów — listy z prośbą o pomoc, listy rozpaczliwe, błagalne, a także listy z podziękowaniami za uwolnienie od brzemienia choroby, za ulgę w cierpieniu, listy z wetkniętą do środka czterolistną koniczyną... „Listy przesadzają o tym, co robię” — wyznał w książce, która stała się zapisem ostatnich lat jego życia.

Odwiedzał domy starców, sierocińce, szpitale, kliniki, 7 lat ustawicznie podróżował, spiesząc tam, gdzie był wzywany. Nie potrafił odmówić, choć był człowiekiem śmiertelnie chorym, balansującym na krawędzi życia.

Twierdził, że potrafi zobaczyć czyjąś śmierć. Te chwile najbardziej go przerażały, bronił się przed nimi, nie był nawet pewien, że to, co miało ją wyobrazić — matowa poświata promieniująca beznadziejnym blaskiem wokół napiętnowanej nim osoby, istniała obiektywnie. Kiedyś jego ręka bezwiednie powędrowała do piersi młodej kobiety, która znajdowała się blisko niego. Było to jeszcze w okresie, gdy w pełni nie był świadomy swoich paranormalnych właściwości. Wyglądało to na trywialny gest i tak zostało to przez obecnych przyjęte. Później dowiedział się, że kobieta w krótkim czasie zmarła na raka płuc. Zrozumiał niepokój, jaki wówczas odczuł na widok tej kobiety i gest ręką, którym chciał to podkreślić.

Potrafił również ujrzeć narządy wewnętrzne człowieka jak na kliszy rentgenologicznej. Te doznania, zwłaszcza na początku, wstrząsały nim, nie potrafił znaleźć na nie racjonalnego wytłumaczenia. Z tego powodu uciekł się nawet do pomocy psychiatry. Później, przekonał się, że może przekazywać swoją „energię życia” telepatycznie.

W październiku 1981 roku w Klinice Chorób Wewnętrznych w Tychach, gdzie przebywał jako pacjent, zjawia się matka kilkulatniej dziewczynki. Dziecko było po porażeniu, nie mówiło, stan jego był bardzo ciężki. On sam także chory, nie wolno mu było ruszać się z łóżka, każdy większy wysiłek mógł się skończyć zawalem lub wylewem. Prosił więc o zdjęcie dziewczynki. Matka nie dowierzała, dostarczyła mu jednak niewielką fotografię. Dziecko było w tej samej klinice, dwa piętra wyżej na neurologii. Nardelli wziął do rąk fotografię i przeprowadził telepatyczny zabieg. Trzy dni później dziewczynka była w stanie zejść po schodach na dół, pojawiła się przy jego łóżku. W kilka dni później mogła już opuścić szpital. Lekarze byli zdumieni: tak spektakularnych wyzdrowień medycyna nie notuje na co dzień.

Nardelli będzie stosował od lat te metody setki razy, nabierając przekonania, że „energia życia” nie zna przeszkód, może pokonać i tysiące kilometrów.

2.

Nim stał się najbardziej znanym polskim healerem, przeżył 50 lat zwyczajnego życia. W jego życiu płynęło trochę włoskiej krwi, dziad był Włochem, przybył do Polski z Sopronu, wiadomo, że po roku 1918 otrzymał obywatelstwo polskie. Ojciec Stanisława Nardellego był skromnym urzędnikiem państwowym, matka zaś nauczycielką. Stanisław urodził się 2 maja 1928 roku. Życie toczy się utartymi koleinami: gimnazjum, studia ekonomiczne, praca zawodowa, powolna kariera zdolnego menedżera przemysłu, liczne wysokie odznaczenia państwowe, wszystko jakby na przekór temu, co niebawem stanie się jego udziałem. To właśnie nawyk praktycznego myślenia, opieranie się na racjonalnych przesłankach, kult faktu tworzą sprzeczność z właściwościami, które u siebie dostrzega. Będzie się starał zgromadzić wszystko, co stanowiło dowód na udurowienie człowieka, doświadczenia z życia „energii życia”. Stosy listów, teźnania lekarzy, testy, komunikaty i protokoły z przeprowadzanych zabiegów. W swoim domu gromadził bogatą bibliotekę z dziedzin medycyny niekonwencjonalnej, wszystko, co jest z nią związane. Dziś, wraz z zebranymi dokumentami, stanowi ona niepowtarzalne źródło wiedzy o czymś, co jeszcze nie jest w pełni spenetrowane, co jednakże towarzyszyło człowiekowi od zarania jego dziejów.

Eksplozja paranormalnych właściwości następuje w 1978 r., kiedy dotknięty chorobą, odchodzi na rentę inwalidzką. Wcześniej, kilkakrotnie dzieje się coś, czego ani on, ani najbliższe otoczenie nie jest w stanie sobie wytłumaczyć. Jako 7-letni chłopiec pomógł dojść do zdrowia bratu, gdy ten bawiąc się piłką skaleczył się dotkliwie. Zbogatelizowana sprawa kończy się teźnem. Rodzice są zrozpaczeni, on sam, z ciekawości dotyka twarzy brata, chciałby mu pomóc... Po kilku dniach brat bawił się już na podwórku. Nikt nie rozumie przyczyny tak nagłej przemiany w stanie zdrowia chłopca. 1,5-letnia córka Marietta poparzona w czasie pożaru mieszkania, w beznadziejnym stanie, z licznymi głębokimi ranami na ciele dochodzi do zdrowia w ciągu miesiąca. On cały ten czas jest przy niej, bardzo blisko, nosi ją na rękach. Czy nie wie jeszcze o właściwościach emanujących z jego dionie? Podejrzewa siebie o coś bez mała nadprzyrodzonego? Jeśli nawet coś w nim wzbudza niepokój, usiłuje przejść na tym do porządku dziennego.

Niezrozumiałych przypadków jest więcej. W 1971 roku zapada na gościec przewlekły postępujący jego żona, Wanda. Lekarze wiedzą, jak beznadziejna jest walka z tą chorobą. A jednak jego żonie miła ona bez śladu. Niebawem nowa tragedia w rodzinie — w szpitalu znajduje się bratowa z objawami skrętu kiszek. Konieczna jest natychmiastowa operacja. Brat zawozi go w ślad za karetką pogotowia. Wechodzi na salę przedoperacyjną. Bratowa jest już przygotowana do zabiegu, ktoś podaje zdjęty z palca pierścienek i obrączkę. Szybko, nie bacząc na nic, podchodzi do niej i kładzie swoje dionie na wzdętym brzuchu. Trzyma je tak kilka minut. Dziwne, przepojone niepokojem misterium. Operacja trwa tylko 40 minut, skalpel ukazuje wnętrze, ale nie trzeba tu już nic więcej...

6 ODGŁOSY

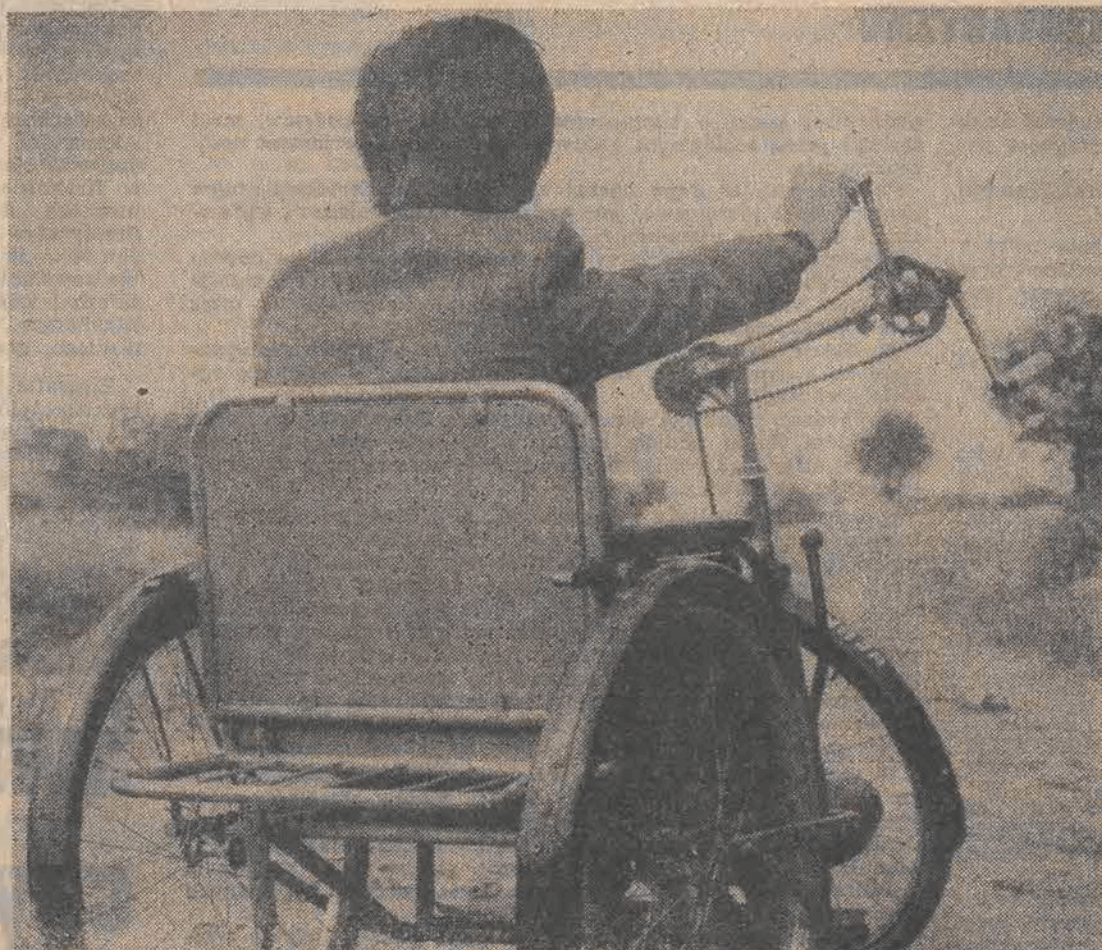


Foto: Ryszard Łuczyszyn

Pomagał innym, a nikt nie mógł mu pomóc

3.

W owym czasie dwukrotnie spotyka się z Clive'em Harrisem jako pacjent. Twierdził, że nic szczególnego nie wyniknęło z tych spotkań, jedynie podczas drugiej wizyty Harris poprosił go, aby zacheł, a następnie długą chwilę badał go mu się przyglądał.

Jako częsty pacjent klinik i szpitali powoli przekracza barierę prywatności. Ludzie, którzy razem z nim przebywają na sali, łatwiej przychodzą do zdrowia. On sam chętnie rejestruje fakty, które to potwierdzają. Zwiększały one jego poczucie pewności siebie. „Nie udziwniętym komicznym zajęcia” — napisał w swojej książce.

Doktor medycyny Fikret Ismail Zade — naukowiec z pracowni Fizjopatologii i Leczenia Bólu Instytutu Anestezjologii Akademii Medycznej w Poznaniu, pochodzący z Azerbejdżanu, po wielu badaniach i obserwacjach sam poddając się jego zabiegom, opracował dla niego coś w rodzaju podstawowej teoretycznej orientacji. Ukłł także termin na rodzaj uprawianej przez niego działalności, proponując dla niej nazwę „bioenergoterapia”.

Jego dionie, zawsze suche i ciepłe, dostarczały mu ciągłe nowej wiedzy o sobie. Intuicja podpowiadała, że najbardziej może ufać własnym doznaniom. Kontakty z naukowym światem, z ludźmi zajętymi na serio niekonwencjonalnymi metodami leczenia potrzebne były własnemu uwiarygodnieniu. Ale często wskazywały, które od nich otrzymywał, rozmijały się z wiedzą, jaką zdobywał sam w kontaktach z chorymi. Dlaczego — zastanawiał się — jego ręce dotykają innego miejsca, aniżeli wskazuje chory? Dlaczego niekiedy wystarczy dotknięcie, a innym razem dionie wędrują wzdłuż całego ciała? Takie reakcje powtarzały się, zwielokrotniały, tworzyły się nowe dla niego abecadko metody leczenia przy pomocy „bioenergoterapii”. Do końca starał się rozszyfrować tę nieznaną mowę dotyku, zakodowaną w człowieku, wychylającą się z mroków tysięcy lat.

Dotykaniem swoich dionie potrafił zdjąć ból w kilka sekund. Z licznych, stojących w sprzeczności z slogatą przypadków wyleczenia, bądź ewidentnej poprawy w stanie chorego mogłaby powstać niemalych rozmiarów księga. Nie wszystkim mógł pomóc, lecz nawet w beznadziejnych przypadkach zapewniał komfort normalnej śmierci, tak, jak choćby piosenkarce Annie Ś., kiedy stwierdzono u niej nowotwór. Był u niej w trzy dni po operacji, a później jeszcze kilkakrotnie. Żył jeszcze rok, pełna nadziei. Mawiał, że w przypadku nowotworu stadium trzecie lub czwarte dla lekarzy, dla niego może być dopiero pierwszym. Toteż stawał tam, gdzie lekarze nie dawali już choremu szans.

Jego pacjenci rekrutowali się ze wszystkich warstw społecznych, z wszelkich profesji i stanowisk. Był wśród nich najwyżsi dostojnicy państwowi, generałowie, hierarchia kościelna, naukowcy, lekarze. Najwięcej, jak z pewną ironią twierdził, było lekarzy. „Gdybym ustawił szereg złożony ze wszystkich profesorów — moich pacjentów, którzy mówili mi, że bardzo wierzą w to, co robię, którym pomogłem, to ciągnąłby się on przez wszystkie korytarze w tym szpitalu...”

4.

Wiosną 1982 roku mają miejsce pierwsze sesje zbiorowej bioenergoterapii. Otrzymują one

nazwę „efektu Nardellego”. Historia nie znała jeszcze terapii polegającej na przekazywaniu bioenergii tysiącom ludzi przez jednego człowieka. Największe odebrą się w Przemysiu, rok później, kiedy na tamtejszym stadionie pojawił się blisko 30 tys. ludzi, potrzebna będzie interwencja wojska, by opanować tłum zawieszonych, którym nie udało się otrzymać kart wstępu.

Wcześniej był katowicki „spodek”, gdańska „Olivia”, Tarnów, w następnych latach Tomaszów Mazowiecki i wiele innych miast. Wszędzie olbrzymie rzesze ludzi dotkniętych chorobą, bezmiar nieszczęścia i towarzysząca mu w podobnych proporcjach nadzieja. Ktoś trafnie powiedział, że cierpienie chowa się w domu, nie widać go na co dzień. Można więc było zobaczyć wyciągnięte na światło dnia cierpienie zwielokrotnione — tysiącokrotnie, dziesięć tysięcy razy...

Dzieci, które nigdy nie widziały otaczającego świata, gdyż były niewidome, dzieci, którym nie było dane zrobić po ziemi jednego kroku, gdyż były sparaliżowane, dzieci z wodogłowiem, dzieci psychicznie chore, dzieci z porażeniami mózgu, dzieci w różnym wieku i starcy, i także ludzie młodzi. Ludzie na noszach ustawionych rzędami, ludzie o kulach stojący całymi szeregami, ludzie podtrzymywani przez innych, ludzie na wózkach inwalidzkich. Wśród nich ludzie zdrowi, wiedzeni ciekawością, przybyli na wszelki wypadek, z zapobiegliwości, z troski o jutro.

Wszyscy ci ludzie brali się za ręce, kiedy na zbitym z desek podium pojawiał się wysoki mężczyzna o diabolicznych nieco rysach twarzy. Ręce niesprawne były brane przez zdrowe ręce. Musiał powstać łańcuch, którego początkiem były ręce owego człowieka. W ciszy, która nagle zapadła, dochodziły do wszystkich jego słowa wypowiedziane zmęczonym, wydobywanym z najwyższym trudem głosem. Były to zawsze podobne słowa, proste, o nieskomplikowanej wymowie, ale wypowiedziane w tej scenie były jedynie odpowiednie, nieoczekiwane prawdziwe.

Człowiek na podium mówił wpatrzonemu w niego tłumowi, że zrobi wszystko, żeby mu pomóc. Misterium trwało kilka minut, a potem tłum opuszczał ręce, rozplatał splecione palce. Wielu odchodziło zawieszonych, choć spiker towarzyszący człowiekowi, którego o po tym zabiegu musiano niejednokrotnie niemal przywracać do życia, zapewniał, że efekty nie muszą ujawnić się od razu. Prosił też o dostarczenie informacji o skutkach zabiegu.

5.

To była najbardziej kontrowersyjna strona działalności Stanisława Nardellego. Mimo że zbiorowym seansom zawsze towarzyszyła armia ludzi w białych kitlach, mimo że spiker wykrzykiwał zaobserwowane w tłumie przypadki ozdrowień. Czy można pomóc dziesiątkom tysięcy ludzi, przesyłając im swoją bioenergię? Nardelli twierdził, że jest to możliwe. Był o tym przekonany i starał się przekonać innych. Nie miał natomiast pewności, że te zabiegi dają efekty trwałe. Był jednakże przytłoczony rozmiarem nieszczęścia, które dane mu było oglądać i nie mógł z dnia na dzień powiedzieć sobie, że rozbudzona nadzieja przetrasta to, czym mógł ją nakarmić.

Wiedział ponadto, że z jego bioenergią dzieją się dziwne rzeczy. Bywało, że w ciągu 24 godzin była ona wręcz minimalna. A jeśli w takj właśnie dzień stawał naprzeciw zgromadzonego tłumowi?

Równie jak on sławny healer, Clive Harris robił to inaczej. Jego także przytłaczała piramida widzianych nieszczęść. Harris dotyka każdego z osobna, a sznur ludzi przesuwają się przez jego dionie jak nieskończony naszyjnik.

Stanisław Nardelli wiedział, że obcuje z czymś, co nie jest jeszcze znane. „Kto dziś wie na pewno, komu mój zabieg jest potrzebny? — zapytał siebie. I odpowiadał: — Nikt! Kiedyś nie będzie rozczarowań. Kiedy? Zanim to nastąpi, każdy przyjdzie do mnie przynajmniej po nadzieję, która umiera w człowieku ostatnia”. Nie będzie duża przesada, jeśli o tych zabiegach dostrzeże się również gigantyczny seans psychoterapii, co w żadnej chorobie nie jest obojętne a w wielu wręcz nieodzowne. Był to dla niego także eksperyment, w którym liczył, że wydarzy się coś nieoczekiwanego, jakby wśród tłumy miał pojawić się ktoś podobny jemu...

6.

W roku 1984 rozpoczyna się seria jego zagranicznych wояży, najpierw do Republiki Federalnej Niemiec, później do Austrii, gdzie zostaje konsultantem w Instytucie Medycyny Komputerowej w Wiedniu. Wyjeżdża także do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Pretekstem jest przyznanie doktoratu kulturalnego przez Uniwersytet Świata w Tucson w Arizonie. W Stanach przebywa dwukrotnie, goszczony głównie przez tamtejszą Polonię. Za każdym razem wiezie ze sobą długą listę sporządzoną przez klinikę Śląskiej Akademii Medycznej, na której figuruje zestaw potrzebnych urządzeń i aparatury medycznej. Podobnie jak w przypadku podróży do RFN, tak i tu zostanie utworzona fundacja nosząca jego imię, z tych zaś środków będą w ślad za nim przybywał do kraju unikalne urządzenia za dziesiątki tysięcy dolarów.

Praktyka ta stosowana była także w kraju, około stu milionów złotych wzbogaciło aktem jego woli służbę zdrowia. Część sumy przeznaczona została na badania dotyczące bioenergoterapii, dla lekarzy podejmujących tę problematykę.

7.

Mimo okazałej postury był człowiekiem słabym, człowiekiem-mimozą, ulegającym swojej psychice w stopniu daleko większym, niż się to zdarza w większości ludzi. Od kondycji psychicznej zależało jego zdrowie. Był zdania, że im jego organizm jest słabszy, w tym większym stopniu mógł pomóc drugiemu człowiekowi. Żył niepewnym życiem cukrzyka, ustawicznie podtrzymywany zastrzykami insuliny, na palcu jednej stopy miał wiecznie jątrzącą się ranę, na opuchnięte nogi z trudem mógł założyć buty. Podczas pobytu w Stanach ginie mu w jednym z hoteli para butów, ktoś zdejmując własne, równie potężnych rozmiarów i wkłada mu na nogi. Sam idzie do domu bosy. Stanisław Nardelli jest wstrząśnięty tym faktem, a przecież dane mu było zanać niezliczonych dowodów uznania dla tego, co robił, ten miał jednakże szczególną wymowę, uzmysławiał mu rolę, jaką ludzie skidni byli łączyc z jego osobą.

W erze kosmicznych podbojów potrzebne są jednak fakty udowodnione naukowo — znamienna rzecz: rzadko kto znajduje się tak blisko mistycyzmu, i rzadko też kto tak bardzo pragnie taką pokusę od siebie odepchnąć. Bardzo obawiał się ośmieszających sytuacji, to co robił, traktował serio i szukał dla swojego zajęcia konwencji racjonalistycznej. Z drugiej zaś strony, książce, która ukazuje się w Stanach nadaje tytuł „Radość uzdrawiania” i nie chce tego tytułu zmienić, choć wie, że wyraża on bardzo dużo...

8.

Wiosną 1985 roku jest już człowiekiem-wrażliwym. Kiedy zgłasza się do jednej z klinik Śląskiej Akademii Medycznej otrzymuje odpowiedź jak wyrok: nikt nie jest już w stanie mu pomóc! Dla niego liczyła się jednak nadzieja, bez niej nic nie miało sensu. Helikopterem zostaje przewieziony do Lublina, tam ma przyjaciół. 4 tygodnie leży podtrzymywany przy życiu kroplówkami i respiratorem. Docierają do niego tylko proste kwestie, w końcu przestaje mówić. Aleksandrowi Trzaskę, dziennikarzowi katowickiej rozgłośni radiowej, który towarzyszył mu przez ostatnie 3 lata, rejestrując na magnetofonowych taśmach dziesiątki rozmów, wypowiedzi ludzi biorących udział w zabiegach, lekarzy, pacjentów, sceny radości, szloch i zdumienie — napisał na kartce papieru: *Strzeż mojego dzieła!* Są to słowa jak hieroglify, ledwo czytelne, pisane z największym wysiłkiem. Umiera w 3 tygodnie później, 30 czerwca 1985 r.

Ważne są te trzy krótkie słowa. Świadczą one o tym, że Nardelli był przekonany, iż zostawia coś, co nie powinno być zmarnowane, w wartość czego nie wątpił. Tym czymś są nie tylko dokumenty skrupulatnie gromadzone przez minionych 7 lat, owe protokoły, opinie komisji lekarskich, sygnowane nazwiskami, z których pod niejednym kryje się naukowy aurytelet, to także ludzie, grono oddanych bioenergoterapii lekarzy, traktujących ją jak dziedzinę ponowną konwencjonalnej medycyny. Pozostaje jednak pytanie, jaką szansę mają ci ludzie na wcielanie swoich zamysłów w życie, czy rzeczywiście „Jenomem Nardellego” dał na uce asumpt do przyjrzenia się z pełną wnikliwością czemuś mało jej dotąd znanemu? Czy dzieła Stanisława Nardellego uda się ustrzec przed obojętnością świata nauki, która ten już nieraz w historii objawiał wobec nieznanego?

WŁADYSŁAW MALKA

ta, obok, w sąsiedniej celi kawał historii skrócony do absurdu. Postacie z archiwalnych filmów, kronik, podręczników historii, pierwszych stron pozłokowych gazet. A przecież równi, tacy sami. Na przyczynie Erich Koch — komisarz Rzeszy, nadprezydent Prus Wschodnich. Na takiej samej przyczynie, w takim samym odzieniu, je to samo co wszyscy... I ten facet, który drul kasy, forsę palił w piecu, o którym nakreślił film. Na takiej samej przyczynie, w takim samym odzieniu, je to samo co wszyscy.

Ambasada

W „Ambasadzie” jest przedświata, którym rzadzi czas. Ludzie z zewnątrz pachną wiatrem, noszą dziwne, barwne stroje. Ludzie z zewnątrz przynoszą doświadczenia — nerwowo przebiegają palcami. Iść do „ambasady” to tak, jakby stanąć na progu tego ich świata — dobrze i źle. Chyba jednak źle.

Gdyby można było nie wracać tam...

W poczekalni jest duszno i gorąco. Przemieszani ze stertami paczek siedzą ludzie. Na ławach, parawetach, na podłodze. Dzieci tulą główki w matczyne spódnice, budzą się, zasypiają, płaczą wytrącone ze snu. Kobiety: młode, stare, bardzo eleganckie i bardzo niechlujne. Jakże skóra do pomocy, ustąpienia miejsca, do zwierzeń.

— Pani wie, mały biec mieściły nie widział oca. Mówimy mu, że tatuś jest chory, że leży w szpitalu...

A na twarzach wyrysowane zmęczenie, długa podróż nocnym pociągami, długie czekanie przed zamkniętą bramą.

— Tylko czy sernik aby się nie poznioł? Tak chciałam mojemu przywieźć kawałek domowego ciasta. Pani myśli, że pozwala...

I kolejny już papieros w drżących palcach. Ktoś podaje ogień, ktoś podsuwa popielnicę. Stabiatki uśmiech podziękowania.

— Zeszłym razem pilnowała ta gruba chamra. Ona to nawet p dyska wyrwie kawałek kiełbasy, co go dla syna przemycałam. Żeby tej Pan Bóg odplacił tym samym...

A przy okienku stoła wybrańczy z paczkami, Staruszek w błocennej koszulce, wymiętej marynarce, lśniących gumowcach, dama w koronkowej bluzce, lświący żęgotność z laszczka.

— Żadnych słoików, puszek, metalowych opakowań!

— Pasty do zębów wycisnąć do foliowego woreczka!

— Papierosów tylko trzy paczki! Więcej nie wolno!

— Żadnych pieniedzy!

Ta kartka to wiezienny talon. Warzywno-owocowy. Na dwa kilo. Ile to jest dwa kilo witamin dla człowieka stamtąd. Kilka jabłek, główka zwidlety, sałaty, czosnek, cebula — dużo cebuli. Nie, cytryn nie wolno.

— Tu nie jest Kanada, tylko wiezienie...

Po tamtej stronie kraty będą ta tabka i ta cebula może cząstka domu, może towarem wymiennym — za kilka papierosów i tyk „czaj”.

„Skazany może otrzymać paczkę żywnościową tylko w formie narody za dobra prace i sprawowanie” — mówi regulamin.

— Co jest w tej torbie?

— Cukier, pani strażniczko. Gdzieżbym śmiała okłamywać władze.

— Po co tyle kiełbasy. A co pani zostało do jedzenia?

— Pani strażniczko, mnie tam wiele nie trzeba. Żeby tylko syn miał...

A potem jest ta przekleciona waga, na którą trzeba położyć paczkę, choć wiadomo, że szala opadnie z trzaskiem, że będzie za dużo. Lecz może kobieta w mundurze machnie reka, może pozwoli — wtedy ci następni ukradkiem dorzu-

— Synu, widzę cie. Jesteś tylko metr ode mnie, za grubą szyba. Uśmiechasz się...

„Metr ode mnie” Lacy martwym telefonicznym drut i ta zimna szyba — dzieli.

— Słuchają nas, tato.

Więc szczęśliwy rozmawiała — jak to się mówi — „przy stoliku”. „Stolik” to taka duża drewniana skrzynia — wytwór wieziennego regulaminu. Bo zwyczajni stolik kusi. Kusi, żeby podać pod nim coś w te lub w tamtą stronę. Skrzynia jest bariera.

— Rece na skrzynię!

Lecz najpierw trzeba wejść do rozmównicy. Trzymać przed sobą dowód osobisty, torbę zamknąć w szafce.

— Co pani trzyma pod swetrem?! Proszę to wyjąć!

— Nie, tyle papierosów nie da rady!

— Kwiaty? — w żadnym wypadku!

A potem siada się przy „stoliku”, pod ścianą. I czeka się. Za tamtymi drzwiami stoja więźniowie. Już ich słychać. Wchodzą.

— Tutaj, tutaj jestem, nie poznajesz...

„Rozmowy w czasie widzenia mogą być prowadzone wyłącznie w języku polskim. Osoby chcące rozmawiać w innych językach winny o tym uprzedzić w czasie załatwiania formalności związanych z udzielaniem widzenia” — mówi regulamin.

— Sładzmy, Co w domu?

— Mizernie wyglądasz.

— Wiesz, Paweł poszedł do wojska...

O czym najpierw? Może o domu, może o tym, że już niedługo...

— Teraz nie widza, poszł sobie. Masz tu kanankę i cytrynę, co je przemycałam w rekawie. Jedz, mam jeszcze, jedz...

„Zabrania się podawania skazanym w czasie trwania widzenia jakichkolwiek przedmiotów” — mówi regulamin.

— Jedz, Co zjesz to twoje. Tu jest czekolada, jedz...

Co więcej — słowa otuchy? Nie, otuchy nie trzeba. Słowa służy ukrywaniu myśli. Myśl błądzi po najbliższych scenariuszach jutra. Tylko pesymistyci znają uczucie radości, potrafia cieszyć się, gdy jest choć odcienie lepiej niż źle.

— Nie mówcie proszę o amnestii. Chociaż wy o tym nie mówcie...

„amnestii wymyślono po to, żeby dać siłę przetrwania, żeby zaszczyć wiarę, żeby chciało się czekać do rana.

Tam, w celi mówi się o amnestii przy okazji i bez okazji. Odlicza się rocznice, państwowe święta, dodaje, odejmuje... Kiedy długo mówi się o czymś, co nie istnieje, albo co tylko może istnieć, wtedy przychodzi taka chwila, że chcesz czy nie chcesz zaczynasz wierzyc że poza tym czymś wszystko inne to białostka, że ludzkość je, pić, śpi, sieje, zbiera i rozmnaża się tylko dla tego czegoś. I wtedy pójdziesz o każdy zakład, o najwyższą stawkę, że tak właśnie jest. A to gówno prawda.

— Jak wrócisz. Krzysio będzie chodził tuż do trzeciej klasy.

— Wiesz, naczelnik powie, że przewioza cie do innego więzienia.

— Zobacz, to jest fotografia z ślubu Doroty. Taka była szczęśliwa...

I zaraz koniec tej jednej godziny. Tak trudno odejść. Trzeba zrobić to szybko i nie odwracać się. Zapamiętać te oczy bez łez. Za miesiąc, potem znowu za miesiąc. Raz w miesiącu 60 minut.

ROMAN KUBIAK

W każdy poniedziałek „rodeo” w Zgierzu!

ze str. 1

wpuszczano z pogadankami, prelekcjami na teren szkół, zaś sami nauczyciele, oczywiście nie wszyscy, uważali, iż paranie się tymi sprawami uwłacza ich godności, postępowaniu — dosłownie tak kiedyś sformułował to jeden z dyrektorów szkół na zebraniu. Widać, że nagłe czegoś zabrakło naszym pedagogom — skutki ich działalności, naszej obojętności już dziś możemy obserwować. Zanim przyjdą refleksje, chciałbym przypomnieć co powiedziała Maria Dąbrowska — „wytrwałą i ofiarną walkę z okrucieństwem, wobec zwierząt uważam za walkę o godność, kulturę moralną i wyższą cywilizację społeczeństwa”. Czyżby zatem programy szkolne w tej mierze były niepełnowartościowe? A ponieważ sytuacja taka trwa od lat, należałoby dokonać radykalnej zmiany, bo coś zaczyna się wyraźnie walić w tym naszym modelu socjalistycznej moralności. Dotyczy to zarówno dzieci jak i dorosłych.

Tylko patrzeć, jak renciści zaczęli wyłapywać na lassa psy, para byle kundli może podreperować skromny budżet! Pogratulować subtelnych metod wychowawczych władzom Zgierza. Pewnie także oczekują, iż maluchy składające pieniądze do skarbonki będą również chciały powiększyć swoje oszczędności. Może nawet przyprowadzą własne psy, jak się im znudzą, lub zaczęną wyłapywać cudze. A gdyby tak wydać nowe sposoby zarządzania, podbić ce-

Zeszłą prezydent Orczykowski swoje poglądy o „psim luksusie” podparła stosownymi zarządzeniami. Na przykład podniósł podatek za posiadanie czworonoga z 500 do 800 złotych. „Gdybym mógł podniósłbym do 10 tysięcy!” — stwierdził.

— Stanowczo za dużo ostatnio namnożyło się bezsensownych sloganów. Wiadomo, że pies od wieków jest uznawany za przyjaciela człowieka. Znany korzystny wpływ tych zwierząt na kształtowanie osobowości dzieci, opiekunów, obywateli itp. A pies ratownik, przewodnik niewidomych. Zasięgi piślego rodu dla człowieka są znaczne, ale w końcu nie każdy musi je doceniać...

Wypadałoby jednak aby prezydent Zgierza znał lepiej ustawodawstwo. Żaden obowiązujący akt prawny w PRL nie zezwala na instytucjonalizowanie łapania psów, ani jednostkom organizacyjnym, tym bardziej osobom postronnym. Zarządzenie Rady Ministrów z 25 lipca 1958 r. (Dz. U. nr 49, poz. 242) jednoznacznie zlikwidowało działalność rakarzy w stosunku do żywych zwierząt, ograniczając ich czynności do usuwania zwłok zwierzęcych.

Ogromna niechęć do czworonogów i do ludzi, którzy bronią ich interesów była zią doradczą. Prezydent Zgierza nie zwrócił się z problemem bezpieczeństwa psów do łódzkiego TOZ, które przecież zajmuje się także tymi sprawami. Wspólnie można by było znaleźć rozwiązanie nie budzące niedrochych instynktów, za-

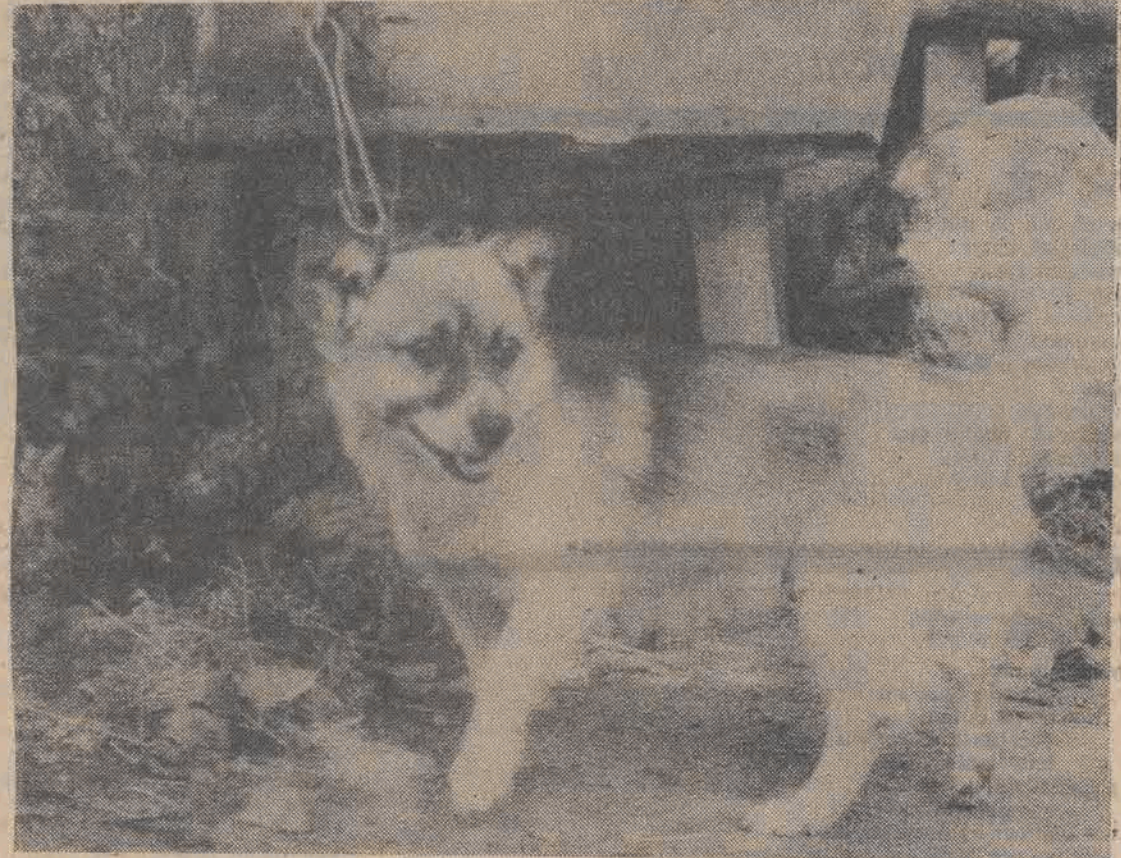


Foto: Grzegorz Galasiński

nią? Znany już podobne metody wychowawcze, twarzą to była szkoła życia, tyle że tych co z niej wyszli, trudno ludzi mnieć... A może prezydent Zgierza pozaprosił na przykład corridy Hiszpanom i dlatego za-fundował mieszkańcom swego grodu psie rodeo?

Brygada Rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Zgierzu we wspomniany już wcześniej poniedziałek przeszła wszelkie oczekiwania. „Psa łapanka” przybrała niespotykane dotąd rozmiary. Dla pijanych pracowników nie lada zabawę stanowiło wydzieranie dzieciom psów ze smyczami, zabieranie ich staruszkom. Tego feralnego dnia „brygada” dowiozła do leczycyckiego schroniska aż 29 zwierząt, 22 sztuki były w małych klatkach, jeden pies na drugim. Pozostałe siedem dyndało na łańcuchu za samochodem!

Mieszkańcy próbowali interweniować na miejscu broniąc swej własności — ulubionych czworonogów. W wielu przypadkach nie to nie pomogło, zwłaszcza jeśli oponowały dzieci lub osoby starsze. Stała się ogromna krzywda ludziom i zwierzętom! W biały dzień, publicznie, na oczach całego miasta popełniono czyn wysoce nieetyczny, niehumanitarny. Bolesne jest to, że zastanawiano się majestatem władzy, i przecież jawnie pogwałcono prawo! Dano wysoce niemoralną lekcję dzieciom! Spokojnym obywatelom! Ileż zia może wyrządzić jedno „zarządzenie”!

Bardziej świadomi mieszkańcy chcieli na gorąco przerwać tę działalność. Jednak ten, który z racji urzędu powinien być bezpośrednio zainteresowany wyczynami swoich pracowników, zastępca dyrektora Rejonowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Zgierzu, p. Majak, był zaskoczony, oburzony, iż ktoś z ulicy śmie interweniować, krytykować „władze”. Taki szary obywatel, motloch... Pani Marianna Skrobiszewska, która właśnie zgłosiła się w tej sprawie, została potraktowana gorzej niż źle...

A oto, co odpowiedział sam ojciec miasta, W. Orczykowski kilka tygodni temu przez TOZ w Łodzi, A. Stepczyńskiej:

— Jestem tak obstawiony paragrafami, że nikt mi nie może nic zrobić, nawet wasze Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Uważam, że pies w dzisiejszych czasach to luksus!

działał humanitarnie, nie naruszając prawa własności. Umiar wskazany jest w każdej sytuacji. Przecież to właśnie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, wspólnie z „Sanepidem” czuwa nad populacją bezpańskich psów, kotów, które mogą zagrażać życiu i zdrowiu ludzkiemu. I zupełnie niepotrzebnie znadruca część społeczeństwa TOZ uważa za instytucję lit tylko opiekunów, upatrując jej patronki w starszej, samotnej, trochę zwiariowanej pani z gromadą psów na smyczy...

Nie jest to na pewno instytucja bogata, utrzymuje się bowiem ze składek. Przystałoby się na przykład, aby jakiś zakład lub któraś z bogatych firm polonijnych podjęła się patronatu, pomogła w sprawach wymagających sporych nakładów finansowych, na przykład wyremontowała siedzibę TOZ przy ul. Andrzeja Struga 11 w Łodzi. Dobrej sprawie warto pomóc, wszystko się liczy. Tym bardziej, że społeczeństwo obojętnie nie tylko na „psie”, ale i na ludzkie krzywdy. Coraz rzadziej wśród tłumów zauważa się osobę potrzebującą pomocy, każdy przemyka chylikiem, nie chce się angażować, czeka aż uczynią to inni, nad człowiekiem nie warto się pochylać, a cóż dopiero nad psem...

Także naczelnik Miasta i Gminy w Łasku wydal „stosowne” zarządzenie. Na słupkach ukazały się obwieszczenia, iż waligające się psy będą wyłapywane, odwołone do schroniska w Łodzi przy ul. Marmurowej. Czy tylko bezpańskie? Obywateli tegoż miasta zadękle broniący swego ulubieńca przed uprowadzeniem stwierdził, iż „rakarz” działa na umowie zleceniu zezwalającym na wyłapywanie psów od 1.06.85 roku. Gdzie zatem jest pismo? Jak urzędują ci, którzy przede wszystkim powinni czuwać nad przestrzeganiem go? Co im tam jakieś centralne ustawy, rozporządzenia.

Należy nie tylko natychmiastowo anulować, niehumanitarne decyzje, ale autorzy ich muszą ponieść odpowiednie konsekwencje, jako że jawnie łamali prawo i działali na szkodę obywateli.

EDWARD BRYL

DEBIUTY

Tomasz Włodkowski

Nie dane mi jest...

nie dane mi jest oglądać kaskady białych domów zlewających się bezładnie w pobłyskującą zatokę ginącą w labiryncie uliczek nieznanego miasta spienionego niczym czerwone wino śmiać się innością uciekać od codzienności tamtejszej jak od bielizny łączącej dom z domem w nieskończone linie przeszkadzających sobie kafejek gdzie schować się można w uśmiechu kelnera potem wracając czekać chwilę parę zanim powietrze przetłumaczy twarde i rozbawiony język mój starym ale wciąż nie tak zdziwionym murem którym lata pozwoliły na pewno już nie raz słyszeć tę mowę by wreszcie położyć się w hotelowym pokoju i zasnąć szybką z workiem wrażeń do rana tymczasem za oknem dom przy domu ustawiony równo szeregami w takich samych mundurach i tak samo bezmyślnie każdy z osobna wystraszony skulony w sobie podobny do mnie i równie jak ja odrywający na dźwięki pewne odczuwający to drganie bo tylko tu ono jest rozumiane i inne sprawy też tylko tu są i dlatego gdyby dane było mi obudzić się tam po krótkim śnie wcześniej tak wcześniej że jeszcze nie rozwarte różnobarwne okienka domów pozwoliłyby mi iść niepostrzeżenie w stronę ledwo osłonecznioną przystani gdzie tylko mewy bezwiednie mieszają morze z niebem plamiąc wszystko na chwilę nagle schwytaną rybą dosypiać w spokojności lin i żagli przykryty wiatrem o zapachu starożytnych ruin zataśknąć zataśknąć nawet do szeregu domów za oknem ale najbardziej do ciemnego wnętrza kościoła gdzie słońce z trudem przeciska się między świętymi w witrażach i wązłutkim strumieniem oświetlenia posadzkę z wyciśniętą stopą jakiegoś rycerza które to odbicie jest jawnym dowodem siły tkwiącej we mnie

Norbert Brycht



w drodze do wiersza
zdzieram buty
włosami rosne
płynę
żyję
zdycham
w drodze do...
śnie
w drodze
szczupaki obojga pici
złapane na blysk
z cieniem hieny
lub sepa
mijam



witali mnie:
prawdą była sól
chleb butem
pocalunek rzeczywistości
ściął mnie z nóg
pokazali mi:
zwierciadła pleców
drzwi co natychmiast
należy zamknąć z tamtej strony
towarzyszyli mi:
przez czas jakiś
grzebiąc w śmietniku — smaczny kąsikiem
warczyli ich oczy
pomogli mi:
zasnąć w marszu
zgiąć się najniżej bym na dno
rzeki mięsa opadł
(lecz nie wiem skąd, miałem skrzydła
wzleciałem ponad fetor pragnień
co zastępał w niekończącym się wodospadzie)
tylko nieleczni
zegnali mnie:
z żalem
jak bezużyteczną zabawkę
której urwano już uszy
wydubano oczy
rozpruto brzech

Maciej Wilmański

W górach

wpatrzeni w smutku mgłę
momentu jasności oczekują
oni — wlecy
gdy wejdą i staną na
szczyście
patrząc z góry
na
lawinę
zieleni
poruszana
językami
potoków
błękitnych
staną się znówu
maleńcy



Człowiek — jak II
nieookrzeszony
Człowiek — jak X
niewładny
Człowiek — jak uczoney
jednej szuka prawdy
Człowiek — jak matematyka
jest nie do wyuczenia

1.

Rozpocznie od akcentu poniekąd osobistego. W roku 1993 Tadeusz Papier został laureatem Literackiej Nagrody Miasta Łodzi. Dato to okazało się rozmo- wy, która ukazała się później na łamach „Odgłosów”. Mówiliśmy o różnych sprawach, ale jedna warto przypomnieć — formułę, w jaką Tadeusz Papier ujął własne pisarstwo: „Moi bohaterowie kształtowani są na obraz i podobieństwo osób, które znałem z życia. I dlatego tak mocno się do nich przywiązuję. Nie oznacza to wcale, że ich życiowe losy są dokładnie powielane w powieściach”.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

Tadeusz Papier — szkic do portretu

ci. Chodzi mi raczej o wibrację portretów duchowych. Historia bohatera, którego zowie w powieści ojcem, jest historią mojego ojca. Ale znawca tego życiorysu mógłby powiedzieć, że jest to historia w tym czy innym miejscu przeinaczona. Natomiast nie mógłby wykreślić ani jednego zdania mówiącego o jego przeżyciach, marzeniach, sposobie patrzenia na świat, słowem o jego duszy. Z biegiem lat ja sam zapominam o różnicach, jakie występują między obrazem literackim a tym z życia, obydwa stapiają się w jedno”.

Formuła ta eksponuje dwa problemy: rodowód oraz autentyczność postaci załudniających książki Tadeusza Papiera. Takie potraktowanie bohaterów literackich powoduje, iż mamy do czynienia z pewną równowagą konstrukcyjną, polegającą na tym, że typowość postaci idzie w parze z jej wyrazistą charakterystycznością. Warto więc od razu powiedzieć, iż równowaga obu tych czynników stanowi jedno z podstawowych kryteriów poetyki realizmu. Sprawda się ono w twórczości Papiera w taki sposób, że odniesieniem dla postaci literackiej pozostaje niemal zawsze realne indywidualium, ponadto — co ważniejsze — decyduje wierzność realiom społecznym i obyczajowym. Tak więc warto chyba od razu sobie uświadomić, że mamy do czynienia z bohaterem zbiorowym.

2.

Właśnie cechy dystyngtywne owego bohatera zbiorowego powodują, iż krytycy i komentatorzy książek Tadeusza Papiera (urodzonego 9 lipca 1914 r.), widzą jego dorobek przede wszystkim na tle nurtu, który uznany został za tendencję najbardziej charakterystyczną dla powojennego rozwoju naszej prozy. Mowa o nurcie wiejskim, bądź — jak kto woli — chłopskim. Jest to nurt rzeczywistości znaczący i bogaty w odmiany i realizacje.

Z problematyka wiejska łączy się między innymi powieści i opowiadania Tadeusza Papiera: „Morga ziemi” — 1952, „Kowale” — 1953, „Swaty” — 1954, „Nowe skiby” — 1954, „Diabeł w Zywocicach” — 1955, „Powrotna śmierć Boryna” — 1965, „Dziadek i Róża” — 1968, „Narodziny Gerty” — 1969, „Ciche jeziora” — 1976, „Cienie na Plaskowej Górze” — 1976, „Wiktoria i general” — 1980, „Szum jodły w mieście” — 1984.

W twórczości Tadeusza Papiera o sposobie przedstawienia zróżnicowanych socjologicznie i kulturowo zjawisk decyduje przede wszystkim autopsja. Oznacza to nie tylko werystyczne skłonności, co systematyczne odnotowywanie i wyjaśnianie najsłabszych przemian, jakie dokonywały się po wojnie — i dokonują w dalszym ciągu — w naszym społeczeństwie.

Z reguły towarzyszy temu wierna pamięć wydarzeń drugiej wojny światowej. Osobiste doświadczenia pisarza pamięć owa mobilizuje w każdej prawie książce. Przypomina zatem tych, którzy wojny nie przeży-

li, przypomina ofiarnych bojowników, uczestników ruchu oporu, partyzantów, żołnierzy różnych frontów, a nie pomija tych, co na biernym oporze porzestali.

Istotne wydarzenia z życia tuż-powojennego (reformy rolne, zagospodarowanie Ziemi Zachodnich itd.) stanowią tło wielu utworów Papiera. Oto na przykład reolonizacja młodej dziewczyny, bohaterki powieści „Narodziny Gerty”, ugruntowuje w pozostałych członkach rozległej rodziny poczucie polskości, poczucie przynależności do społeczności liczniejszej niż największa nawet rodzina.

Książki Papiera rejestrują rozmaite procesy społeczne: odpływ ludności wiejskiej do miast, starzenie się mieszkańców wsi, przemiany w sposobie

prowadzenia gospodarstw i w społecznym położeniu rodzin chłopskich. Twórczość tę określić można jako artystyczna wersja dzieł wsi polskiej ostatniego półwiecza. Kiedyś przyrównywano ją do albumu rodzinnych fotografii plebszowicze zbieranych od kilku pokoleń. Porównanie trafne, lecz niepełne. Bowiem bohaterowie tych opowiadań i powieści są ludźmi z krwi i kości. Bytują w twardej rzeczywistości, znajdują się w złożonych sytuacjach. Poprzez kłaski i sukcesy dochodzą do lepszego bytu, wręcz wywalczą go w codziennych życiowych potyczkach, a jeśli nie zdają — to odchodzą z przekonaniem, że lepszy los czeka ich dzieci.

Saga rodzinna, jaka uprawia autor „Powrotnej śmierci Boryna”, rzadzi się własnymi prawami. Ci, co odeszli, są ciągle wśród tych, którzy pozostali. Cienie przodków żyją w pamięci dzieci, wnuków i prawnuków, żyją w przedmiotach, nawet w krajobrazie. Wyznaczała pokoleniowa ciągłość. Nadeła oblicze ziemi rodzinnej. Wrażliwość bisarza na urodę krajobrazu powoduje, iż jednym z ulubionych symboli staje się drzewo. Warstwa semantyczna tego symbolu jest w pisarstwie Papiera bardzo pojemna i trudna byłoby w tym miejscu przedstawić wszystkie treści tego symbolicznego znaku. Gwoli ilustracji przypomnijmy fragment ostatniej powieści. Jedną z jej bohaterek „ma do drzew stosunek nieledwie rodzinny, tak samo jak kiedyś dziadek. Lipy są jej powiernikami. Zuciera się im ze swoich myśli. Można ją często zobaczyć w oknie, jak patrzy na nie. — Te drzewa mają dusze — powiada. Można z nimi rozmawiać, one słuchają cierpliwie. Drzewo jest najlepiej urządzonym «stworzeniem» na świecie. Ma jedną wadę: jest przykutym do miejsca, ale mimo to i ono odchodzi dalekie podróże. Wędruje razem z chmurami i ptakami. Posyła w świat swoje nasiona. Wiatr kolyse galeziemi, a drzewo poddaje się tym zabiegom. Przepuszcza wiatr przez liście i goni za nim. Drzewo nie szkodzi nikomu — ani zwierzętom, ani ptakom. Ptaki wiją w nim gniazda. Daje schronienie w czasie upału. Pożycia czasem wędrowca. Umie umierać godnie. Żeby człowiek powstrzymał się od zniszczenia drzewa. Żeby powoli usychał, a w usychaniu jeszcze żył. Drzewo daje materiał na wszystkie potrzeby człowieka...”

Trudno chyba o wzór konkretniejszy. Zacytowana metafora zawiera wszystko, czym powinien odznaczać się człowiek: chwali naturalną urodę, uznaje siłę i potęgę, wytrwałość i odporność, podziwia łagodność, wyraża tęsknotę za możliwą niegdyś stabilnością ludzkiej egzystencji. Dodajmy jeszcze, że jeśli pojawia się u Papiera posmak metafizyki — to występuje on w łączności z drzewem.

Nieublagany wpływ czasu, melancholia i niepokój Jermianina, refleksyjność natury ludzkiej — są to sprawy eksponowane w tej prozie. Bohaterów często nachodzą refleksje w rodzaju: „Grzebiemy ludzi, ale dzieł za dniem grzebiemy i siebie. Powoli składamy nasze myśli do grobu. Wgląda na to, że umieramy razem z innymi”.

Ale także z nimi żyjemy. Bo przecież mój ojciec i moja matka naprawdę nie odeszli z domu. Są nadal w nim obecni. Choćby przez to, że rozmawiam z nimi i zadaję im pytania, których nie zadalem wcześniej”. Tak brzmiał jedno z haseł wywoławczych rodzinnej sagi Tadeusza Papiera. Saga jest właśnie gatunkiem pośrednim. Jej miejsce wyznaczono pomiędzy kroniką a romansem. Rodzinna saga w wykonaniu autora „Szumu jodły w mieście” skłania się raczej ku kronice. Najogólniej sformułowaną tezę tej sagi stanowi żywotność tradycji, ciągłość narodowych dzieł, aspiracje warstw upośledzonych społecznie, poczucie lokalnego patriotyzmu. Towarzyszące relacji przebrzmiały i aktualne emocje idą w parze

młodzieńczego rozczarowania wobec świata dorosłych, jako czasowe zagubienie się. Dydaktyczne akcenty są tu niezwykle dyskretne, co dobrze świadczy o autorze.

W chwili ukazania się pierwszego wydania „Magdaleny w nocy” jej interwencywny społeczny charakter był o wiele bardziej widoczny niż dzisiaj. Upłynęły lata, zmieniły się realia. Niemniej jednak książka ta interweniowała w dalszym ciągu — uczę prawideł życia. Wydobywam te sprawy może nieco przesadnie. Bo przecież „Magdalena w nocy” to nie podręcznik wprowadzający dorastające panienki w życie, a zwykła proza przygodowa (podobnie jak utrzymywana w realiach szpiegowskich powieści „Diablica z Mediolanu” — 1973)

wykorzystująca wiele chwytów klasycznej powieści sensacyjnej, trzymająca czytelnika w napięciu i dlatego godna polecenia również dzisiaj.

4.

Obok prozy artystycznej Tadeusz Papier uprawia słuchowiska, pisuje widowiska estradowe, z powodzeniem zajmował się też scenariuszem filmowym.

Tej aktywności twórczej towarzyszy działalność redaktorska i publicystyczna. Zainteresowania publicystyczne objawia Papier jeszcze przed wojną, najpierw w szkole średniej, znanym kieleckim liceum imienia Stefana Żeromskiego, gdzie był współzałożycielem (w 1933 roku) i jednym z autorów pisma „Młodzi idą”, a potem w Warszawie, gdy pracował jako sekretarz redakcji czasopisma „Orka na ugorze”. Tuż po wyzwoleniu przybył z Lublina do Łodzi, objął funkcję sekretarza tygodnika „Wies” w czasach, gdy ambitne to pismo wspólnie z Oddziałem Wiejskim Związku Zawodowego Literatów Polskich dążyło do zaakcentowania, a może i przeakcentowania, twórczej odrębności synów i piewców wsi. Jeszcze nazwisko często spotykamy później na łamach „Łodzi Literackiej”, „Kroniki”, „Osnowy”, „Odgłosów”.

Przed wojną studiował politykę na Uniwersytecie Warszawskim, po wojnie socjologię na Uniwersytecie Łódzkim. Twórczość literacka i dorobek publicystyczny owe socjologiczne zainteresowania potwierdzają w całej pełni.

5.

Zaczęłam od cytatu i cytatem kończę. Proszę nie potraktować jako „bars pro toto” gdyż zwieźle oddaje sens twórczej działalności Tadeusza Papiera. „Wszystko się zaczyna od twojej kolebki. Sa kolebki dobre i złe, takie, które wspomina się z rzewnością, i takie, o których człowiek chciałby zapomnieć. Wiem przecież, jak żyli nasi sąsiedzi. Jak wyglądały ich domy. Jaka była bieda. Trzeba mieć przed oczami i dobro i zło — żeby jedno rozstrzygać, a do drugiego nie wracać. U nas na osiedlu każdy, kto wprowadza się do nowego mieszkania, przenosi ze starego ogień. Ale ja nie przenosilem, bo ten ogień tli się w moim sercu. Wszystko jedno, gdzie się on tli — byłoby żył”.

Żyje w pisarstwie Tadeusza Papiera.

Pólka z książkami

BIRET I ROGATYWKĄ

Jest to książka, której nie trzeba specjalnie polecać Czytelnikom. Sięgną po nią i bez mojej zachęty. Jej zawartość jest niezwykła ze względu na niezwykłość opowiedzianych przez autora relacji. Dziesięć osób — sami naukowcy — przedstawiają swoje curriculum vitae. A żyjący w tym, to części naszej współczesnej historii: wojna, początki powojennego przemysłu samochodowego, pierwszy radiodiodownik „Pionier”, budownictwo okrętowe, pierwsza stocznia itp.

Zaletą książki są zamieszczone w niej fotografie. Te z lat dawnych i te najnowsze. Są one ważnym uzupełnieniem zamieszczonych relacji i świadectwem naszej historii.

Henryk Nakielski: Biret i rogatywka. Iskry 1985. Str. 200. Cena 120 zł.

DAR SŁOWA

Z prawdziwą satysfakcją polecam znakomicie wydaną przez Wydawnictwo Łódzkie antologię starej literatury serbskiej noszącej tytuł „Dar słowa”. Przekładu dokonali: Teresa Wątor-Naumow, Aleksander Naumow i Wanda Kotowiczowa. Całość składa się z czterech części: teksty, objaśnienia, słowniczek postaci biblijnych występujących w literaturze serbskiej oraz słowniczek terminów związanych z prezentowanymi tekstami. Książka zawiera także sporo ilustracji barwnych obrazujących przykłady staroserbskiej sztuki sakralnej.

Dar słowa. Wyd. Łódzkie 1984 r. Str. 274. Cena 400 zł.

RODOWÓD ŚWIATA

Cieszy mnie każda książka dla dzieci, szczególnie jeśli jest to książka mądra, z dobrymi ilustracjami, starannie wydana. Właśnie pojawiła się taka w księgarniach — poetycki debiut Tadeusza Szewera pt. „Ile lat liczy świat”. Znakomicie zilustrowana przez Zbigniewa Koszałkowskiego i niezwykle starannie wydana przez łódzki oddział Krajowej Agencji Wydawniczej.

Zaletą dodatkową książki jest to, że uczy bawiąc. A uczy miłości do otaczającej nas przyrody, której nieodłączną częścią jest człowiek.

Bardzo gorąco zachęcam rodziców do kupna tej książki swoim pociechom.

Tadeusz Szewer: Ile lat liczy świat. KAW Oddz. w Łodzi. Str. 32. Cena 50 zł.

TELEFON DO LOSU

Zachęcam Czytelników do przeczytania ciekawej książki. Nie tylko ze względu na jej treść, ale na dość czytelną kamufaż, którym autor stara się zastąpić jedną z łódzkich instytucji kulturalnych. A więc powieść z takim samym tytułem, choć piszący starał się, by realia nie pokrywały się zbyt dosłownie z obrazami przedstawionymi na kartach książki. Wszystko, co napisałem powyżej, dotyczy powieści Mirosława Kuźniaka, poety, prozaika, reportażysty, który w „Telefonie do losu” opisuje perypetie młodego małżeństwa przez pryzmat grotesku, humoru, ale z odrobiną ironii.

Mirosław Kuźniak: Telefon do losu. KAW Oddz. w Łodzi. 1985. Str. 144. Cena 75 zł.

RETROBUS

Tego autora znamy przede wszystkim z filmów „Daleko od szosy” czy „Profesor na drodze”. Ale to za mało by scharakteryzować twórczość Henryka Czarnieckiego, wrażliwego liryka o poetyckim spojrzeniu na człowieka i jego sprawy, szczególnie te drobne, codzienne, ulotne i pospolite.

„Retrobuz” — to zbiór opowiadań, drobnych humoresek, okruczeń, lirycznych, a wśród nich „Ogłoszenie matrymonialne”, „Stare uliczki”, „Pies”, „Gawęda szpitalna” oraz „Sala protegowanych intelektualistów”.

Serdecznie polecam tę urokliwą książkę naszym Czytelnikom.

Henryk Czarniecki: Retrobuz. KAW Oddz. w Łodzi. 1985. Str. 126. Cena 80 zł.

GDZIE INDZIEJ

Henri Michaux jest poetą zajmującym wysoką uprzywilejowaną pozycję we współczesnej literaturze Francji. Jednak to, co wyróżnia jego twórczość, to proza poetycka, niezwykle sugestywna opowieść o człowieku i jego słabościach, z których rodzą się zarówno okrucieństwo, jak i bezbronna łagodność. Właśnie ukazał się tom jego fikcyjnych reportaży z fikcyjnych krajów, gdzie żyją ludzie o niezwykłych oryginalnych, często brutalnych — i niemożliwych do przyjęcia przez nas — obyczajach.

Przekład Marii i Władysława Leśniewskich.

Henri Michaux: Gdzie indziej. Wyd. Lit. 1985. Str. 228. Cena 120 zł.

E. IW.

Wciąż jeszcze sztuka, w tym plastyka, prowokuje do pytań typu: „czy wszystko jest jeszcze możliwe?”. Dzieje się tak z reguły przy okazji głośniejszych zdarzeń artystycznych. Takim niewątpliwie faktem była wielka ekspozycja twórczości łódzkiego artysty Andrzeja Mariana Bartzaka — wychowanka i dozenta w Państwowej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi.

Obecny na wielu wystawach w kraju i poza nim A. Bartzak zdecydował się pokazać ten fragment swego dorobku, któremu poświęcił gros czasu i pracy w dotychczasowej swej biografii twórczej.

Jednak pytanie postawione wydaje się zbyt ogólne do propozycji łódzkiego grafika, albo może zbyt jednostronne. Lepiej będzie zapytać wprost: jakimi intencjami estetycznymi i sygnałami znaczeniowymi próbują (jeśli próbują) twórcy naszego czasu nawiązać kontakt z nami — tegoż czasu twórcami i animatorami. Pytanie formułowane w dość pustawych salach wystawienniczych nie wydaje się ani

MICHAŁ S. DALECKI

Księga magii i fanaberii



proste, ani naiwne. Słyszysz się wprawdzie o aukcjach, na których dokonują się zakupy nawet przez osoby prywatne, widać przecież na co dzień, że rynek sztuki zdominowany jest przez podaż.

Dlatego się tak, że nie po drodze cenom z przeciętnymi pensjami nauczyciela, inżyniera czy też kierowcy miejskiego autobusu, czy może z innymi też powodów? Sądząc po krótkim pobycie na wystawie „Desy” Kossaka lub Wyczołkowskiego i znając nabywcę (nie był nim właściciel warzywniaka ani „frytkarni”) nie o barierę cenową, nie tylko — rzecz idzie. Wydaje się, że gdzieś rozmięły się owe sygnały emitowane przez współczesnych twórców z oczekiwaniami czy też potrzebami potencjalnych odbiorców. Fakty w rodzaju „Polaków portret własny”, a obecnie (może z mniejszą ostentacją) warszawska ekspozycja pn. „Formisiel” — zdają się to przypuszczenie częściowo przynajmniej — potwierdzać.

Być może ta absencja publiczności na wystawach ma swoją przyczynę w codziennym zabieganiu o dobrą miarę z duchem związane, a być może te wyższe potrzeby zaspokajane bywają innymi treściami i formami. I nie tylko trzeba wymienić dyskotekę czy koncert metal rocka, bowiem we współczesnej plastyce też zdarzają się fakty mocnej awangardy. Odbiorcy „nowej muzyki” podkreślają jej spontaniczność, szczerść, wyraźną opozycję wobec deformacji moralnych, społecznych, politycznych naszej rzeczywistości.

Czyżby więc tego brakowało współczesnej plastyce polskiej? I to nawet w sytuacji głośniejszych sukcesów wybitnych twórców w europejskich galeriach — np. stała tam obecność dzieł Abakanowicz. Piękny przykład, który jednak nie jest w stanie zrównoważyć „średniej krajowej”, a ta przecież zdaje się wywierać, a w rzeczywistości tego „wywierania” wpływu na tym poziomie po prostu nie widać. Co gorsza, publiczność przyzwyczaiła się trochę do swoistej samowystarczalności plastyki, być może i tworzy także. Stan bycia obok jest szkodliwy dla obu stron. Powinność przełamania tej nieprzyjemności należy chyba do twórców, gdyż ich samowystarczalność jest z gruntu pozorna. Pytanie więc, czego jeszcze można oczekiwać od plastyki, czeka na odpowiedź. Jedną z łatwiejszych sugeruje traktowanie widza jako nieodłącznego uczestnika życia artystycznego. Poszukiwania i eksperymenty, które są warunkiem rozwoju, w istocie swej mają to uczestnictwo aktywizować, nie zniechęcać doń.

Publiczność dzisiejsza ma za sobą wiele faktycznych, ale też i pozornych odkryć. Jest podejrzliwa, nie chce być narażona na praktyki, które udają nowinki. Siąd być może zaufanie do rzetelności starego warsztatu. Jest zdezorientowana. Pokazywane nowości okazują się bowiem danym odgrzewanym. Wtórność nie jest grzechem najważniejszym, ale powielanie udające nowatorstwo, odrzuca.

Tęsknota do normalności jest więc jakby głównym wyróżnikiem charakteryzującym postawę dzisiejszych bywalców salonów wystawowych — tych stałych i tych, którzy dadzą się skusić do wykupienia (czasem i bez tego) biletu wstępu na wy-

stawie okazjonalną. Okazuje się że wielką sztuką, szczerą i autentycznie osobistą wypowiedź artysty zawiera ten właśnie element „normalności”. Nie stroni więc publiczność (mo, bo mimo wcześniejszych zastrzeżeń, taka istnieje) przed sztuką tzw. trudną, lecz przed hochsztaplerką artystyczną (która, niestety, zdarza się). Pomówienie współczesnej plastyki o eklektyzm nie jest zatem oskarżeniem najcięższym. W homogenizującym się świecie programowy eklektyzm wnosi ożywienie, a nawet zmianą indywidualności. Terror uniformizacji jest znacznie groźniejszy od przypomnienia dawnych kostiumów. Wydaje się, że publiczność to wyczuwa. Obiektywna i otwarta informacja pomaga dokonywać wyborów i zapobiega rozczarowaniom, a w konsekwencji przeciwdziała kurczeniu się grona zwiedzających galerii sztuki i doraźnie organizowane ekspozycje. O niektórych wspomniano wcześniej. Zdarzają się przecież koleje, także w Łodzi.

Coraz wyżej oceniane forum (światowe) Małych Form Grafiki obok warszawskiego biennale

nie jest tu czynnikiem decydującym charakter ekspozycji. Czas, jako kolejny obiekt zainteresowania M. Bartzaka i w tym zdarzeniu artystycznym jest właściwym kierunkowskazem. Chodzi przede wszystkim o czas narastania ostatecznego kształtu koncepcji, czy może rozkładania tej koncepcji na fazy kolejnych przemysłów i odpowiadających im rozwiązań formalnych. Nie ma chyba potrzeby szczególnie rozwijać tego tematu, to po prostu należy zobaczyć.

Wydaje się jednak, że ramę pomysłu stanowią dwa skrajne skrzydła ekspozycji i prawdopodobnie odpowiadające im okresy kształtowania się toku realizacji podjętego pomysłu.

W pierwszym okresie jego formowania się (cały zbiór powstał na przestrzeni około 15 lat, a może i dłużej) przeważają propozycje zdecydowanie malarskie. W zestawie prac z ostatniego okresu większość stanowią montaż: formy plastyczne czy też wręcz przedmioty plastyczne. Uściślenie pojęciowe tych obiektów nie jest łatwe, a sam autor nie pomaga w potraktowaniu ich bardziej jednoznacznie. Nie stanowią bowiem jakiejś spójnej, przyporządkowanej wyraźnie zarysowanej zasadzie twórczej — grupy. Ich różnorodność stanowi swoistą atrakcję, lecz można też doszukiwać się już pewnej manieri, nawet powielania pomysłów, dźwięć też może w zestawieniu z „środkowym” fragmentem, odejście od oszczędności narracyjnej, skrótu myślowego, subtelnej i dowiecipnej metafory. Gubi się w tych „przedmiotowych zabawkach” tak charakterystyczna dla wcześniejszych nieco prac atmosfera poetycka, pogłębiona refleksja. Istotnie, wskazano już na to, Bartzak daje z kolei pokaz znakomitego wyczuwania zdolności emanacyjnych materiału i jego kreacje jakby pod wpływem zabiegów magicznych, przypominają rekwizyty z salonu wróżki, albo formy z gabinetu deformatów naszego uprzedmiotowionego świata. To oczywiście walor, bowiem w pewnym sensie odniesienia do współczesności wzbudza sympatię. Przecież nie tylko zależy artysty na łatwym uznaniu, choć można zrozumieć i to. Problem tkwi głębiej: czy autorowi starczy koncepcji na dalsze prowadzenie tej gry i czy prezentowany zestaw środków jest w stanie zadowolić samego twórcę. Stać się może bowiem i tak, że te atrakcyjne obiekty zaczną przybierać postać zwykłych atrap kolejnych pomysłów. Utracą bowiem swą wewnętrzną dramaturgię — tak charakterystyczną i dla innych przedsięwzięć tego twórcy.

Być może jest to nieodłączny każdemu działaniu twórczemu moment załamania, czy jedynie moment zatrzymania się przed następnym skokiem. Bywało przecież na początku naszego stulecia, że nawet najbardziej szokujące zdarzenia ze znaczącym wystąpieniem Marcela Duchampa, z czasem stały się zwykłą anegdotą, gdy próbowano je powielić. Wybitni twórcy zdają sobie z tego sprawę, mając przy okazji za sobą całą epokę doświadczeń, o czym może świadczyć burzliwa twórczość Roberta Rauschenberga, w której dramatyczne odwróty i nawroty, obejmowanie swą pałą twórczą coraz nowych obszarów dla zaspokojenia potrzeby autorozwoju pokazują, jak głośno może się stać poczucie samozadowolenia. Rauschenbergowi udało się tego uniknąć i Andrzej Bartzak również, jak sądzę, nie postawi się w roli węża, który pożera własny ogon. Istnieje po temu przynajmniej trzy przesłanki.

Andrzej Bartzak dysponuje autentyczną zdolnością kreacyjną i dzięki temu materiał, którym się posługuje ożywa, nabiera znaczeń. Jest po wtóre twórcą, który chce i potrafi mówić rzeczy ważne i to w ważności swej przekraczającej granice czasu teraźniejszego. Dawał temu wyraz we wcześniejszych pracach opatrzonej mianem „Metabolizm pejzażu” realizowanych w technikach graficznych jak i w rozwiązań malarskich, z czasem formowanych w zestawie książkowym.

Wreszcie, nie bez znaczenia dla przyszłości tej twórczości jest „słabość” do literatury. Raz manifestowana mocniej, innym razem zaznaczana znakiem literowym, sugestią kształtu.

Ale i w tych, gdzie występuje niemal cytał lub określona z imienia i nazwiska postać literacka Andrzej Bartzak nie odbiera pierwszeństwa materii malarskiej, to ona ostatecznie pozostaje jedynym przekazywaniem intencji twórcy. Jeśli więc niektórzy dopatrują się w tej skłonności swego kompleksu Słowa, zapisać, metafory poetyckiej to muszą jednocześnie zdać sobie sprawę z funkcji, jakie te literackie atrybuty spełniają w jego działalności plastycznej.

Domnuje w niej wciąż jeszcze przekonanie, że sztuka ma do spełnienia w dzisiejszym świecie ważną misję nie tylko tłumaczenia go, rozumienia, ale też przez prowokowanie człowieka do refleksji nad światem i nad sobą ratowania istotnych wartości gromadzonych wysiłkiem pokoleń. Na jednej z wcześniejszych wystaw pokazał A. Bartzak obraz skomponowany z poziomych warstw ludzkich czaszek. Ciemne brzozy u dołu rozjaśniały się z każdą wyższą warstwą. Te ostatnią, jeszcze ponad głębią i w pozycji pionowej, mógł wypieścić każdy ze zwiedzających. Okrutne to i prawdziwe, i mądre, aż dziwne, że poetyzujący Bartzak zdobył się na taką racjonalną wy-

stawa okazjonalną. Okazuje się że wielką sztuką, szczerą i autentycznie osobistą wypowiedź artysty zawiera ten właśnie element „normalności”. Nie stroni więc publiczność (mo, bo mimo wcześniejszych zastrzeżeń, taka istnieje) przed sztuką tzw. trudną, lecz przed hochsztaplerką artystyczną (która, niestety, zdarza się). Pomówienie współczesnej plastyki o eklektyzm nie jest zatem oskarżeniem najcięższym. W homogenizującym się świecie programowy eklektyzm wnosi ożywienie, a nawet zmianą indywidualności. Terror uniformizacji jest znacznie groźniejszy od przypomnienia dawnych kostiumów. Wydaje się, że publiczność to wyczuwa. Obiektywna i otwarta informacja pomaga dokonywać wyborów i zapobiega rozczarowaniom, a w konsekwencji przeciwdziała kurczeniu się grona zwiedzających galerii sztuki i doraźnie organizowane ekspozycje. O niektórych wspomniano wcześniej. Zdarzają się przecież koleje, także w Łodzi.

Coraz wyżej oceniane forum (światowe) Małych Form Grafiki obok warszawskiego biennale

nie jest tu czynnikiem decydującym charakter ekspozycji. Czas, jako kolejny obiekt zainteresowania M. Bartzaka i w tym zdarzeniu artystycznym jest właściwym kierunkowskazem. Chodzi przede wszystkim o czas narastania ostatecznego kształtu koncepcji, czy może rozkładania tej koncepcji na fazy kolejnych przemysłów i odpowiadających im rozwiązań formalnych. Nie ma chyba potrzeby szczególnie rozwijać tego tematu, to po prostu należy zobaczyć.

Wydaje się jednak, że ramę pomysłu stanowią dwa skrajne skrzydła ekspozycji i prawdopodobnie odpowiadające im okresy kształtowania się toku realizacji podjętego pomysłu.

W pierwszym okresie jego formowania się (cały zbiór powstał na przestrzeni około 15 lat, a może i dłużej) przeważają propozycje zdecydowanie malarskie. W zestawie prac z ostatniego okresu większość stanowią montaż: formy plastyczne czy też wręcz przedmioty plastyczne. Uściślenie pojęciowe tych obiektów nie jest łatwe, a sam autor nie pomaga w potraktowaniu ich bardziej jednoznacznie. Nie stanowią bowiem jakiejś spójnej, przyporządkowanej wyraźnie zarysowanej zasadzie twórczej — grupy. Ich różnorodność stanowi swoistą atrakcję, lecz można też doszukiwać się już pewnej manieri, nawet powielania pomysłów, dźwięć też może w zestawieniu z „środkowym” fragmentem, odejście od oszczędności narracyjnej, skrótu myślowego, subtelnej i dowiecipnej metafory. Gubi się w tych „przedmiotowych zabawkach” tak charakterystyczna dla wcześniejszych nieco prac atmosfera poetycka, pogłębiona refleksja. Istotnie, wskazano już na to, Bartzak daje z kolei pokaz znakomitego wyczuwania zdolności emanacyjnych materiału i jego kreacje jakby pod wpływem zabiegów magicznych, przypominają rekwizyty z salonu wróżki, albo formy z gabinetu deformatów naszego uprzedmiotowionego świata. To oczywiście walor, bowiem w pewnym sensie odniesienia do współczesności wzbudza sympatię. Przecież nie tylko zależy artysty na łatwym uznaniu, choć można zrozumieć i to. Problem tkwi głębiej: czy autorowi starczy koncepcji na dalsze prowadzenie tej gry i czy prezentowany zestaw środków jest w stanie zadowolić samego twórcę. Stać się może bowiem i tak, że te atrakcyjne obiekty zaczną przybierać postać zwykłych atrap kolejnych pomysłów. Utracą bowiem swą wewnętrzną dramaturgię — tak charakterystyczną i dla innych przedsięwzięć tego twórcy.

Być może jest to nieodłączny każdemu działaniu twórczemu moment załamania, czy jedynie moment zatrzymania się przed następnym skokiem. Bywało przecież na początku naszego stulecia, że nawet najbardziej szokujące zdarzenia ze znaczącym wystąpieniem Marcela Duchampa, z czasem stały się zwykłą anegdotą, gdy próbowano je powielić. Wybitni twórcy zdają sobie z tego sprawę, mając przy okazji za sobą całą epokę doświadczeń, o czym może świadczyć burzliwa twórczość Roberta Rauschenberga, w której dramatyczne odwróty i nawroty, obejmowanie swą pałą twórczą coraz nowych obszarów dla zaspokojenia potrzeby autorozwoju pokazują, jak głośno może się stać poczucie samozadowolenia. Rauschenbergowi udało się tego uniknąć i Andrzej Bartzak również, jak sądzę, nie postawi się w roli węża, który pożera własny ogon. Istnieje po temu przynajmniej trzy przesłanki.

Andrzej Bartzak dysponuje autentyczną zdolnością kreacyjną i dzięki temu materiał, którym się posługuje ożywa, nabiera znaczeń. Jest po wtóre twórcą, który chce i potrafi mówić rzeczy ważne i to w ważności swej przekraczającej granice czasu teraźniejszego. Dawał temu wyraz we wcześniejszych pracach opatrzonej mianem „Metabolizm pejzażu” realizowanych w technikach graficznych jak i w rozwiązań malarskich, z czasem formowanych w zestawie książkowym.

Wreszcie, nie bez znaczenia dla przyszłości tej twórczości jest „słabość” do literatury. Raz manifestowana mocniej, innym razem zaznaczana znakiem literowym, sugestią kształtu.

Ale i w tych, gdzie występuje niemal cytał lub określona z imienia i nazwiska postać literacka Andrzej Bartzak nie odbiera pierwszeństwa materii malarskiej, to ona ostatecznie pozostaje jedynym przekazywaniem intencji twórcy. Jeśli więc niektórzy dopatrują się w tej skłonności swego kompleksu Słowa, zapisać, metafory poetyckiej to muszą jednocześnie zdać sobie sprawę z funkcji, jakie te literackie atrybuty spełniają w jego działalności plastycznej.

Domnuje w niej wciąż jeszcze przekonanie, że sztuka ma do spełnienia w dzisiejszym świecie ważną misję nie tylko tłumaczenia go, rozumienia, ale też przez prowokowanie człowieka do refleksji nad światem i nad sobą ratowania istotnych wartości gromadzonych wysiłkiem pokoleń. Na jednej z wcześniejszych wystaw pokazał A. Bartzak obraz skomponowany z poziomych warstw ludzkich czaszek. Ciemne brzozy u dołu rozjaśniały się z każdą wyższą warstwą. Te ostatnią, jeszcze ponad głębią i w pozycji pionowej, mógł wypieścić każdy ze zwiedzających. Okrutne to i prawdziwe, i mądre, aż dziwne, że poetyzujący Bartzak zdobył się na taką racjonalną wy-

Pulkownik Karol Charles Kilwater przewracał się pewnie w grobie. Ja mu się nie dziwię. Był to — uważasz — znakomity wlk podmorski, siawny na wszystkich morzach. Fantazję miał ulaską zgoła. Gdy jego słynna fregata FAMA przybiła, raz do roku, do nabrzeża w Swinoujściu, kto żył wylegał na ulicę witał bohatera, a w mieście poczynali się dziać rzeczy dziwne i ciekawe. Już się nie dzieją... Może czasy takie jakieś, a może ludzie już nie ci, choć niejedną bardzo chętnie powołuje się na zażyłość z pulkownikiem Kilwaterem i powiada — chłopaki, płynę z wami...

Zamiast uczynnego sprawozdania bajki ci opowiadam? Masz rację, ale też dryfowanie na przeciekającej tratwie bez nikąd strawy, budzi w człowieku melancholię i smutek jakis za minionym wiekiem szalonej młodości. Swoją drogą, nie uważasz, że to nawet zabawne, że wokół słyszy się uroczyście zapewnienia, że nie ma powrotu do epoki młotów i że „odcinamy się od”, a tu tymczasem, jak na złość, czasy minionie śnią się człowiekowi, jak utracona kraina cudów? Z ręką na sercu mówiąc, nie mogą ci wnawiać, że zawsze było wspaniale i w ogóle przeszłość była piękna, a teraz jest jedna zgrzyota i marność. Jak w życiu, było różnie i pewnie tylko czas wygładził wspomnienia. Może też nadmiar oczekiwań i przerost wymagań wywołują ten nastrój porokwactwa? Ale bo też jest, jak w tym dowcipie, co to „subtelna gra na fortepianie umilała nam czas”. Owszem, tyle że gra w karty. Tu też. Organizatorzy zapraszali na atrakcyjny reis luksusowym transatlantykiem z wytworną kuchnią i dancinżem, a okazało się, że tłumczymy się dziurawą tratwą, zaś za całą spyzę i wiewnę ma służyć wiane obuwie.

Jeszcze raz przepraszam, za usprawiedliwienie niech ci wystarczy wiadomość, że siedzę na samym skraju tej zatłoczonej jednostki pływającej, spaść łatwo, a od rekinów aż gęsto. Może gdyby siedział na bezpiecznych miejscach kierownictwa rejsu, widziałabym więcej i rozumiałabym jeszcze więcej. A tak, pozostaje mi tylko przystąpić do obieganego sprawozdania z determinacją faceta na bezładnej wyspie, stojącego z transparentem: „Rekin — mój przyjaciel”.

Powiadają, że patronką całej fety jest Matka Boska Pieniężna. Pieniądzy było mnóstwo, choć wielu dyskretnie kolportowało przypuszczenie, że skąd znowu, że właśnie szalone braki finansowe ograniczyły rozmach i twórczy ferment. Ja tam w kieszeń nikomu nie zaglądam, ale — zostawiam ci do oceny — choźdź wśród ludzi taki pogląd, że najmniejsze pieniądze trafiły do tych, którzy z własnej ochoy, dla czystej przyjemności chcieli tu pokazać co umieją. Tak się śmiejesz, że to jest honorarium, nie wypadało mówić bez dymnej zasłony „wkładu i zaangażowania”. Mówiąc krótko, tam gdzie jest wielki, średni czy całkiem mały „szol-biznes”, tam forsa płynie w jednym kierunku. Dośrodkowo. Kto się ustawił blisko centrów decydujących, ten strasny nie będzie. Ze plotki ci powtarzam, niesprawdzone kalumnie rzucam? Może. Ale też — zauważ, że i plotki stanowią o tzw. ogólnej atmosferze. Nie ma co udawać, że jak się ktoś bierze za organizację wielkiej imprezy, to koniecznie chce być bezinteresownym hobbistą. Ludzie pieniądza lubią i to jest normalne. A jeszcze bardziej lubią ograniczać liczbę konkurentów do kasy. Powiem ci, że jeden z organizatorów, obracających się w samym centrum tej maszyny zarządzającej, powiedział mi jasno: Jeśli wiesz spraw na FAMIE poległo, tych artystycznych i tych organizacyjnych, to dlatego, że spore liczby ludzi nie chciały się choźdź kolo imprezy, bez widoków na utarg w granicach pół miliona. Uważasz? Dla wyjaśnienia ci powiem, że artyści studenccy za występ dostawali maksimum 5 tysięcy, ale częściej, dwa, trzy tysiące.

Bo tak już jest, że rynek kultury, jakkolwiek to rozumiemy, to nie wyłącznie, a nawet nie przede wszystkim artystów. To przede wszystkim ci machery, którzy towar „wartości ducha” sprzedają. I może nie byłoby co wydziać, gdyby nie drobiazg. Ten idealistyczny, szlachetny w intencjach „sos”, jakim oblewa się każdy dochodowy biznes.

Masz mi pewnie za złe, że tak ni z gruski, ni z pietruszki zaczęłam od pieniędzy. Włec powiem ci wprost. Mdlł mnie od tych wszystkich facetów gładko trzymających mowę o postawianiu kulturowym, którzy są za mali nawet na to, żeby napomknąć o ciężkich pieniądzach, jakie doją z tego postawianiu. I jeszcze jedno. Niekoniecznie musi to zaraz oznaczać, że w branży „duchowej” pływają same paskudki i nieuczciwicy. Może bardziej groźna jest sama konstrukcja systemu organizacji i prezentacji sztuk prześlanych. Widział, jeśli o dopływie tzw. kultury do krwioobiegu społecznego decydują nie kryteria elitaryzmu artystycznego, lecz taniutko pojnowana „demokracja” zarządzania kulturą, to zawsze się okaże, że głos decydujący należy do urzędników. Urzędników — rozumianych tu jako pewien typ umysłowości. Słowem, absolutną przewagę mają nie ci, co tworzą, lecz ci, co dzielą forsz. Pieniądzy jest dużo, tylko w marlażu z zasadą Parkinsona, zawsze wyjdzie z tego ofiara megalomani w postaci chałtury. Dlatego właśnie napoczęłam wątek pieniądza. Bo bez nich — nic. Ale źle adresowane, dają, nawet wokół niegłupio pomyslanej sprawy, niemylły swąd. Jak raz pasuje mi tu pioseneczka

STUDENT ŻEBRAK, ALE PAN

Student może i zebrek, ale na pewno już nie ten, co na studencie żecuje. Powiem ci, że już nawet mnie nie zdziwiła anegdotka krążąca po klubie. Ze jak koniecznie chcesz się napić —

gajny na to — wódki, to należy pomastrować na zapiece klubu. Tam, zawodowi działacze klubowego ruchu studenckiego, w tym przypadku ze stołecznym adresem, zadadzą ci pytanie: No? A ty na to, że potrzebujesz kupić mydelko. Na co oni: A co? Rączki się ubrudziły? Więc ty, że i owszem i kładziesz na stół odliczoną kwotę. W zamian otrzymasz pół litra czystej, żywej, monopolowej. Wyszynk prowadzony na zapiece miał i tę zaletę, że rządził się prawami ekonomicznymi. Popyt warunkuje podaż i cenę. Kolo dwudziestej trzeciej cena stała na 800 złotych. Potem, w miarę wzrostu stopnia integracji towarzyskiej i zapotrzebowania, rosła. Przed trzecią nad ranem mogła dojść do banknotu z protoplastą pierwszej naszej dynastii. No chyba, że zabrakło. Więc żyj studencie, na jawie i w pamięci, niech pomnik ci wystawia z drzewa albo z brązu. I niech w tym kraju się dzień studenta święci. Za wasze dobre chęci... paru facetów zarobiko na małego fiata i przyczępe campin-gowa...

Stan morza zbliża się do 7 stopni w skali Beauforta. Bardzo buja i męczy mnie morska choroba. Poza tym wicher wyrwa mi te karteluszki z zapiskami. Nie wiem, czy zdolam je ocalić. Tratwa coraz bardziej przecieka. Zjadłam już lewy but. Pić się chce, a głupia herbata w torebce kosztuje czterdzieści trzy złote. Kierownictwo wyraża głębokie zadowolenie z dotychczasowego przebiegu rejsu, choć świado-

JOLANTA WRÓNSKA

Zapiski z przeciekającej tratwy

me wiele niedociągnięć wynikających z niedoskonałości ludzkiej. Najważniejsze jest jednak, że płyniemy...

Przeczytałam dotychczasowe zapiski i zrobiło mi się wstyd, że narażam cię na męki czytania „od środka”. Już się poprawiam.

Najsamprzód był początek. W Swinoujściu, od 7 do 25 lipca trwał Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej — FAMA 1985. Z założenia, reprezentacyjna impreza dla kulturalnego ruchu studenckiego. Wszystko, co znaczące, nowe, wartościowe w tzw. kulturze studenckiej, powinno się złożyć na doroczną prezentację na FAMIE. W tym roku miało być dodatkowo uroczyste. Po pierwsze — że FAMA numer 15. Włec jubileusz, czas podsumowań i prognoz. Po drugie — że w 40 rocznicę odzyskania Ziemi Zachodnich i Północnych. Po trzecie w 35 rocznicę powstania Zrzeszenia Studentów Polskich.

Porozwiesz, że zatrzymam się w tym miejscu. W ogóle do jubileuszy mam stosunek lodowaty, ale to w końcu moja sprawa. Tyle że nieufnie przyglądam się szparkiem zslusowania z każdym pomysłem pod skrzydła „ważnych rocznic i obchodów”. Nawet jeśli to będzie jakieś giupstwo, ale przecież lepiej się zaprezentuje, gdy mu przyswieca intencja uczczenia rocznicy. FAMA giupstwem nie jest, włec tym bardziej przystoi ostrożność w hasłach. Zwłaszcza gdy coś nie wypali, wtedy giupio i niesmacznie. Choć, myślę, że się zgodzisz, trzeba rozumieć także i ten mechanizm całkiem już pragmatycznego kalkulowania. Jeśli zadeklarować parę wzniosłych hasel, może łatwiej będzie naklonić sponsorów do hojności. Ja to nawet rozumiem, ale jakoś mi niłak.

Nie wiem jak ty, ale ja lubię sobie poczytać programowe założenia każdej wielkiej i małej imprezy. FAMA nie wyjątek, toteż założenia są że ho, ho, albo i bardziej. Włec, że jest FAMA najpoważniejszą imprezą kulturalną środowiska studenckiego w Polsce. Ze jubileusz sprzyja podsumowaniu dorobku i konfrontacji z dzisiejszym stanem akademickiej kultury. Ze „Festiwal FAMA swą obecnością na Ziemach Odzyskanych zawsze potwierdzał, że utrzymanie pokoju jest najwyższą wartością uznawaną przez młodzież akademicką...”. Ponadto stawia się zasadnicze cele imprezy. Ma być miejscem prezentacji najwartościowszych dokonań kulturalnych, miejscem inicjacji nowych zamierzeń artystycznych oraz okazją do integracji środowiska w sferze kultury. Poza tym propaganda osiągnięć w społeczeństwie i doskonalenie warsztatu twórczego.

Całość organizacyjna spoczywa na ZSP, a ściślej na agencji Zrzeszenia, czyli ALMA-ARCIE. Tu pozwól na dygresję. Tam, gdzie próbuje się osiągnąć kontrola i systemem zarządzania centralnego wszystko, co tylko możliwe, tam pojawia się hydra zasady Parkinsona. Są sfery i dziedziny rządzące się własnymi, wewnętrznymi regulami i wyjątkowo niepodatne na ogórne dyrektywy. Mądry wódz to rozumie i nie próbuje kontrolować wszystkiego. Jeśli jednak nie rozumie, to bez pudła osiągnie efekt totalnej atrofii. To znaczy stan, gdzie wszelka kontrola wymyka się z rąk, nie panuje się już nad niczym i rodzi się chaos. Sprzecznych racji.

Słowem, przerost formy nad treścią. Moloch zformalizowanej organizacji zarządzania dokonał też moim zdaniem FAME. Potworna ilość ludzi przez cały rok szycowała się na te prawie trzy tygodnie w Swinoujściu. Mrowie komórek do zadań specjalnych, precyzyjnych (w teorii) planów podziału zadań i od-

powiedzialności. Masa pracy włożonej przez dziesiątki osób, L... nawalało wszystko. Włec nie dlatego, że środki były zbyt skromne i przeszokło zbyt wiele. Włec dlatego, że probowano zaplanować wszystko. Stosy pism, papełków, dokumentów, pieczętek itd. A/nawalała rzecz najpierwsza, cel główny całej tej mrowczej krzątaniny: system kwalifikowania, selekcji i promowania zjawisk artystycznych w środowisku studenckim. Skutkiem czego zamiast transatlantyku, była tratwa.

Ponieważ jednak zabrałam w tę rajzę trochę rozmaitych ksiąg, pozwolisz, że podeprę się starym, sprzed 11 lat, cytatem Wojciecha Kruka z Tygodnika ITD składającego życzenia: „Zacznij się — jak trzeba, od organizacyjnej historii (... od użerania z lokalnymi poręczycielami odpowiedzialności studenckiej szajby, użerania z niesolidnymi partnerami, od płańcia się we własnej niesprawności (...). Niech trwa niedowład organizacyjny i ciągnie się kleisty makaron na kolacjach — byle tylko nie ustaliła się wśród wykonawców FAMY namaszczona moralność promienadowych artystów z Karlsbadu (...).”

No i popatrz, paręnaście lat temu, a jak pasuje! I o to właśnie choźdź. Niech nawet mniej będzie pieczętek, za to więcej szajby i treści. Nie myśl sobie, że tylko mnie zebrało się na malkontenstwo, było nas co nieco, choź — nie powiem, byli też tacy, którzy programowo cieszili się, że jest fajnie. A najbardziej chyba

w nich dusza awangardy intelektualnej, jeśli jest, jak jest? Jeden z niegłupich ludzi plynących na tej samej tratwie rozważał, jak czasy i okoliczności mają się do kształtu kultury. Powiadał, że twórczości sprzyja bądź stan totalnego zagrożenia, bądź stan bezpiecznego komfortu psychicznego. Coś w tym jest na pewno. Ale czy naprawdę wstrząsy ostatnich lat i stan fikcyjnego kłajstru pokrywającego rzeczywistość niepokoję i lęki naprawdę decydują o „zamarzaniu” myśli twórczej i niepokornej?

Czy potrafisz sobie przypomnieć w naszym kraju taki czas, gdy osiągalni byli wymarzeni stan poczucia bezpieczeństwa? Przecież zawsze tak było, jak nie zakręt, to słuszny protest, albo niepokoję, bardziej lub mniej na wierzchu. Ale na nudę, jak boga kocham, nie mieliśmy czasu narzekać. A jednak artyści tworzyli. Lepiej bywało i gorzej. I nie bez pikanterii jest wzdychanie do niegdyś bezbożowej kultury studenckiej. Ze tworzyła nowe wartości, że, właśnie, ścigała pseudokulturze portki z dupy, że o coś wołowała. Taż wszystko to dotyczy lat tuż po wielkich wstrząsach społecznych. Lata po roku 1956, po 1968, po 1970...

Powiem ci, że bardzo nieufnie przyjmuję wywody, jakoby czasy ostatnie sprasowały du-

z tego, że w ogóle FAMA jest, że żyje i rozwija. Nie podzielałm tego asekuracyjnego optymizmu per „czujemy się, że w ogóle jest”. Może to i wystarczy do vegetacji, ale jak się ma do szczytnych intencji „robienia” kultury? Pewnie dlatego często powtarzano wierszyk nieodżałowanej pamięci Maksa Szoca, malarza flamandzkiego polskiego pochodzenia, jednego z gigantów na niegdysiejszych FAMACH:

SNUJE SIĘ PO SWINOUJŚCIU

z odróżającym obliczem — FAMA, co była czymś kiedyś, a teraz jest niczem.

Z tego wszystkiego nekaly mnie chorobliwie majaki i zwiady senne. Śniło mi się, wyobraź sobie, na przykład takie coś: Jest FAMA '86. Jednym z jej honorowych założen jest bezinteresowność. Totalna. Wszyscy wykonawcy, reżyserzy, spece od produkcji, pomagierzy i wujowie „szolbiznesu” robią FAME gratis. Bo taki jest ich gest i wielkopański kaprys. Stać ich na to, żeby raz do roku odstąpić od solennego tlużenia smalau w trasach objazdowych organizacji rozmaitych imprez. FAME robią dla siebie. Bo chcą, bo lubią, bo bez niej żyć nie mogą. I — poza koniecznymi wydatkami na wynajem sal, amfiteatru, sprzętu, opłacenie transportu etc., nikt, ale to nikt, za zrobienie koncertu czy spektaklu nie bierze forsz... Ocknęłam się z tej maliny i słyszę ten wesolutki rechot dobiegający z „kól zbliżonych do dobrze poinformowanych”. Jakże gratis? Taż połowa, albo i więcej spośród organizatorów, reżyserów i wykonawców, dawno już straciła dzwielekto studenckie. Tu się zarabia, z tego się żyje. I śmieć frajerom. Zwłaszcza tym, co bez żadnych profitów na widoku mają ohoję pobawić się w muzykowanie, teatr, plastykę, czy co tam jeszcze. Rozumiesz chyba że nie jest to sen nadający się do realizacji. Każdy biznesmen robiący w „rozrywce” ci powie, że bez pieniędzy nie ma kultury. I on nawet będzie miał rację. Tyle że pieniądze mają być dla niego, a artysta — student i tak będzie śpiewał. Bo lubi. No włec jest jak jest. Za mało sztuki, za dużo rozrywki. I nie da się już nijak dopasować do teraźniejszości niegdysiejszych zachwyków nad tym, jak to FAMA walczy z pseudokulturą, że ośmieszła stereotypy, tanioczę i bezmyślność, że FAMA po prostu pseudokulturze ściga portki z dupy.

W tym miejscu powinnam ci zaserwować obfity wybór wspomnień z lat ubiegłych, tluściych i chwalebnych. Ale ci oszczędzę. Bo nie dobrane mi się robi od tego ustawicznego poje-kiwania nad stanem kultury studenckiej. Wszelkie te utyskiwania, rwanie włosów z głowy, albo, co gorsza, umiarkowany optymizm, że „jest dobrze, ale nie beznadziejnie”, to nie ma sensu. Niby dlaczego ten akurat kawałek kultury narodowej, jaką chce i kiedyś była kultura studencka, miałyby się czymkolwiek różnić od reszty? Niby dlaczego akurat tu miałyby kwitnąć geizer intelektu, wzwód szarnu i e-rekcja humoru? Społeczeństwo, i wybacz mi te solenne egzegezy, włec społeczeństwo ma dokładnie takich studentów, na jakich sobie zapracowało. Ani lepszych, ani gorszych niż grunt, z którego wyrósł. Dlaczegoż żądać od studenterii rewolucyjnej odwagi w głoszeniu własnej wizji świata, skądże miałyby się brać

szę ludzi, w tym i artystów. Pewnie, mało kto mógłby powiedzieć, że spłynęło na nim, jak po kacze, ale artysta usprawiedliwiający swą jawność myślową „sytuacją” — to już czysty śmiech. A cóż jest wart twórca, jeśli potrzebny jest mu kokon hołubionego pieszczoła, by raczył wydać na świat owoce swej artystowskiej duszy. Mam gdzieś takich artystów i niech mnie bozia od takich chroni.

I wiesz co było charakterystyczne dla tej obecnej FAMY? Włec bezrucz. Intelektualny. Żadnych wielkich roztrząsań o przyczynach tego co jest, o nowych wizjach, o tym, że coś by warto powiedzieć ludziom, albo wykrzyścić, albo wysmiać. Nic. Nikomu nie chciało się, bo i co tu miedlić w kółko, że jest niedobrze, kiedy i tak wiadomo dlaczego (w domyśle: coś o przykrećaniu sruby i przyduszaniu gardła niezależnej pleśni).

Nie wiem czy wiesz, że pisze do ciebie zdeklarowany wróg obecnego systemu polityki kulturalnej? Tej właśnie, w której głos decydujący należy do urzędników za głupich na to, by nie tylko stworzyć jakąś wartość samemu, ale nawet by pojąc na czym w ogóle polega twórczość. Urzędas zawsze będzie tępił niepodległość ducha, bez czego nie ma żadnej artystycznej działalności. I tak jest i pewnie jeszcze długo będzie. Tylko że niezależnie, a raczej na przekór, włec całej tej administracji kultury pojawiali się wybitni twórcy. Bo oni mają gdzieś „sytuację”. Oni noszą własną iskrę bożą i żaden, naigłupszy urzędnik, działacz czy wuj dobroliwy, nie jest w stanie odebrać talentu.

Włec nie dziw się, że przycham na te wszystkie „przyczyny obiektywne”. Zwyczajnie, trzeba po prostu powiedzieć jedno. Społeczeństwo jest głupsze. I już. To jacy niby mieliby być studenci? Też są tępi (patrz poziom szkolnictwa wyższego, zasady rekrutacji i co tylko chcesz) i bliżej im do smalau niż do myślenia. Co my tu będziemy opowiadać bajdy o takich tam uwarunkowaniach. Nie chce się myśleć, bo tak się fatalnie składa, że myśleć się nie oplaca. Skoro forsz robi się na obrzydliwych dowcipach o ministrze Urbanie, skoro ludność to kocha i tarza się ze śmiechem, dumna z własnej przenikliwości w wyłapywaniu subtelnych aluzji, skoro tak, po co się wysilać. Chyba po to, żeby dostarczyć materiału do anegdot o tym, jak to w czasie wieczoru poetyckiego, poecie recytującemu swe wiersze przerwał jakiś gość. Podszedł, przedstawił się jako cenzor miejscowego urzędu, pokazał legitymację. I zaczął przerwaną wieczorą, z powodu treści prezentowanych przez poetę. Od organizatorów żądał 50 tysięcy grzywny z natychmiastową płatnością. I FAMA zapłaciła za poetę, a lud opowiadał bajki o tym, jak to zdiawiono ducha niepodległego. Ja tam nie wiem, ale coś mi się zdaje, że był to przykład „niepodległości od rozumu”. Nic łatwiejszego niż z godnością obnosić wyprasowany smokinę zdeklarowanego kontestatora. Ludzie to lubią, ludzie to kupią.

Muszę skończyć pisanie, bo jedyne łuczyno na tratwie oświeciła dyrekcję pochyloną nad sprawozdaniem z przebiegu FAMY, a tu, na skraj, ledwo co dociera. Morze pozkótsane, woda chlupie mi w nie zjedzonym jeszcze prawnym bućcie. Korzystam z szansy, że prąd nas znosi w stronę brzegu i wrzucam butelkę z niniejszymi zapiskami do wody. Przy odrobinie szczęścia, ktoś znajdzie butelkę na plaży i może otrzymasz wiadomość.

Do końca rejsu jeszcze trochę czasu, obiecuję ci włec, że jeśli zdołam pustą butelkę (na hasło: poproszę o mydelko) postaram się wysłać dalszy ciąg zapisków.

„Persona non gratis”

Przypadek zrzucił, że dowiedzieliśmy się o artykule Jolanty Wrońskiej „Persona non gratis” („Odgłosy” nr 18 (1414), XXVIII z 4 maja 1985 r.). Autorka etając w obronie jednostki, która „walczyła w imię ideałów, a potem w samoobronie”, pragnie przypomnieć administracji państwowej, by w trosce o interes społeczny nie traciła z pola widzenia również interesu jednostki. Cel złośliwy, ale droga jaką obrała autorka, by go osiągnąć, wywołuje zdziwienie, niesmak, budzi wątpliwości, czy rzeczywiście takie były zamiary dziennikarki. Do takiej bowiem refleksji skłania lektura artykułu, jednostronnie i tendencyjnie przedstawiającego sprawę Czesława Wilińskiego, byłego nauczyciela II Liceum Ogólnokształcącego w Wałbrzychu. Wymowny jest również fakt, że redakcja zamieszczając artykuł i imiennie krytykującą administrację państwową nie zwraca się do niej o ustosunkowanie się do poruszanej problematyki.

Tendencyjność i jednostronność artykułu widoczna jest bowiem zarówno w przedstawieniu faktów jak i ich interpretacji. Przyjrzyjmy się im bliżej. Komisja do zbadania spraw przedstawionych przez Czesława Wilińskiego została powołana w marcu 1984 r. na polecenie wicewojewody wałbrzyskiego, a nie na skutek interwencji ministerstwa oświaty. Charakter sprawy, a nie, jak twierdzi autorka artykułu, „niezwykła wyrozumiałość zwierzchnich władz oświatowych”, zdeterminował sposób prowadzenia postępowania wyjaśniającego m.in. w fazie początkowej postępowania, rozmowy z uczniami i ich rodzicami, nauczycielami prowadzone w kuratorium; oskarżony przez uczennicę dyrektor został zapoznany z zarzutami dopiero po ich wstępnym zbadaniu. Zmyślone i nieprawdziwe całkowicie są stwierdzenia dotyczące sposobu przesłuchiwania uczennic (zastraszanie, odmowa prawa podpisania protokołów przesłuchań).

Gdyby autorka podjęła trud złożenia jeszcze jednej wizyty w wałbrzyskim kuratorium, miałyby możliwość zapoznania się z udokumentowanymi faktami zachowania się Czesława Wilińskiego podczas postępowania wyjaśniającego prowadzonego przez komisję kuratorską.

Cz. Wiliński nie dowierza władzom oświatowym, niepokoi go dyskretna, a jaką komisja kuratorska wyjaśnia zarzuty postawione dyrektorowi szkoły. „Upoważniony, jak twierdzi autorka artykułu, relacjami uczennic i swym sumieniem pedagoga” podejmuje działania zmierzające nie do obrony interesów uczennic, ale przede wszystkim do nadania rozgłosu sprawie i zdyskredytowania w opinii środowiska dyrektora liceum, z którym od kilku lat był w stosunkach konfliktowych. W tym celu prowadzi swoiste dochodzenie, pisze bądź inspiruje uczennicę i ich rodziców do pisania skarg do prasy, telewizji, władz centralnych i mimo napomnień ze strony kuratorium doprowadza do ukazania się artykułu napisanego przez nieodpowiedzialnego pracownika redakcji „Sztandaru Młodych”. W ten sposób została w praktyce zrealizowana przez Cz. Wilińskiego chęć dyskretnego, jak twierdzi autorka, wyjaśnienia oskarżeń stawianych dyrektorowi liceum. Jest to więc kolejna wypaczona przedstawienie faktów przez redaktorkę.

Poprzez ukazanie się artykułu w prasie Cz. Wiliński osiągnął cel rzeczywisty swojego działania. Dyrektor liceum został uznany przez środowisko winnym przed zakończeniem postępowania, nadzarpnięty mocno został autorytet szkoły, pogorszyła się znacznie atmosfera i stosunki międzyuczniwe w szkole. Liceum, które do tej pory cieszyło się dobrą opinią i uznanym autorytetem w środowisku, stało się areną rozgrywek interpersonalnych, nie mających nic wspólnego z troską o dobro młodzieży. Znajomość tych faktów nie przeszkadza jednak Jolancie Wrońskiej sformułować w sposób uwielający stwierdzenia, że „tylko ostatni balwan mógł stwierdzić, że dopiero wyskok Cz. Wilińskiego poważnie nadzarpnął dobre imię szkoły i autorytet gona pedagogicznego”. Redaktorka wie lepiej, w redakcji „Odgłosów” nie pracują przecież balwani.

Autorka oskarża wicewojewodę i kuratorium o tendencyjność i insynuacje w przedstawianiu i ocenie postępowania Czesława Wilińskiego. A jak należy odczytać (niezgodnie z prawdą) stwierdzenia dotyczące np. okoliczności odejścia R. Ujmy ze stanowiska wicekuratora, wyników postępowania wyjaśniającego, okoliczności pobicia Cz. Wilińskiego w szkole (autorka celowo przemilcza fakt, że jednym z „dwóch cywili” był zrozpaczony ojciec faktycznej wychowawczyni zainteresowanych sprawą uczennic, która w wyniku ukazania się artykułu w prasie doznała szoku i trafiła do szpitala psychiatrycznego). Bez znaczenia dla redaktorki jest fakt, że grono pedagogiczne, aczkolwiek podzielone, w zdecydowanej większości wyraziło dezaprobatę w stosunku do postępowania Cz. Wilińskiego oraz to, że identyczne stanowisko zajęła organizacja partyjna i związkowa.

Na koniec refleksja natury ogólnej. Artykuł napisany został w obronie Cz. Wilińskiego, to oczywiste i zrozumiałe, ale nie napisano go w imię prawdy materialnej. Autorka nie podjęła trudu wszechstronnego zbadania sprawy, przeczytała i uwierzyła. Kierując się racjami jednej strony i „raz informacjami” a ograniczona plotki zbudowała na tej podstawie wnioski ogólne oceniające postępowanie władz województwa, które jest dla niej zaściankiem, w którym rządzi prawa dżungli. Gdyby bowiem wysłuchała w myśli zasady audiatu et altera pars również racji drugiej strony, decyzja wicewojewody wałbrzyskiego, podtrzymana zresztą przez urząd ministra oświaty i wychowania, byłaby jasna i nasadza z punktu widzenia ogólnego interesu społecznego. Życzyć zatem należy redakcji „Odgłosów”, by broniła tak żarliwie jednostki pamiętając również o interesie szerszej społeczności, a w szczególności wówczas gdy jednostka ubiera się w tożę jedynego „sprawiedliwego”.

Wałbrzych, 1985—05—23

mgr MIECZYSLAW STRUK
kurator oświaty i wychowania

OD AUTORKI

1. Tak jest, zamierzalam przypomnieć administracji państwowej, by w trosce o interes społeczny nie traciła z pola widzenia również interesu jednostki. Nie rozumiem natomiast, jakiego rodzaju wątpliwości co do moich zamiarów, ma autor listu.

2. „Wymowny jest również fakt, że redakcja zamieszczając artykuł i imiennie krytykującą administrację państwową, nie zwraca się do niej o ustosunkowanie się do poruszanej problematyki (...)” Administracja państwowa już się ustosunkowała do poruszanej problematyki i o tym właśnie traktował mój reportaż. Nie

mam także obowiązku zapytywania administracji państwowej, czy podoba się jej mój punkt widzenia.

3. Owszem, komisja badająca zarzuty przedstawione przez Czesława Wilińskiego została powołana przez wicewojewodę wałbrzyskiego. Co też jasno napisałam. Powołanie komisji bynajmniej nie oznacza rozpoczęcia przez nią działania. Dopiero bowiem monit z Ministerstwa Oświaty (następstwo zażalenia złożonego przez Wilińskiego) pobudził komisję do czynu. Świadczy o tym kolejność faktów i dat.

4. Niezwykła wyrozumiałość władz zwierzchnich odnosiła się (to jasno wyłożyłam) do wcześniejszych faktów mających miejsce w II Liceum Ogólnokształcącym, ze szczególnym uwzględnieniem poczynań dyrektora Ryszarda Ujmy i pogarszających się stosunków w gronie pedagogicznym.

5. Zarzut zmyślenia i kłamliwego podania faktów dotyczących przesłuchań uczennic jest nieprawdziwy. Istnieją pisemne oświadczenia uczennic, ich rodziców oraz kopia skargi wysłanej w tej sprawie do ministerstwa przez matkę jednej z uczennic. W razie podtrzymania stanowiska, można będzie jak sądzę, przedstawić te dokumenty w każdym sądzie.

6. Argument, iż nadarłem sprawie rozgłosu stanowił dyskredytację opinii szkoły w oczach środowiska, pojawia się zawsze tam, gdzie ciżba i milczenie stanowią pożądany dla interesów administracji lub innych instytucji stan kultury społecznej. Brak logiki w rozumowaniu mego adwersarza dotyczy: insynuacji, jakoby głównym celem działania Czesława Wilińskiego była niedyskrecja i chęć nadania sprawie rozgłosu. Albowiem rozgłos sprawie nadał właśnie upór administracji pragnącej za wszelką cenę ukryć sprawę łeb po cichu. Skoro jednak rzecz stała się głośna, wypadało głośno i detalicznie przedstawić swe stanowisko, pozostawiając osąd opinii publicznej. Zważywszy fakt, że o konflikcie pisało troje dziennikarzy (A. Basiński — „Sztandar Młodych”, K. Dabek — „Sprawy i Ludzie” i ja) w przeciągu roku, oraz że przytrafiła się nam dziwna jedynomyślność w ocenie faktów, było wiele okazji do zaprezentowania publicznie swej opinii przez zainteresowane organy administracji państwowej i oświatowej.

7. Insynuacje, jakoby Cz. Wiliński fabrykował dowody przeciw nie lubianemu dyrektorowi i nakłaniał do tego samego uczennicę i ich rodziców stanowił oszczerstwo wymierzone przeciw zainteresowanemu. Zaczem — ich decyzji pozostawiam, czy zechcą skrzywdzić pana Mieczysława Struka w sądzie. To samo dotyczy „nieodpowiedzialnego pracownika redakcji „Sztandaru Młodych”.

8. Autorytet szkoły w oczach uczniów istniał tylko w wyobraźniach administracji, świadczą o tym fakty dziejące się w szkole na długo przed wybuchem zasadniczego konfliktu. Co zaś się tyczy atmosfery i stosunków międzyuczniwych, to jeśli przedtem były tak znakomite, jak to sugeruje pan Struk, to anatomia winien być obłożony przez kolegów Cz. Wiliński. Jako burzyciel harmonii, nie zaś ceniony dyrektor. Skoro jednak odwrócono się od dyrektora, znaczyłoby to, że harmonia była tylko pozorna, zaś świetne samopoczucie władz należy uznać za przejaw chciwości.

9. Zgadza się w całej rozciągłości. W redakcji „ODGŁOSÓW” nie pracują balwani.

10. Jakże są, zgodne z prawdą, przyczyny odejścia Ryszarda Ujmy ze stanowiska wicekuratora? Nie przedstawiono w tym względzie żadnych danych.

11. Owszem, nie podałam faktu, iż bijącym był ojciec jednej z nauczycielek II Liceum. Po pierwsze — jakie znaczenie ma fakt, kim jest rozbójnik? Czy ojcostwo jest usprawiedliwieniem samego faktu pobicia? Po drugie — jakim prawem i na podstawie jakich analiz lekarskich, testów psychiatrycznych lub posiadanych kompetencji zawodowych oświadcza p. Struk, że nauczycielka, córka krawkiego ojca, doznała szoku i trafiła do szpitala psychiatrycznego, w wyniku ukazania się w prasie artykułu o konflikcie szkolnym? Czy Kuratorium w Wałbrzychu dysponuje ekspertami biegłymi, pozwalającymi na wydawanie takich wniosków? Jeśli tak, to dlaczego poszkodowana lub jej bliscy nie zaskarżyli do sądu Wilińskiego?

12. Nie jest dla mnie bez znaczenia fakt, iż podzielone i skłócone grono pedagogiczne w większości nie pochwalalo postępowania Cz. Wilińskiego. Sam Wiliński lojalnie o tym mówi, co cytuję w moim tekście. Organizacja partyjna i związkowa zajęła swe stanowisko, od czego zaczyna się mój reportaż. Co ma z tego wynikać? Ze większość jest nieomylna?

13. Nieprawda jest, iż nie wysłuchałam drugiej strony. Moją rozmowę z wicewojewodą wałbrzyskim cytuję bardzo obszernie. Wnioski wyciągnęłam po rzetelnej lekturze dokumentów i zaprezentowałam czytelnikom. W ramach refleksji natury ogólnej wypada mi jedynie pokrzywić głowę nad perfekcyjnie opanowaną umiejętnościami omiatającą sędzią spraw. Ani jednym słowem nie wyjął p. Struk czy zarzuty stawiane dyrektorowi Liceum w ogóle były prawdziwe, za to obzerznie gani ujawnienie konfliktu. Przecież nie o to chodzi!!!

JOLANTA WROŃSKA

Od redakcji:

List wałbrzyskiego kuratora oświaty i wychowania Mieczysława Struka i odpowiedzi autorki reportażu „Persona non gratis” Jolanty Wrońskiej zdecydowaliśmy się opublikować jednocześnie wbrew przepisowi art. 52 pkt 6 prawa prasowego, gdyż list kuratora nie jest, naszym zdaniem, ani rzeczowym sprowstowaniem odnoszącym się do faktów, ani odpowiedzią na stwierdzenia zarzucające dobrom osobistym.

„OSTATNIA PRYZSTAŃ”

Chciałam nawiązać do artykułu red. Edwarda Bryla zatytułowanego „Ostatnia Przystań”, który to artykuł ukazał się w 27 numerze tygodnika „Odgłosy” z dnia 6 lipca 1985 r.

W artykule tym red. Bryl w sposób chwytiliwy za serce przedstawia problem ludzi starych, niedołężnych, nikomu niepotrzebnych, którzy dla swoich najbliższych są wręcz udręką. Mimo tego, że posiadają oni rodziny, a często bardzo żonane wykształcone dzieci, u schyłku życia zdani są całkowicie na pomoc Państwa. Rodziny jak i dzieci niestety zgłaszają się i odwołują ich wyłącznie wtedy, kiedy można odebrać ich skromne oszczędności. Uważam, że tym starym ludziom, którzy przecież w większości całe życie ciężko pracowali — powinno być w ostatnim etapie ich życia bardzo dobrze.

Aby to osiągnąć opłata za ich pobyt w Państwowych Domach Pomocy Społecznej uiszczana przez rodziny chcące się pozbyć „balastu” powinna być bardzo wysoka (całkowita) tak, aby pokrywała koszty utrzymania w tych placówkach wystarczająco

liczby personelu (bardzo dobrze płatnego), który mógłby zapewnić starym niedołężnym ludziom wszystkie czynności m. in. wyjścia na spacer, czytanie książek, czynności higieniczne i wiele innych. Całkowity koszt powinien pokrywać rodziny nie chcące się opiekować swoimi sędziwymi rodzicami czy krewnymi, a nie teby Państwo, a tym samym my wszyscy łożąc na utrzymanie Domów Pomocy Społecznej robiliśmy w ten sposób tym niehumanitarnym ludziom prezenty.

REGINA JELONEK

DLA KOGO MIESZKANIE?

Przebywając na urlopie w Fabianicach kupiłem numer 29 „Odgłosów” i zająłem do rubryki „Polemiki, Opinie, Listy” Zaskoczyła mnie wypowiedź Andrzeja Cierpińskiego, jego dziwne rozumienie praworządności. Autor uważa za normalne, że ktoś poprzez kumoterstwo załatwia przydział, że w M-6 mieszkają trzy osoby, podczas gdy wieloosobowe rodziny gnieźdzą się w obskurnym M-1, albo mieszkają rozdzielone i uważa, że skoro w roku 1979 ktoś nabył coś poprzez machinacje, to niech teraz ma. Jest to sprawiedliwość bardzo dobra dla ewaników, kombinatorów, oszustów, dzięki niej problem mieszkaniowy nie zostanie rozwiązany nigdy. Andrzej Cierpiński powołuje się na fakt, że nikt nie był sądzony za ogromne zadłużenie kraju; zapomina że stało się tak w wyniku amnestii, która anulowała przewinienia (a zatem musiały one być, skoro zaistniała potrzeba amnestii).

Obecnie jest tajemnicą poliszynela, że mieszkania spółdzielcze są przedmiotem działań spekulacyjnych. Wiele osób, które otrzymują ponadmetraż wynajmuje sobie pokoje mając dodatkowy dopływ gotówki. Ba, są liczne przypadki, iż osoby posiadające mieszkanie dostają przydział ze spółdzielni po to, aby je wynajmować. Kolega w Kielcach spotkał się z podobną propozycją: za jedyny 11.000 złotych miesięcznie zaproponowano mu wynajęcie spółdzielczego M-2, przy tym bez jakiegokolwiek zameldowania. A zatem osoby o dużych dochodach, o szerokiach plecach będą miały po dwa pokoje na osobę lub po kilka mieszkań, zaś biedota niech gniecie się w kilkach, w norach lub małżeństwa niech mieszkają oddzielnie.

Tu trzeba dodać, że spółdzielnie mieszkaniowe są dotowane przez państwo. A przecież nie po to, aby kombinatorom i spekulantom stworzyć lepsze warunki życia czy szanse łatwego zarobku. Państwo dopłaca do mieszkań, aby ludzie mniej zamożni nie mieszkali w piwnicach czy na poddaszach, a z dworca korzystali w celach podróży.

Andrzeja Cierpińskiego nie interesuje jednak stan faktyczny, nie obchodzi go sposób rozwiązania problemu mieszkaniowego. Po prostu skoro w papierach wszystko się zgadza, a zatem nie wolno się czepiać. A przecież wiadomo ile stomatolodzy biura w prywatnych gabinetach (bez 1000 złotych nie ma sensu wchodzić) a zatem stać byliby właścicielkę na wybudowanie własnego lokum, zaś mieszkańcy spółdzielcze powinni odstąpić tym, którzy ponoszą skutki kryzysu na swoich barkach.

Uważam bowiem, że dopóki spółdzielnie będą nastawione na zysk i będą oddawać mieszkania w pierwszej kolejności bogatym, sprzedawać na własność za dolary, nigdy problem mieszkaniowy nie zostanie rozwiązany. Młode małżeństwa są zazwyczaj biedne, nie mają układow, znajomości, a zatem zawsze pozostaną na szarym końcu w kolejce, podczas gdy inni będą wygodnie dorabiać się dzięki dotacjom państwa. Ale Andrzeja Cierpińskiego i sporą część biurokracji to nie obchodzi, liczy się dla nich bowiem stan formalny, nie zaś faktyczny. No cóż, rodzi się nam nowa klasa kombinatorów, ewaników, spekulatorów, ludzi o dużych dochodach i znajomościach i musi mieć swoich ideologów.

RYSZARD KUŁAKOWSKI (KIELCE)

ALARM DLA PILICY

Ponieważ wasza redakcja zamieszcza cenne artykuły na temat zagrożeń środowiska, sądzę, że to właśnie wy powinniście stać się inicjatorami wprowadzenia szczególnej ochrony rzeki Pilicy oraz nadpiliczańskich terenów, których niepowtarzalny urok (Jasy, zabytkowe wsie, Pasma Przedborskie, czyste powietrze) jest coraz częściej zagrożony przez bezmyślną i szkodliwą działalność ludzi. Nie trzeba chyba powtarzać, że Pilica wraz z przyległościami to olbrzymi rezeruar wody pitnej dla tak ważnej w gospodarce przemysłowej Łodzi oraz dostarcycielką czystego powietrza od strony południowej dla tejże metropolii. Tymczasem zapas wody w rzece, mimo ujęcia Sulejowskiego, z każdym rokiem maleje!

Tereny nadpiliczańskie z natury suche i piaszczyste „pustynieją” powoli na skutek masowej wycinki lasów, które powstrzymywały dotąd to zjawisko, utrzymując wilgoć i zapobiegając parowaniu. Zachowanie naturalnego ochronnego pasa lasów wzdłuż rzeki jest więc koniecznością z uwagi na potrzeby samej Łodzi, nie mówiąc już o ochronie środowiska.

Drugi problem wymagający natychmiastowego rozwiązania, to ochrona fauny i flory samej rzeki Pilica swą stosunkowo czystą wodą przyciąga nie tylko rasowych wędkarzy, ale i wandalów, których wycyny wywołują nawet zdumienie wśród miejscowych kłusowników. Ryby tępi się nie tylko siecią, ale i elektrycznością, dynamitem, zapalnikami górniczymi, wabi elektrycznym światłem. Na skutek braku jakiegokolwiek kontroli działają tu bezkarnie całe gangi, które dopuszczają się rękoczynów wobec coraz bardziej bezradnych i anemicznie interweniujących. Są to zjawiska karygodne i wymagające natychmiastowej likwidacji.

Szczególne ochrona przyrody nadpiliczańskiej jest koniecznością z uwagi na rozbudowujący się Bełchatowski Okręg Przemysłowy. Jeśli chcemy, by jutro naszego środowiska w województwach piotrkowskim i łódzkim nie stało się dla ludzi gehenną, należy podjąć konkretne działania już dziś. Nad Pilicą wychowałem się, mam tam rodzinę, uczuciowo związany jestem z Piotrkowem Tryb i Łodzią. Chciałabym by miasta te oraz okoliczne tereny były wolne od kosmaru XX wieku, którym jest zagrożenie środowiska i konsekwencje z tego wynikające.

JAN ROŚIŃSKI
(Pruszków)

Gazowy Berliet spod Wawelu

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

1. Przyniesło nas, o! przywleczono mocno. Od paru lat podstawowy temat rozmów zmotoryzowanych rodaków stanowi paliwo. — „Jak sobie radzisz?” — to zwykłe pierwsze pytanie. Bo przydziałowe ilości na niebezpieczne kartki przyprawiają o pustą śmiech. Co prawda, jak to u nas — wszyscy płaczą i wszyscy jeżdżą. Lub wracają wszyscy. Precyzynie! rzecz użmiał: ci, których stać na wyasygnowanie 120—130 złotych za litr „łolite” nie mają większych kłopotów z jej nabyciem. I nie sadzą, aby w tej mierze mogło się coś zmienić. Sprytni jesteśmy jak mało kto i żadnych precyzynnych, czyli tzw. szczelnych systemów się nie boimy. Mimo wysokich kar, niezależnie od kartek możemy kupić dowolne ilości mięsa, niezależnie od godzin otwarcia sklepów monopolowych — dowolne ilości wódek. Przykłady można by mnożyć. I nie inaczej, bo niby dalszego, jest z paliwem.

— Ale tak na dobrą sprawę benzynowe machinacje nie rozwiązują problemu. Problemu braku etylonu. Jest co prawda pod dostatkiem oleju napędowego i na każdej stacji CPN „benzynowcy” mogą tylko zarzytać zębami widząc właścicieli „diesel”, którzy podjeżdżają bez kolejki i z uśmiechem proszą „full”. Często zresztą nie podjeżdżają, bowiem od zaprzyjaźnionego faceta z koparki czy szychacza kupia ropę jeszcze taniej niż na stacji. Marna pociecha stanowi też świadomość, że sdyby jakimś cudem udało się przestawić cały transport również średniotonażowy na olej napędowy sdyby Bielsko i Tychy z Żeraniem pospół zaczęły produkować pojazdy napędzane ropą — to też ostatniej po prostu nie wystarczyłoby dla wszystkich. Jest to przecież swoisty system naczyni połączonych. Z kilkunastu milionów ton importowanej ropy więcej (czy oleju czy benzyny) już się nie wywiezie...

Pewnym wyjściem z niewygodnej sytuacji, powiedzmy — jedna z furtok, oprócz generalnej potrzeby wpojenia samemu sobie nawyku oszczędzania paliw, jest potencjalna możliwość wykorzystania m.in. do

napędu silników gazu. Poświęcamy tej materii sporo miejsca od pewnego czasu na łamach „Odgłosów”. Wszyscy co prawda zdajemy sobie doskonale sprawę, że też go trzeba kupić, ale jest on tańszy i — nie wstydzimy się — wrócić trzeba do rozważań często z początków naszego wieku i wykorzystania właściwości gazu szerzej tak w przemyśle jak i transporcie.

Przynajmniej też otwarcie, że wśród krajów socjalistycznych jesteśmy w specyficznej, najmniej korzystnej sytuacji. Wszystkich wokół po prostu stać na zakup niezbędnej ilości ropy, a ewentualne próby — jak w NRD — z zastosowaniem gazu propan-butan do napędu silników takśówek mają zupełnie inny niż u nas podtekst. Jeśli nie stać nas bowiem na wygospodarowanie niezbędnych dla szeroko rozumianej turystyki ilości wspomnianego gazu nie mogą mieć przyszłości podejmowane tu i ówdzie (o czym również wspominał) w swoim czasie na zasadzie ciekawostki próby wykorzystania propanu-butanu do zasilania silników samochodowych.

Pozostaje gaz ziemny, a nie tak dawne decyzje rządowe oraz ostatnie ustalenia w ramach RWPG wskazywały, że na potencjalne możliwości jego wykorzystania kładziemy coraz większy nacisk. Od umów i ustaleń na wysokich szczeblach daleka co prawda droga do codziennej praktyki, tym niemniej...

2.

— Po jednej rozmowie telefonicznej takim go sobie wyobrażałem. Rzutki, energiczny, umiający podjąć w minutę najtrudniejsze decyzje.

— Dobrze że pan wpadł — inżynier Wiesław Ptak, szef Zakładu Napraw Autobusów w krakowskim MPK, gestem ręki zaprasza do stolika, na którym smakowicie paruje filiżanka kawy.

— W naszej sprawie sporo nowego, zaraz będzie tu inżynier Jan Kunicki z Politechniki, wspólnie weźmiemy pana w obroty...

Przepadamy sprawie i znad kłębów papierosowego dymu obserwuje gospodarza. Szybki jest, na dwie słuchawki dzia-

ła: kilka dwojczyli, fałdek rzeczowe uwagi dotyczące remontowanych wozów. Krótko, konkretnie, po mesku. Za oknem, przez widoczną ścianę brame przevalała się co chwila cielska potężnych „Jarusów”. Właśnie wyjeżdża jeden z nich, ale jakis dziwny, tak-by skrócony o połowę karoserii. Wiem już — to patent zakładu przy ulicy Brożka 3: autobusowe pogotowie techniczne. Poszukiwane w całym kraju, z pomieszczeniem socjalnym, wyposażone między innymi w system automatycznego podawania ciężkich kół. W swoim czasie jakiś fachowiec z branży dziwił się, jakże to „zreżne pogotowie ci Węgrzy robią”...

Jest inżynier Jan Kunicki, prawa ręka profesora Mariana Zablockiego z Krakowskiej Politechniki, który sprawa wykozystania różnych paliw w silnikach wysokoprężnych zajmował się, tak, tak, jeszcze w latach pięćdziesiątych. Godzi się choćby wspomnieć, że będący dziełem profesora stacjonarny dwupaliwowy silnik (ropa-gaz) w 1964 roku rozpoczął prace w oczyszczalni ścieków w Bytomiu.

— Wykorzystanie gazu do zasilania silników nie jest żadną rewolucją technologiczną — Jan Kunicki też z widoczną przyjemnością konsumuje żelazną rezerwy kawy MPK — temat znany jest co najmniej od jakichś 50 lat, pierwszy silnik spalinyowy wykorzystywał przecież to paliwo. Latwość mieszania z powietrzem — ten atut przede wszystkim wykorzystywali nasi dziadkowie. A pierwsze próby z zastosowaniem gazu w silnikach wysokoprężnych datują się bodaj o 170 lat, drugie wojny światowej. Zresztą co tu daleko szukać: szczególnie rozpowszechnione na Śląsku stacje „auto-gaz” egzystowały w Polsce jeszcze w latach sześćdziesiątych. Cała armia „starów” i „ziarów” zasilana była, to znaczy ich silniki z zapłonem iskrowym — gazem wysokociśnieniowym, rzędu 200—250 atmosfer.

— Zanim opowiem o ważnym autobusie — nie może się już doczekać, kiedy obaj przejdą do tak zwanego meritum, choć nie chce wyopisać kompletnego laika — przypomnijmy zalety takiego paliwa. — A więc znikoma toksyczność spalin...

— Powiedzmy ostrożnie, radykalnie zmniejszona toksyczność — wpada mi w słowo inżynier Kunicki — brak zdużnienia — tak uciążliwego w przypadku autobusów komunikacji miejskiej, czyli kłania się ochrona środowiska...

— Cena paliwa gra także kapitalną rolę — nie wtrzymuje Ptak — a poza tym zwiększa się trwałość silnika, jego ogólna sprawność, wydłużają się okresy między remontami oraz...

— Zaraz, zaraz, bo się pogubimy: powiedzcie panowie, kiedy zaczęła się wasza „zabawa z gazem”?

— To był chyba sierpień ubiegłego roku? — Wiesław Ptak zerka w stronę przedstawiciela Politechniki, którego wśród obłoku z „Carmena” z trudem można dostrzec — wpadł tu do mnie mój szef, naczelny dyrektor Tadeusz Trzmiel i powiada krótko: — „Wiesz, to trzeba zrobić...”. No i się zaczęło...

— Wielu było udziałowców?

— O, wymieńmy tylko podstawowych: oprócz naszych firm partycypany w zabawie krakowski Zakład Gazowniczy, Urząd Dozoru Technicznego, Przedsiębiorstwo Instalacji Przemysłowych „Montim”, Zakłady Budowy Maszyn i Aparatury z Krakowa oraz...

— Następnie zakupiono licencje — przerywam niezbyt grzecznie te wyliczankę.

— Nie, nie, żadnych licencji, zakupiliśmy ich w ostatnich latach wystarczającą ilość — inżynier Kunicki opęda się jak od natarczywej muchy. — Podstawowe założenie było proste: wykorzystaj krajowy wóz — Jelcz PR-110 i produkowaną przez WSK Mielec na licencji Leylanda leżący silnik wysokoprężny SW 680/55/3. Modyfikacje mogły iść w dwóch kierunkach — albo przeróbka silnika na zapłon iskrowy; wtedy wykorzystuje się jako paliwo tylko gaz — i to nas nie interesowało, albo...

— Albo? — „modernizacja umożliwiająca wykorzystanie gazu jako drugiego paliwa. Parę szczegółów technicznych bez których się nie obejdzie: diesel musi już z momentem uruchomienia dostać minimalną dawkę oleju napędowego, dopiero później zasysana jest mieszanka gazu z powietrzem, ale ta podstawowa porcja ropy podawana jest bez przerwy.

— Czyli jednak ropę silnik zużywa?

— Tak, ale w jakich ilościach! Przy pełnej mocy dawka jednorazowa na każdy z sześciu cylindrów wynosi około 130 milimetrów sześciennych, przy naszym, dwupaliwowym — tylko 25 milimetrów sześciennych.

— Wygrwaliście na różnicy ceny?

— Oczywiście, choć nie tylko. Przyjmuję się teoretycznie, że 1 metr sześcienny gazu w cenie do 12 złotych zastąpi 1 litr oleju w cenie 32 złote.

— W praktyce natomiast... — Wartości zużytych paliw były zbliżone do założonych: eksperymentalny autobus zamiał 41—42 litrów ropy na 100 kilometrów spalił tylko 15 litrów oleju i 42 metry sześcienne gazu. Korzyści można prosto wyliczyć.

— Prototyp zapewne rozdził się latami...

— Niezupenie — inżynier Wiesław Ptak oderwał się wreszcie od telefonów i wpadł nam wnoł słowa — u nas nie pracuje się tą metodą. Pierwsze konkretne rozmowy miały miejsce, jak powiedziałem, w sierpniu ubiegłego roku, a miesiąc później na ulice wyjechał już tak zwany przedprototyp, dokładnie — chyba 29 września, na trasę Kraków — Olkusz.

— Nowy silnik w miesiąc? Bracia Grimm by na to nie wpadli.

— Żaden nowy. Trochę w wariackim tempie i stylu grupa ludzi z zacięciem i fantazją stworzyła właściwie od podstaw dodatkową instalację zasilającą w gaz typowy silnik, zamontowaliśmy parę rurek, mieszalnik gazu z powietrzem, dwie butle do środka i — wyjechałszy z bazy. Przeproszam — pierwsze jazdy odbyły się zwaną wcześniej — tyle że po terenie gazowni...

— Bez teoretycznych przewidywań, dokumentacji, zapożyczeń technicznych, całej tej namiętnej otoczki?

— No, tak się jakoś złożyło. Chcieliśmy sprawdzić, czy w ogóle idea jest słuszna, czy jest sens bawić się w „te klocki” dalej.

— Dobrze, wierzcie, ale — sprężanie gazu to specjalne urządzenie, całe stacje wreszcie, specjalne butle; system drogi, na który nie wszyscy mogą sobie pozwolić i który u nas nie będzie miał raczej przyszłości...

— I to jest właśnie jeszcze jeden plus naszego przedsięwzięcia: my nie sprężamy gazu. Zdamy sobie sprawę, że to są dewizy i znów w przyszłości zdani byłibyśmy prawdopodobnie na jakiś „ciudowny” licencje. My korzystamy ze „zwykłego” gazu ziemnego, płynącego podziemną rurą, o ciśnieniu raptem 20—50 atmosfer. Fakt: ten zysk, proste rozwiązanie, okupić musimy niskim zasięgiem. Pierwsze próby miały wskazywać, że praktycznie autobus „przeleci” po mieście 100—150 kilometrów — na tyle wystarczy mu zbiorniki o pojemności rzędu 1,5 metra sześciennego gazu i ciśnieniu 25 atmosfer.

— Czyli wielokrotne tankowanie?

— A cóż to przeszkadza, na krańcówce może podłączyć się do „rury” z paliwem i po 10 minutach będzie znów gotów do jazdy. A przeróbki są naprawdę minimalne.

Inżynier Jan Kunicki wyciąga długi zdiec. Na jednym z nich poznał za kierownica autobusu w roli pilota-oblatywacza samego szefa Wiesława Ptaka. Lalki niewiele z nich zrozumie — jakież zawory, rury, wiązki przewodów. Jest i zdjęcie wozu wyposażonego w tablicę informującą, że to pojazd doświadczalny, napedzany obok ropy gazem ziemnym (to dla pasażerów, których autobus nie zabierał z przystanków, choć się tam zatrzymywał...). Jest i widoczek potężnych zbiorników umieszczonych wewnątrz.

— Czy to znaczy, że nie skonstruujecie z rumuńskich doświadczalnych gdzieś potężny mieszalnik komunikacji zwane pieczęciotłwi „Pershingami” wozu butle z gazem na dachu?

— Miejsce nie jest złe i przy niesprężonym gazie ziemnym naprawdę załoga i pasażerowie nie muszą wleźć w powietrze. W naszym przedprototypie zbiorniki były w środku wozu, on sam obciążony był dodatkowo ładunkiem 4,5 tony, by zużycie paliwa było porównywalne z przeciętnymi warunkami na trasie.

— Bardzo ładnie nam się rozmawia, ale czy nie macie panowie nic przeciwko temu bym obejrzał ten ekonomiczny pojazd i — jeśli można — na własne oczy zobaczył jak spótuje się w ruchu miejskim?

— Propozycja co najmniej interesująca, ale niemożliwa do zrealizowania — inżynier Wiesław Ptak rozkłada bezradnie ręce. — Autobus jeździł około 3 miesięcy, zrobił w sumie ponad 340 kilometrów i to nam wystarczyło — silnik po tych doświadczeniach poszedł do tak zwanej optymalizacji, którą zajęła się Politechnika.

— Wiele jednak nie rozumiecie?

— Oczywiście, że nie. Idea była słuszna i naprawdą nie zamierzam zostać kierownikiem Muzeum Komunikacji Miejskiej — śmieje się inż. Ptak. — Chodziło nam o przeprowadzenie takich regulacji, które zapewnią maksymalną sprawność silnika przy — uprościu — minimalizacji toksyczności i jak najmniejszym zużyciu obu paliw, oleju i gazu.

— Teraz minia zapewne lata...

— „I znów błąd w rozumowaniu — obaj spojrzeli na siebie porozumiewawczo, z wyraźnym zadumaniem i czynnem, co można by określić duma z dobrze wykonanej roboty — właściwie próby związane z optymalizacją funkcjonowania silnika zostały zakończone. Wiemy już jak wyglądać powinna cała instalacja, z reduktorem oryginalnej, polskiej konstrukcji, wiemy jak nie popełnić drugiego z tych samych błędów, których — co tu ukrywać — w poprzedniej konstrukcji trochę by się znalazło. Wtedy działaliśmy w myśl hasła „uszczelka”, dziś — nasze prace znalazły się w ramach centralnego programu badawczego dotyczącego optymalizacji transportu.

— Kiedy wyjadzie kolejny autobus zasilany gazem?

— Prawdopodobnie zima tego roku przejdzie będzie testy eksploatacyjne, a w programie mamy wykonanie pięciu sztuk serii prototypowej.

— To już byłby sukces, tylko kto go będzie finansował?

— Prace badawczo-rozwojowe i częściowo budowę prototypu — „Promasz”, czyli Ministerstwa Hutnictwa i Przemysłu Maszynowego za pośrednictwem swojego Biura Studiów i Rozwoju, choć generalnego koordynatora, gestora całej akcji jakoś jeszcze nie widać.

— Oho, w głowach wam się poprzewracało, już byście widzieli premie, nagrody, odznaczenia...

— Nie, my i tak zrobimy swoje. Chcemy stworzyć z czegoś taniej, ekonomicznej, na miarę naszych możliwości, bezpiecznej komunikacji miejskiej. — Z butlami wypełnionymi gazem na dachu?...

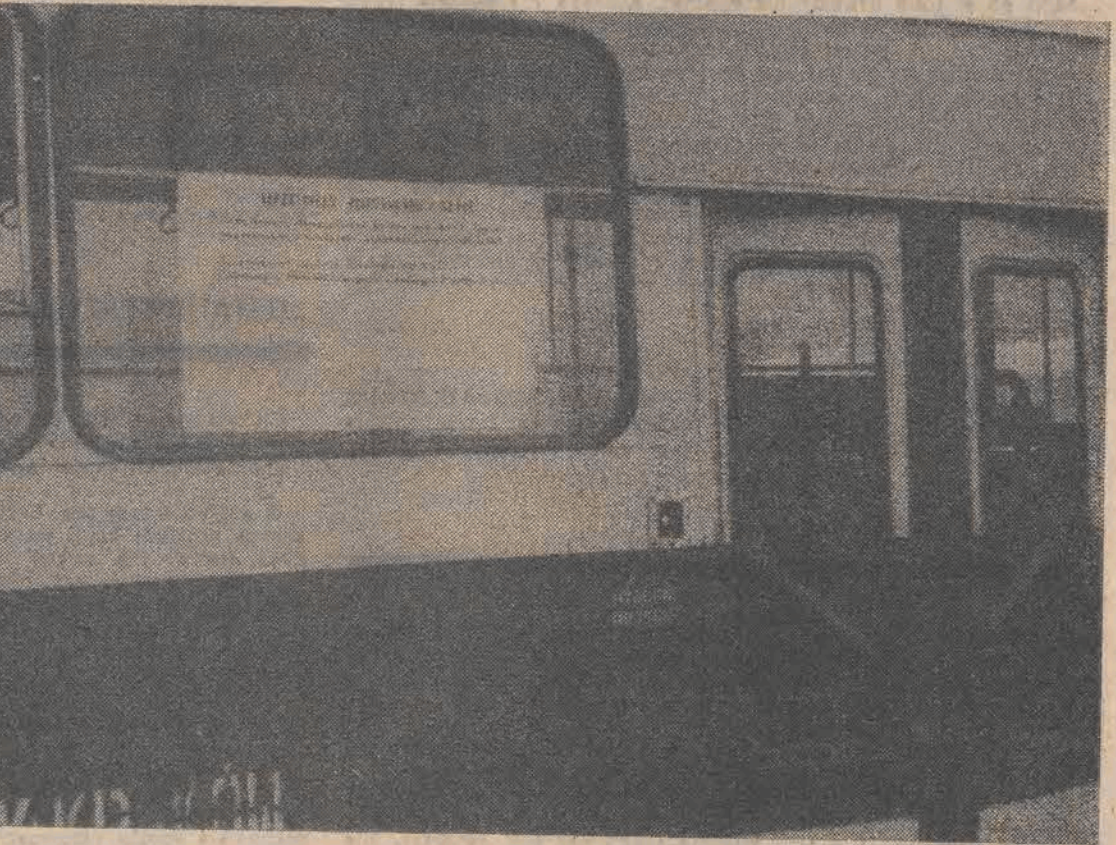
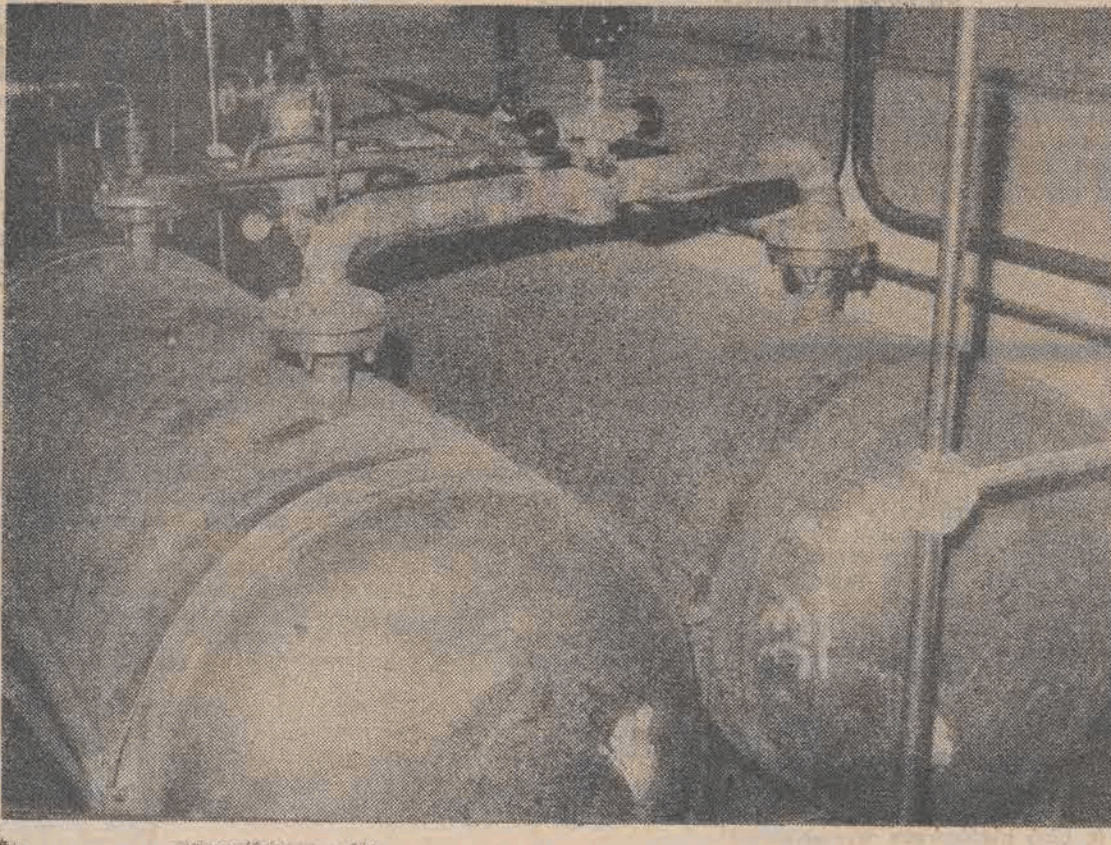
— A czemu nie tam jest dla nich najlepsze miejsce. A gaz nie będzie bardziej niebezpieczny niż w miejskiej sieci. Cała instalacja zostanie profilaktycznie zabezpieczona, również przed poważnymi kolizjami. Same butle nie będą wierzaly gazu pod wysokim ciśnieniem — co stanowiło ma podstawę ich nikomu nie zagrażającej eksploatacji.

— Nawet w razie zderzenia?

— Nawet. I niebezpieczeństwo nie będzie większe ani dla pasażerów, ani dla innych użytkowników dróg.

— Twardzi jesteście i czujecie się przekonani — do waszego autobusu i całej koncepcji. Ale jeśli — no, założymy — wszystkie te piękne zamierzenia wzmna w leń?...

— To też mamu propozycję. Przetawic się na trakcję... konną, i służymy doświadczeniami: z Barbakanu na Wawel wciąga kraja konne omnibusy...



Podróż do grodu św. Marka (1)

KAROL JÓZEF STRYJSKI



Nie rozumiem ludzi, którzy zazdroszczą innym urlopu za granicą. Życze takim jak najlepiej — niech sami pojedą, niech choć raz spróbują. Opowieści o tym, że na urlopie za granicą się zarabia, że taka podróż się zwraca i to z nawiązką, to już legendy, mity. To wspomnienia dawno minionie jako owe „wspaniałe” lata siedemdziesiąte...

Załatwienie spraw wyjazdowych to prawdziwy bieg z przeszkodami i to na długi dystans, z licznymi pułapkami: szwankuje wszelka informacja, że nie wspomnę o kolejkach przed Biurem Paszportowym i zawodach o terminowe uzyskanie wizy. Szczególnie obiegane są (już od godzin nocnych) ambasady Włoch, Grecji i RFN. Kolejki, zapiski, godziny i dni wyczekiwania. Nie lepiej jest w biurze PZMotu i banku SA. Wreszcie mamy tę gonitwę za sobą — jedziemy!

PIERWSZE KOTY ZA PŁOTY

Pakowanie bagażu zajęło sporo czasu, więcej niż myśleliśmy, bo też upchnąć wszystko co niezbędne i jeszcze znaleźć miejsce dla trzech osób w maluchu, to wyczyn nie lada. Ciasno, ale nie ma co narzekać.

Nocą na gierkowiec spokojnie, ruch niewielki. Równo osiemdziesiątka suniemy do przodu. Na trasie kilka objazdów. Zaliczamy je bez większych problemów. Wreszcie Cieszyn. Na stacji benzynowej tankujemy do pełna, kanister zostawiając pusty, aby nie płać cła. I to był pierwszy błąd. Trzeba było ryzykować.

Na Moście Przyjaźni prawie pusto. Załatwia nas nocna zmiana: prądko i uprzejmie. Deklarujemy na druczku „Zgłoszenie tranzytowe” (tylko dla obywateli PRL przejeżdżających przez CSRS) cały sprzęt turystyczny i „Zemith”. Coś jeszcze — pyta żona celnika uważnie przyglądającego się jej kurtce. No, skóra... — rzuca od niechcenia. Mam tylko tę kurtkę, co na sobie. Wpisz! — upewnia się. No, zczytuję sobie. I wpisuje. Jeszcze pieczątki tu i tam i dalej w drogę.

W Czechosłowacji jesteśmy w niedzielę. Czesi i Słowacy „Skodami” gromadnie, od wczesnego ranka pędzą za miasto. Tymczasem na trasie: Cieszyn—Zylin—Trnawa mało parkingów, leśni już są, to w szczerym polu, bez odrobiny cienia. Nasz maluch grzeje się coraz bardziej. Konieczne są coraz częściej postoje. Ktoś, jeszcze przed wyjazdem, poradził nam, aby w takiej sytuacji jechać z włączonym ogrzewaniem. Stosujemy się do rady i gdyby nie otwarte na oścież okna, mielibyśmy saunę w maluchu. Czytam raz jeszcze instrukcje, sprawdzam co należy. Niby wszystko w porządku, a jednak... się grzeje.

Po drodze mijamy schłodzone wsie zachodniej Słowacji, piękne krajobrazy doliny Wagu obramowane wzgórzami Małych Karpat. W Trenčynie (pisane dzieje tego grodu zaczynają się od roku 179, kiedy to stare grodzisko zajęli Rzymianie) podziwiamy historyczny zamek. Budowla imponująca, przez wiele wieków rozszerzana i otoczona kolejnymi obwarowaniami. Miasto także może się podobać.

Wczesnym popołudniem zatrzymujemy się na dłuższą w jakimś miasteczku. Przy rozległym rynku jest czynna restauracja. W ogródku, przy stolikach sami mężczyźni przy kufkach piwa. Zona prosi o wrzutek do termosu. Kelnerka nalewa jej ciepłą, a właściwie letnią wodę wprost z kranu. Herbaty na tym nie zaparzemy. Nie doczekaliśmy się też ani herbaty, ani kawy na miejscu, za to z trudem opędzamy się od natrętnej Cyganki: — Kochaniu, co masz? Co sprzedasz, kochaniu? Okulary masz?... Tłumaczenia, że te, które mamy na nosie, to lecznicze, niewiele pomagają.

Granicę węgierską przejeżdżamy bez większych problemów, odprowa paszportowo-celna nie trwa dłużej niż kwadrans, licząc także stanie w niewielkiej kolejce samochodów.

Przez zachodnie Węgry dotąd nie jechałem. Trasa od Rajki przez Czorna, Szombathely i Körmend, wzdłuż austriackiej granicy jest najszybsza do Jugosławii. Krajobrazy bardzo podobne tu do naszych, wydaje się, że takie same pola i kępy lasów na równinie, jak u nas, pod Łodzią. Nic ze smutnej, stepowej atmosfery jednostajności pusty. Ale też nie ma owych romantycznych, samotnych tonów ze studniak-żurawiem, jakich wiele od Kecskemet do Szegedu.

Na noc zatrzymujemy się na kempingu w Szombathely. Dość drogi, ale za to wcale ładny, jak większość kempingów na Węgrzech. Forintów, a szczególnie koron polski turysta na tranzyt — nie otrzymuje zbyt wiele, powiedzielibyśmy nawet bardzo mało. A tymczasem nocleg, benzyna kosztują sporo, że nie wspomnę o obiedzie w restauracji. Nic więc dziwnego, że niektórzy jeszcze w drodze do Jugosławii kombinują jak sobie powiększyć stan posiadania walut obcych. Złotówek przecież w żadnym kraju nie wymieniałam... (1)

Polaków przyjmują tu dobrze, to już tradycja. W czasie ostatniej wojny było w tym rejonie sporo obozów internowanych żołnierzy polskich i ludności cywilnej. Jeden z największych obozów polskich na terenie zachodnich Węgier znajdował się w sąsiednim Sarvar. Wraz z żołnierzami przebywali w Sarvar cywile. „Urządzili się w barakach, ściany ozdobiłi wycinankami z papieru, rządy przyozdobiłi nazwami ulic”. Potwierdzają to ocalałe zdjęcia.

Stolica komitatu Szombathely, która także udziela schronienia polskim uchodźcom, to dziś piękne, bardzo estetyczne, pełne zieleni miasto ze wspaniałym zapleczem rekreacyjno-sportowym. Załujemy, że nie możemy zostać na dłużej.

Za Körmend kończy się monotonia równinnego pejzażu. W okolicy Zalaówa krajobraz jakby podgórski pośladowany przez rozległe pagórki, zalesione wzgórza. Zalaówo leży na dnie głębokiej, pięknej doliny. To rejon tzw. Alp Węgierskich, największe „góry” mają tu do 300 — 400 m.npm. Najwyższy szczyt w górach Köszeg ma ponad 800 m n.p.m. Nie jest to jednak nawet przedsmak tego, co nas później czekało.

W Redics żegnamy Węgry — sympatycznie, przyjaźnie.

Po drugiej, jugosłowiańskiej stronie jest już trochę inaczej. Podobnie, jak w Cieszynie trze-

ba wypełniać kartę tranzytową (tylko Polacy), wyłożyć na stół cały bagaż, otwierać torby, walizki... A potem na powrót wszystko pakować, upychać w maluchu, mocować na bagażniku. Ot, takie sobie scenki rodzajowe, które absorbują i czas, i nerwy, a w każdym bądź razie przyjemności nie sprawiają. I tak mieliśmy szczęście. Jugosłowiańscy celnicy uwzględniłi, że jesteśmy u nich tranzytem, że my turystycznie do Włoch i żadnego haraczu w postaci np. 20 dol. USA cła nam nie naliczyli (inaczej potraktowano tych przed nami i tych za nami).

Wreszcie zwracają nam paszporty, przejeżdżamy barierkę i stajemy zrazu na parkingu. Musimy wymienić „zielone” na dinary. Kupujemy też talon benzynowy — za zniżką 10 proc. Przed nami w dość długiej kolejce sami Czesi i Słowacy z plikiem talonów w ręku. Kupili je u siebie za korony i wymieniali na dinary. Ze też my tak nie możemy... No, cóż złotówek nikt tu nie weźmie nawet po najniższym kursie. Nasi sąsiedzi z południa są lepsi... Niestety.

VIA SŁOWENIA I CHORWACJA

Pierwsze kilometry po ziemi jugosłowiańskiej przejeżdżamy przez Słowenię, za rzeką Murą jest już Chorwacja. Słowenia należy do trzech najmniejszych republik Federacji (3,3 proc. terytorium i około 3 proc. ludności Jugosławii). Jednakże wszystkie prawie wskaźniki gospodarcze i kulturalne wysuwają tę republikę na pierwsze miejsce. Przysłowiowa i widoczna gołym okiem wprost z okien malucha jest gospodarność i zaradność Słoweńców. Dużo nowych, ładnych domów i porządek wokół. W architekturze wyczuwalny jest wpływ sąsiada z północy, podobnie w mowie; często rozmawiając ze Słoweńcem można usłyszeć mimowolnie: ja, ja! Z komentarza polskiego radia do odbywającej się akurat wizyty gen. W. Jaruzelskiego w SFRJ możemy się dowiedzieć, że Słowenia stawiana jest na pierwszym miejscu w tworzeniu dochodu narodowego Jugosławii. Decydują o tym niezwykle wydajne rolnictwo i dobrze pracujący przemysł. Naz, co chyba jest zrozumiałe, interesują przede wszystkim wspaniałe walory turystyczne Słowenii.

Za Murą już Chorwacja. Dowiadujemy się o tym z mapy. Krajobraz taki sam, tyle że jakby mniej schłodnie wokół. Chorwacja to druga pod względem terytorium i liczby ludności republika Jugosławii. Nie bez znaczenia dla społecznego rozwoju Chorwacji jest jej położenie geograficzne, ma ona wszystko, co może zachwycić: piękne góry, nie mniej urokliwe niziny, no i morze. Powikłane są wojenne dzieje tego skrawka ziemi jugosłowiańskiej. W porozumieniu z Włochami w kwietniu 1941 r. utwo-

żono tu tzw. „Niepodległe Państwo Chorwackie”. Do głosu i władzy doszły wówczas siły nacjonalistyczno-wojskowe: „ustasze”. Ale to przecież historia, stare dzieje.

Stajemy na chwilę w Varaždinie nad Drawą, przez nurty tej pięknej rzeki przepływali się ukradkiem uciekinierzy, polscy jeńcy wojskowi internowani na Węgrzech. Wędrowali stąd do Francji, do armii tworzonej przez rząd Sikorskiego.

Od rodaków dowiadujemy się, że przed Zagrzebiem, w Seawie jest szansa na darmowy nocleg, gdyż kemping aktualnie remontują, ale przenocować można. Informacja była prawdziwa. Pod wieczór na remontowanym kempingu zrobiło się ludno — sami Polacy.

Nazajutrz robi się pusto. Jest środa, dzień targu w Zagrzebiu, tyle że na bazarach w Jugosławii Polakom handlować nie wolno. Milicja wypatruje polskie rejestracje i przegania. Wiza polskiego przywódcy nie stanowiła powodu do żadnej taryfy ulgowej. Ludzie wrócili z wiedzien, i nie ma się co dziwić, bo po pierwsze — kiedyś ponoć było lepiej, latwiej, prościej, a po drugie — jeśli ktoś już wziął trochę „towarku” i zapłacił na granicy 20 dol. cła, to co, ma teraz wracać z „pustymi rękami”? To tylko jedna strona medalu, a druga to ta, że każdy woląby nie ruszać dolarów, które wziął z konia, a raczej przywieźć je z powrotem do kraju, wpłacić i tym samym nie stracić szansy wyjazdu na następny rok. Państwa tymczasem nie stać na to, aby dać każdemu turystę nlik talonów kupionych w kraju za złotówki. Jesteśmy biedniejsi niż spotkali na granicy Czesi, choć oni wymieniali tylko talony, a my dolary na dinary.

Zagrzeb to drugie miasto Jugosławii, corocznie odbywają się tu największe w SFRJ targi międzynarodowe. Miasto posiada historyczną, uroczą starówkę i losy podobne do dziejów Budapesztu, bo chociaż od 1557 r. Zagrzeb wymieniano jako główne miasto Chorwacji, to Gradec i Kaptol (osady na sąsiednich wzgórzach), rozwinęły się oddzielnie. Dopiero w 1850 roku obie gminy zjednoczyły się w jednolitą „królewską miasto Zagrzeb”.

Obok zabytkowego Zagrzebia mogą w tym mieście podobać się również nowe osiedla, a na nich szczególnie kilkupiętrowe domy z cegły o spadzistych dachach i zróżnicowanej bryle. Jednym słowem architektura ciekawa, niesztampowa.

Kilkanaście kilometrów za Zagrzebiem łączymy się z Chorwacją, jedziemy ponownie drogami Słowenii, jakiś czas wzdłuż rzeki Sawy. Pod względem krajobrazowym trasa bardzo piękna, ale dla naszego malucha trudna; znów się grzeje silnik. Po obu stronach malownicze pasma gór. Przed Ljublaną góry nagle rosną bardzo wysoko. Na północy przedgórze Alp Ju-

rijskich i Sawińskich z wysokimi, poszarpanymi, skalistymi szczytami, tak różnymi od łagodnych, kopulastych wzgórz towarzyszących nam dotąd od ujścia Krky do Sawy.

Ljublana robi nam mniej miłe wrażenie. Czy stało tu i schłodnie, jak w całej Słowenii. Ljublana to miasto stare, a jednocześnie młode, powstało prawie od nowa po trzęsieniu ziemi w 1895 roku. Na miejscu osady z epoki kamienniej Ilirowie założyli w okolicach dzisiejszej Ljublany osadę Emona, która w okresie rzymskim była ważnym punktem na trakcie pannońskim. Z czasów nowszych atrakcję stanowi zamek opasany wodami rzeki Ljubljanicy, zbudowany na miejscu starego grodziska.

Za Ljublaną wjeżdżamy na autostradę. Odbieramy kwit i w drogę. Na odroczcie kwitu reklama jaskini w Postojnej. Zwiedzamy ją w drodze powrotnej.

Przed końcem autostrady, w okolicy miejscowości Rozdrto, po prawej stronie wyrasta masywna, skalista, ponad tysiącmetrowa kupała pasma Nanos z najwyższym szczytem Suhil vrh. Góry podobne do Pienin; wjeżdżamy w jugosłowiański Kras.

Od końca autostrady do granicznej miejscowości Sežana prawie, zjeżdżamy w dół, na luzie. Droga właściwie pusta. Na przejściu granicznym rząd samochodów, wszystkie z rejestracją Triestu. Kierowcy wolno podjeżdżają okazując paszport przez okno. Tylko my zatrzymujemy się na dłuższą, dokładnie na tyle; ile czasu włoski „wopista” potrzebuje na podstemplowanie wiz i sprawdzenie ubezpieczenia „Warta”. Zaraz za przejściem zatrzymujemy się, aby wymienić walutę. Dochodzi dwudziesta, ale jeszcze zdążyliśmy przed zamknięciem kasy Automobillublu Włoskiego. Dostajemy liry po bardzo dobrym kursie (tu, w Italii zmienia on się czasami z godziny na godzinę). Mamy w portfelu blisko sto tysięcy włoskiej waluty. Sto tysięcy — to brzmi, tyle że znaczy daleko nie to samo co sto tysięcy złotych. Może tyle, co dziesięć tysięcy, ale jak na drożyznę Wenecji, to bardzo niewiele.

Omiłamy Triest i rezygnujemy z autostrady A-4. Jedziemy drogą wzdłuż wybrzeża przez Monfalcone, Portoruario i S. Dono. Uroczę są te miejscowości nad Golfo di Trieste. Po drodze mijamy sporo pięknych willi pośród smukłych cyprysów, pensjonaty, kafejki i zatopione przed nimi ogródki. Na szosie aż do drugiego trzeciej bardzo wielki ruch. Zona, prowadząca malucha, skarży się na bardzo silne światła włoskich aut. O północy jesteśmy w Mestre, trochę bliżej, pytamy. Wreszcie udaje nam się wydosłać z centrum na drogę do Malcontento i Fusiny.

Na kempingu bez trudu odnajdujemy „polski podobóz”. Rozbijamy się pomimo zniechęcenia przedko i sprawnie. Około trzeciej nad ranem w namiocie wypijamy gorącą herbatę, a potem myjemy się i kładziemy spać.

Straszono nas plagą komarów. My ich na razie ani zauważyliśmy, ani czujemy. Zmęczenie u całej naszej trójki obrzmie. Niepokoi silny ale ciepły wiatr od morza. Czyżby stynny wenecijski sirocco?...

WENECJA WCIĄŻ DALEKO

Jak w tej piosence o gondolierach znał Włochy... „daleko jest Wenecja”. Daleko i blisko. Przez zatokę widać ją jak na dłoni; na pierwszym planie S. Giorgio, domy nad Canale di S. Marco, fronton Pałacu Dożów, a przede wszystkim trójkątna, zielona u szczytu wieża na Piazza S. Marco.

Na razie rozpoczynamy tyle i rozennają się w warunkach i zwyczajach oraz cenach.

Na kempingu oprócz Polaków sporo Francuzów, Anglików, Duńczyków, Niemców i Amerykanów. My — głównie pod namiotami, ta cała rasza — z dużymi samochodami i komfortowo wyposażonymi (głównie wypożyczonymi na czas urlopu) przyjeżdżamy. Gospodarują podobnie do nas, tzn. przywieźli z sobą wszystko, co było można i co lubią, nierządko, podobnie jak my, nawet chleb, nie wspominając o konserwach czy warzywach. Pichcą sobie w przyczepach, my na kuchencek w postaci bufli i palnika. Jadamy podobnie — przy turystycznych stolikach. Czasami dzielimy się, tzn. my czesujemy Francuzów czy Anglików polską wódką, a oni nas tym, czym ich chęta bogata. Atmosfera przyjaźni i wzajemnych uprzejmości.

Kemping wcale nie luksusowy, ale wyposażony dobrze. Nie brakuje (jak często w Bułgarii) ciepłej wody, w łazienkach bardzo czysto, porządku (i to o każdej porze dnia i nocy). Do dyspozycji turystów dwie praktyczne automaty i pralownia. Przeszeglaliśmy nas, że we Włoszech kradną. Tymczasem pozostawione na całą noc przed namiotem stoliki czy krzeselka turystyczne stoją do rana, nie giną suszące się na dworze ręczniki itp.

Gospodarze dbają o czystość i porządek, turysty podobnie.

Rano budzi nas ryk syren. Tuż obok kempingu przepływają wielkie pełnomorskie statki w drodze do weneckiego portu. Przewożąc nam się pobyt w Galacie naprzeciw Wornu Tu jednak syreny są mniej dokuczliwe. Za to komary wkrótce dają o sobie znać. Tuż przed zmierzchniem tną niemilosierdzie, gdzieś tak do godziny jedenastej. Na ten czas niezbędne jest ubranie ochronne.

Rozennajemy się w cenach. Pierwszą szkołę odbieramy w sklepie kempingowym. Jest tam wszystko czego może turysta potrzebować, po cenach niewiarygodnie wysokich lek na polską kieszeń. Mimo narzuconych sobie ograniczeń wrdajemy pierwsze dziesięć tysięcy.

Stację, którą tu nazywają tramwajem kursujący z Fusine do Wenecji, kosztuje w jedną stronę 1300 lirów od osoby. Jest też drugi: szybszy i bardziej komfortowy, ale za to ponad trzy razy droższy. Nietrudno się domyślić, który wybieramy.

Do miasta św. Marka pobiliśmy jednak dopiero jutro. Dziś jeszcze Wenecję oglądaliśmy z pomostu przystani cali niecierpliwi, żądni wrażeń.

C.D.N.

— Zniszczysz galaretki?
— Oczywiście, bo to bezwartościowy materiał. Zachowam tylko wybitnych specjalistów, będą mi służyli. A przede wszystkim zdobędę tajemnicę ich techniki falowej. To klucz do panowania nad Wszechświatem.
— Jest nas tylko dwoje... nad kim będziemy panowali?
— Nie ma takiej ewentualności, której bym nie przewidział. Wiem, że już nie jestem takim młody, moje sztuczne serce trzeba co jakiś czas wymieniać, wiem też, że moje mięśnie pracują dzięki wzmacniaczom. Rozumiem, że dwoje to za mało, nie ma rządów bez rządzo-nych. Nasze potomstwo będzie się rozwijało normalnie, a więc powoli, możemy sobie pozwolić zaledwie na jedno, dwa przyspieszenia rozwoju, mam tego pełną świadomość. Ale woda nie może interesować samo automatyczne przedłużanie życia, mnie interesuje przede wszystkim wiekowe, nieskończone trwanie idei. Maszerował w dalszym ciągu. Po co żyjemy? Po to, by posługując się precyzyjną techniką, zachować panowanie wyższej rasy, która promieniuje siłą i godnością w sposób wykluczający wszelki sprzeciw.
— Ależ Demorionie, nie ma żadnej wyższej rasy, ponieważ nie ma niższej, tylko myśmy jeszcze pozostali. Ty i ja!
— Myślisz się! Nasi uczeni — czegokolwiek z tego nie daloby się o tej bandzie powiedzieć, dowiedli, że istnieje, musi istnieć gdzieś we Wszechświecie druga planeta ludzi, którzy czekają na wodza, na mnie! Niebawem będę wiedział, gdzie tej planety szukać.
— Spodziewasz się wiadomości od Hariona Pierwszego?
— On mnie nie zawiedzie.
— Marzą o życiu między ludźmi.

4.

Harion wpatrywał się w ekran audiowizora dalekiego zasięgu. Raczej bez potrzeby, lot przebiegał spokojnie.
— Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... czegoś mi brakuje.
— Mów wszystko, chciałbym cię dobrze rozumieć — Unuk sprawdził szczelność osłony falowej, zaglądał do kabiny łączności międzygalaktycznej, automatycznego sterowania. Także bez potrzeby. Wszystkie urządzenia rakiety pracowały normalnie.
— Brak mi tożsamości, nie odczuwam żadnych uczuciowych związków... to dziwne i niepokojące. Jestem tu z tobą w doskonałym statku, a jakby mnie tu nie było, zgubiłem się i nie mogę odnaleźć.
— Spokojnie Harionie, powiedz mi: co to jest tożsamość według ciebie?
— Trudno odpowiedzieć jednym zdaniem.
— Mamu dużo czasu.
— Istotnie długo jeszcze mieli przed sobą drogę do planety Unuk z pewnością należał do wyróżniającej się grupy młodzieży Telemetrii. Znał na wylot konstrukcję i obsięg statków kosmicznych o napędzie falowym, znał wnętrze każdego, nawet najbardziej skomplikowanego urządzenia technicznego, z trudem jednak przekonał do wnętrza Hariona.
— Brak mi poczucia przynależności do ludzi... takich samych ludzi jak ja.
— Unuk zaniepokoił się w pierwszej chwili — nie ma przecież takich ludzi jak Harion.
— Powiedz to jasnie! — poprosił spokojnie.
— Chodził mi o mój własny, autentyczny rozwój.
— Unuk słuchał uważnie. Każda istota rozumna wie, że każde „działanie” ma swoje niekiedy długie, wiekowe „wczoraj”, wie, ponieważ posiada pamięć historyczną — mówił Harion ze smutkiem — nie od nas się zaczęło życie i nie przestanie istnieć wraz z nami, potoczy się dalej. Jesteśmy tylko młodekimi ogniwem w nieskończonej łańcuchu pokoleń, dziedziczymy i rozwijamy.
— Zaczynam cię rozumieć.
— A ja niczego o sobie nie wiem, dosłownie niczego, nie wiem o swojej matce, ojców, rodzinie. Nie wiem, gdzie się w końcu urodziłem, na jakiej planecie, przeszłość moja jest pusta. Mam wiedzę, może nawet dużą, ale nie mam pamięci. Dlaczego? Czy ty to rozumiesz?
— Myślę, że to chwilowy zanik pamięci, długo chorowałeś — Unukowi przypomniały się w tym momencie obawy profesora Sadalmeleka. Harion narodził się w sposób sztuczny, to było jasne od początku. Stworzył go Demorion na swój obraz i podobieństwo, wyposażony znakomicie do bezwzględnej walki z Telemetrią. Harion miał zresztą kłedy pełną świadomość swojego pochodzenia. Zgodnie z rozkazem Demoriona przedostał się na pokład „Adary” i niewiele brakowało, aby rozprawił się z załogą. Został jednak odkryty i ujęty.
— Kiedyś odzyskam pamięć? Bez pamięci trudno żyć.
— Wrócisz do siebie jak tylko zobaczysz ludzi, jestem tego pewien.
— A jednak Harion okazał się sprytniejszy niż można było przypuszczać. Pozornie bezradny, pokonany i pozornie posuszny, zdołał zbiec na planetę istot dwunożnych, niezwykłe do niego podobnych, choć nie tak rozwiniętych umysłowo. Załoga „Adary” zajęta pasjonującymi badaniami nieznaną cywilizacji dobiegającej chyba świętego kresu, nie zwracała większej uwagi na Hariona i on to zreciznie wykorzystał.
— Dlaczego akurat wtedy?
— To proste jesteś jednym z nich, ziemia to twoja planeta, odnależ się tam.
— Początkowo wszyscy sądzili z entuzjazmem, że znaleźli wreszcie przyjazną planetę. Z sygnałów, które ziemia wysyłała w kosmos wynikało, że jej mieszkańcy troszcza się głównie o rozwój nauki, kultury i sprawiedliwość. Rozczarowanie przyszło szybko i stało się jasne, że wielka mieta „Adary” spała na panewce. Mieszkańcy planety — ludzie wzywali się wspaniale do zachowania, zbroili się jednak w niewyobrażalną siłę, która podpała ol-

brzymie arsenały i ziemia wyleci w powietrze. Była to więc planeta skazana na zagładę.
— Jeżeli jest tak jak mówisz, czemu przebywam z tobą i czemu właśnie ciebie uważam za najbliższą mi istotę?
— A ludzie wydają ci się obcy?
— Nie wiem, nie znam ludzi.
— Harion uciekł z pokładu „Adary” dzięki gąsławcu załogi, ale nie tylko — posiadał specjalny skafander, zapewniający mu niewidzialność. Cóż, planeta ludzi zaskoczyła astronautów z Telemetrii. Nigdy dotąd, nawet podczas najdłuższych podróży kosmicznych nie spotkali rozumnej i dosyć wysoko rozwiniętej cywilizacji skazującej się świadomie na zniszczenie. Powolny proces umierania planety musiał już trwać od dłuższego czasu i nie był związany wyłącznie z gigantyczną produkcją śmiercionośnych broni. Martwe rzeki i jeziora, lasy zarosłe wyziewami z fabryk, ginąca fauna i flora, kamienne, chorobliwe pustynie zadyminowanych miast — takie rezultaty przyniósł już wcześniej burzliwy i nie kontrolowany rozwój przemysłu.

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

Dzieci kosmosu

— Jesteś, Harionie, całkiem wycożajnie przemęczony.
— Dlaczego tak myślisz?
— Dlaczego? To przecież jasne. Odbiłeś bardzo przecież intensywne studia nad teorią i praktycznym zastosowaniem fal, poznałeś doskonale technikę falową, umiesz obsługiwać nasz wspólny statek, przestudiowałeś także dzieła Telemetrii, a wszystko to bardzo krótkim czasie. Twój zespół pamięci jest przeciętny nadmiarem informacji, zmęczony i stąd luki, pozorne oczywiście. Musisz wypocząć, zregenerować się porządnie.
— Może masz rację — w głosie Hariona wyczuł Unuk rozdrażnienie, a nawet podejrzliwość.
— Ale wtedy, po ucieczce, Harion zachowywał się złośliwie, realizował rozkazy swojego władcy Demoriona. Po dość zabawnych perypetiach, podczas których stracił swój niezwykły skafander, przedostał się bez trudu na drugą półkulę planety i oddał swoją wielką wiedzę na usługi prezydenta Zjednoczonej Prowincji, szołowego państwa bloku agresywnego. Harion musiał zostać unieszkodliwiony, innej rady nie było, mógł bowiem bardzo szybko, nawet na oczach załogi „Adary” doprowadzić do katastrofy. Przekonał ambicioznego prezydenta bez trudu, że można bardzo szybko uzyskać wyjątkową przewagę militarną nad przeciwnikiem i wygrać wojnę atomową atakując z powietrza.
— Jest jeszcze inny problem, Harionie. Jako człowiek starszy jest inaczej niż my, znacznie szybciej. Przybędzie ci zbyt wiele lat nim osiągniesz planetę ludzi.
— Rozumiem, idę grzecznie spać.
— Harion przedstawił też prezydentowi precyzyjny plan zniszczenia państwa Bloku Porozumienia, wymagający — rzecz prosta — reorganizacji przemysłu zbrojeniowego i rozmieszczenia nowych broni masowego rażenia w przestrzeni kosmicznej. Załoga „Adary” musiała interweniować, czuła się odpowiedzialna za to, co w jej niejako obecności, dzieje się na ziemi. Samo porwanie Hariona nie nastąpiło trudności, chodziło jednak o dyskrecję i to także, aby ludzie nie domyślili się działalności jakiegoś czynnika pozaziemskiego. Hariona wprowadzono podczas czułego spotkania z piękną sekretarką prezydenta. A stało się to tak nieoczekiwanie, iż zaskoczona dama, nawiasem mówiąc — wytrawny agent wywiadu — w żaden sposób nie umiała wyjaśnić jak właściwie Harion zniknął.
— Obudzę cię w porę, możesz być spokojny.
— Jestem spokojny i liczę na kolorowe sny — Harion podniósł rękę na znak pożegnania i odszedł w stronę kabiny hibernetycznej.
— Coś go gnębi — pomyślał Unuk — coś z nim nie jest tak, jak być powinno. Na początku zachowywał się logicznie, stanowczo i zgodnie z rozkazami Demoriona. Dotarł do świata istot dwunożnych, co prawda dzięki „Adarze”, dotarł jednak i zaczął ten świat przygotowywać na nadejście wodza. Polowę ludzi należy wytepić, tych słabszych oczyścić, usunąć raz na zawsze sentymentalnych zwolenników pokojowej sielanki. Zostaną zwycięzcy, silniejsi, zdecydowani na wszystko, a takich właśnie poszukuje Demorion. Konsekwentna działalność Hariona została przerwana... Unuk zaprzestął rozmyślań. Jakies nieokreślone uczucie niepokoju pchnęło go w stronę kabiny hibernetycznej. Dureń za mnie — przyszło mu na myśl, kiedy zajrzał do wnętrza — albo histeryk. Harion już zasnął. Wszystkie aparaty podtrzymujące hibernozę działały normalnie. Harion nie popełnił żadnego błędów przy samoupieniu. Wahał się, nie był pewien swoich umiejętności. Obsługa statków międzygalaktycznych wszystkich rodzajów, wytworzenie części zamiennych, montowanie, sterowanie robotami — prozę bardzo. Cały świat skomplikowanej techniki radiotelefonów nie miał przed nim tajemnic, ale ludzi mógł?
— Umiejętność przekształcania układu genetycznego istoty rozumnej znana była radiotelefonem od dawna, ale praktykowana niezwykle rzadko. Załoga „Adary” uznała jedynym, że zaszedł jednak przypadek uzasadniający potrzebę dokonania zabiegu. Nie można było zostawić Hariona pośród ludzi, nie mógł także ze swoim agresywnym światopoglądem żyć pośród radiotelefonów, ani przebywać do końca życia w więzieniu. Wolność, swobodny rozwój

wszystkiego co żywe i myślące — to był jeden z podstawowych kanonów etycznych mieszkańców Telemetrii. Zabiegu dokonał doktor Mirah, najbardziej ze wszystkich doświadczona w genetyce. Zmiany kodów polegały w wypadku Hariona na wyeliminowaniu cech agresywnych, których Harionowi nie brakowało. Mirah pozabawiła go także wszelkich więzi z Demorionem, zwłaszcza zaś emocjonalnych, pozostawiła jednak Harionowi wiedzę o jego okrucieństwach. Harion miał znać, tak jak dotąd, plany podboju Wszechświata przez „imperatora”, wiedzieć o nim wszystko, co już mu było wiadome, ale w innym porządku, nie jako posuszny wykonawca woli „wodza”, ale jako zdecydowany sojusznik radiotelefonów. Mirah zakodowała mu wiedzę o planecie ludzi i poczucie związku z nimi, którzy opowiadali się przeciw wojnie i samozagładzie, rozbudziła w nim wrażliwość estetyczną, poczucie sprawiedliwości i wiele innych cech, które w nim drzemały, ledwie węgowały na marginesie przemęzonego instynktu walki z każdą istotą rozumną sprzeciwiającą się Demorionowi. Na Telemetrii ro-

radiotelefonach, którzy składali swoje mózgi na ołtarzu nauki, potajemnie rzecz prosta, i zewalali na eksperymenty otoczone tajemnicą. Ryzykował, zdarzało się bowiem, że mózg atakowany falami regulatora, wydawał dyspozycje zupełnie pozbawione logiki, sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Szepiano mocno poufnie, ale Unuk jakoś dosłyszał, że poddawani eksperymentom zaśmiewali się serdecznie w momentach wymagających najwyższej powagi, urządzali dziecinne zabawy w dostojnej sali obrad Rady Lotów Kosmicznych, fikal podobno koziołki. Regulatory — tak przecież mówiono — zamieniały flegmatyków w choleryków, utalentowanych śpiewaków w ludzi, którzy nie potrafili zanućcić nawet hymnu państwowego Telemetrii, czego zresztą nie mówiono!

Przyglądał się uważnie Harionowi. Wcale nie taki brzydki — skonałował — mimo zabawnych kończyn, zwanych przez ludzi rękami i nogami. Odważny i szlachetny. Znowu powrócił w niedaleką przeszłość. Załoga „Adary” zagroziła samotność. Każdy z jej członków miał to uczucie, ale wolał go nie przeżywać. Pojawiało się podczas długich lotów międzygalaktycznych, przemijało jednak szybko wraz ze szczególnym powrotem. Tym jednak razem nie mieli gdzie powracać, macierzystą planetę pokrył już kosmiczny pył, wiatry zasypywały piaskiem i kurzem miasta, ginęły pod nimi wszystkie ślady celowej pracy pokoleń. Czy żyją jeszcze gdzieś we Wszechświecie ich najbliżsi, ilu ich pozostało przy życiu, gdzie ich szukać? Uratowała się jakaś część czy też nie? Szukać ich na wielkim obszarze Słódnej Galaktyki, czy pod płaskami Telemetrii? Mimo maleńkiej nadziei wytworzył się ciężki nastrój i właśnie Harion dopomógł go przełamać. Po zbadaniu opustoszałej kwatery głównej Demoriona, kiedy stało się jasne, że on ocalał i z pewnością nie zrezygnuje z zamiaru zbudowania wszechświatowego imperium zła, Harion postanowił wyruszyć przeciwko swojemu dawnemu wodzowi, nie mając zresztą już świadomości swojego dawnego związku z nim. I przedstawił konkretny plan działania. I właśnie ten moment, przynajmniej w odczuciu Unuka, okazał się przełomowy. Cóż może uczynić Demorion? Być może spróbuje dopaść flotyllę radiotelefonów szukających nowego miejsca dla siebie. Ale sam nie zgłębł tajemnicy fal, musi wpaść do niewoli specjalistów z Telemetrii i wymóc na nich posuszenie, to jedyna jego szansa. Nie wiadomo, jak silna może być flotylla, wiadomo jednak, że będzie się broń. Demorion jest już stary, musi się więc spieszyć. Jego głównym wrogiem nie jest przetrzeźnia, lecz czas. Mógł stosunkowo swobodnie poruszać się w przestrzeni międzygalaktycznej, ale nie mógł zatrzymać czasu. Ludzie nie potrafili rozwiązać problemu przyszywania czasu. I właśnie dlatego — dowodził Harion — nie zdecydował się na długotrwałą wojnę z radiotelefonami, nie zdążył odbudować swojego potencjału wojennego. Być może uderzył w dogodnym momencie, ale bez względu na wynik walki, ruszy ku planecie ludzi. Powinien wiedzieć o jej istnieniu, Harion nie jeden raz wykorzystywał ziemskie środki łączności, udoskonalone przez prosta i stał zaszyfrowane informacje o planecie. Przede wszystkim jednak Demorion mógł przechwytać wiadomości przesyłane z pokładu „Adary”. Nie przepuścił okazji panowania już nie nad robotami, lecz ludźmi, dlatego trzeba ludzi przed nim obronić. Harion prosił o rakietę zdolną dotrzeć do niego. W warsztatach „Adary” można ją było zbudować. Murzim zgodził się, choć człowiek powinien bronić ludzi. Unuk zgłosił się na ochotnika. Argumentował prosto — Harion nie poradzi sobie sam, nie jest aż tak dobrze obeznan z techniką Telemetrii, musi mieć ze sobą dobrego technika i zarazem nauczyciela. I odlecieli razem.

Włączył odkrywacz. Mózg Hariona pracował normalnie, wyposażenie genetyczne nie zmieniło, zasób wiedzy „podarowany” mu przez Mirah ten sam, zwłaszcza dotyczący planety ludzi, ale wyłączone ze strefy pamięci. Harion stracił pamięciowy kontakt z ziemią, w jakimś momencie przestał uświadamiać sobie „zaszczenie” mu poczucie przynależności do ludzi, choć przecież był człowiekiem. Unuk zdecydował się, włączył regulator mózgu. To niezwykłe urządzenie mogło także niejako zabarwić uczuciowo życie wewnętrzne istoty rozumnej, wywoływać stany emocjonalne. Kiedyś w bardzo już odległych czasach, posługiwano się środkami chemicznymi, pastylkami albo piyanami, które przynosiły ulgę, spokój, wiarę w siebie i przyszłość. Albo też przeciwnie — budziły uczucia niepokoju, wywoływały stany desperacji. Ale tylko na pewien czas. Natomiast regulator mózgu mógł uczucia gruntuwać wmontowywać w psychikę na stałe. Ale zawiódł, przynajmniej w przypadku Hariona, który tylko początkowo uznawał ziemię za swoją ojczyznę. Opowiadał przecież o jakimś kraju prawie bajkowym, gdzie przyszedł na świat. Dużo tam rosło lasów, w błękitnych jeziorach przegładało się za dnia słońce, a nocami księżyc, błyszczały ławice gwiazd na niebie, śpiewały ptaki, zboża i wysokie trawy szumiły łagodnie na wietrze. Kraj, rodzinny kraj. Harion opowiadał i o swoich latach chłopców, oświeconej drodze do szkoły, pamiętał dźwięwny kościół białej w dnie świateczne, pieśni matki śpiewane przed snem i tak chyba przejawiała się jego ludzka tożsamość.
— Spoirzał na wskaźniki zegarów regulatora. Ani drgnęły, nie poszerzył się ani pogięł obszar pamięci i uczuć. Sprawdził raz jeszcze sprawność urządzenia. Działało bez zarzutu, ale i bez wyniku. Albo ja się na tym nie znam — pomyślał — albo człowiek jest jednak bardziej skomplikowana istota niż się początkowo wydawało. Czy Harion jest człowiekiem? Został stworzony z autentycznego materiału genetycznego ludzi, więc chyba jest.

C.D.N.

1

Nagle zastępstwo

Tylko krok...

Moim cichym nobbly jest od lat coś, co nazywam małą propagandą — różne hasła, plakaty itp. Ale nie te wielkie, polityczne. To jest duża propaganda. Mała propaganda to zwalczanie pijanstwa, chorób wenerycznych, propagowanie bezpieczeństwa na drogach, bhp, zwalczanie nikotynizmu czy plagi pożarów. Wszystko to są rzeczy niesłychanie społecznie ważne i ze wszech miar godne poparcia. Tylko że ta mała propaganda zbyt często bywa dziełem nieporadnego, niefrasobliwego człowieka, który nie ma, a może ma, ale nie umie, takiej jakiejś garbata i kulawa. A co gorsza, bardzo często śmieszna.

Oto zdołała przychodzić lekarskie i apteczki (skądinąd ciekawe — dlaczego akurat placówki służby zdrowia? Plakaty antyalkoholowe winny zrobić, bo ja wiem?, sklepy monopułowe? bufety restauracyjne?) plakaty z tekstem: „Tatusiu, nie pij!” i konterfekt kilkuletniej dziewczynki. Dziewczynka jest smutna. I to jest dobry pomysł, taki „duszącej patelni”. Tyle że artysta wykonania nie nadał za szlachetnością pomysłu — dziewczynka jest paskudna, koszmarna i w kolorze fioletowa jakaś. Może pan artysta chciał dobrze, tragizm on mianowicie wyeksponował, ale efekt jest przeciwny do zamierzonego. Gdybym miał takie paskudne dziecko, to na sam widok sięgałbym po karabek.

Albo inny, weselszy, przykład. Na plakacie hoża dziewczyna, wydekoltowana blondynka w stylu miss Polonia. Tym razem konterfekt — jest jak się patrzy — dziewczyna że tylko ją brać... A napis: „Z pijanym nie tańczę”. No, niby wszystko w porządku. Ale bez znajomości polskich realiów. Zażółty, że przedstawiona przez artystę sytuacja nie miejsce na dancingu. Jaka Polska długa i szeroka naród nasz ochoczo wywija hultaje, twisuje, walcuje i rokdenci w stanie „wskazującym”. Talenta choreograficznego w kraju mazura i poloneza kwitną w narodzie ogromnie, ale wywołują się wyłącznie po spożyciu pół metra na lebi Panienska hoidująca wyrażonej na plakacie idei musi się zdecydować. W Polsce, na dancingu „z pijanym nie tańczę” oznacza „nie tańczę z nikim”.

Można by na plakacie dopisać: „A to tańcz sama” i byłoby to słuszne, niestety...

Ale, być może autorzy plakatu nie zwracają się do dancingowych, podochoconych rodaków. W końcu, picie w lokalach tanecznych to akurat nie jest ta plaga, która dotyka nas najbardziej. Może chodzi o nieszczęśliwych „przymulonych” autowidolek? Bywałoby lokalni słodkiej kategorii, melin i brawe, małej gastronomii w bramie i w parku? Ci, jak powszechnie wiadomo, natychmiast po spożyciu swojej dawki wody brzożowej zwykli ruszać w tany z najpiękniejszymi dziewczętami. Na nich taka groźba podziała!

Równie mizerna bywa propaganda antynikotynowa. A prawdziwym syczeniem intelektualnej finezji z tej dziedzin jest planza, którą z uporem usilnym zgola prezentuje TV. Na planzy jest hasłko: „Tylko krok dzieli palacza od podpalacza”. Dobrze, co? Za jednym zamachem mamy propagandę przeciwpożarową i antynikotynową. Czy nikt, na Boga, że sponsorów, autorów i redaktorów, którzy to dzieło zaakceptowali, nie zauważył, że intelektualna zawartość tego zdania jest akurat taka sama jak no. w zdaniach: Tylko krok dzieli „kurzacza od odkurzacza”, piciera od tapiciera, dolinę od mandoliny, syna od sk... celnika od nacelnika (ostatnie tylko dla sepieniących)?

Spróbujmy jednak natężyć do ostatnich granic naszą dobrą wolę i interpretować „myśl” autora możliwie najkorzystniej dla niego. Faktem jest bezspornym, że pawian

nieznaczny promień palacza (y-tonu) wywołuje pożary (no, mniej więcej taki promień jak wśród ludzi, rozpalających ogniska. Czy zatem autorzy hasła nawołują do szczególnej ostrożności lekkomyślnych (bywał) palaczy? Tego w hasłku nie uświadczysz. Jes, natomiast zbitka słów „palacz” ze zdecydowanie pejoratywnym „podpalacz”. Do czego nawołuje kretyn, który to wymyślił? Jak sądzę, do tepienia palących ogniem i mieczem...

Pewien nieznaczny promień kierowców przez lekkomyślność lub niedostateczne opanowanie sztuki prowadzenia samochodu powoduje wypadki drogowe, nierazko śmiertelne. Mam haselko: „Tylko krok dzieli kierowcę od mordercy!” Honorarium proszę nie nadsyłać, znam uczciwsze sposoby zarabiania pieniędzy...

Propaganda, nawet ta mała, jest trudna sztuka. Zwłaszcza, że tylko krok dzieli kopalnię pomysłów od kopania umysłów...

ANDRZEJ KAROL

2

Spojrzenie znad szachownicy

Gra w kozuchy

Nie jeżdżę samochodami zachodnich marek, nie chadzam w tureckich kozuchach, nie mam głowy do handlu, nie uprawiam turystyki zagranicznej po polsku, słowem zmiany w tym życiu, jakie wchodzi od 15 sierpnia, interesują mnie mało, nie ziębia ani parzą. Czy mam płacić cło od kilograma samochodu, czy od pojemności skokowej silnika, czy — dajmy na to — od koloru karoserii, jest mi doskonale obojętne. Nie zapłacię i tak, bo nie mam za co tego samochodu kupić.

Są jednak tacy, którzy mają i tu nasuwają się pytania: czy — zgodnie z intencją twórców nowych przepisów celnych — zaniosą swoje dolary do wyspecjalizowanych placówek sprzedających samochody za dewizy, czy też machną na wszystko ręką i przesiądą się do wysoce smrodliwej Syrenki wprost po generalnym remoncie? Z jednej strony — pamiętając o zadłużeniu i napiętym bilansie płatniczym — byłoby oczywiście dobrze, gdyby dewizy zostawały w kraju, a państwo zarabiałoby na tym, na czym zarabiała obrotni cwaniacy. Z drugiej strony byłoby nieźle, gdyby po naszych drogach jeździły samochody zużywające możliwie mało benzyny, najlepiej „propniaki”, no i kopcać umiarkowanie, a takich — jak dotąd — raczej produkować nie umiemy.

Zważywszy to wszystko (a są i pytania uboczne, na przykład, czy „Polmo” wystąpi z w miarę sensowną ofertą) obrazem GRY W SAMOCHODY staje się nader złożony, prawie jak obraz partii szachów rozgrywanej przez dwóch arcy mistrzów. Jeden z nich robi ruch, a my — kibice — nie umiemy ocenić, czy jest on dobry, czy raczej kiepski; wymaga to fachowej analizy, no i czasu.

Użyłem słowa „GRA”, ponieważ z uporem maniaka próbuję rozpatrywać różnej rangi akty prawne nie jako brzydkie pomysły tego czy innego resortu, a raczej jako posunię-

cia w swojej grze toczącej się między państwem — pragnącym reprezentować interesy całego społeczeństwa — a poszczególnymi grupami społecznymi mającymi na względzie głównie interes własny.

Oczywiście statystyczny Kowalski — będący członkiem społeczeństwa — jest zainteresowany w tym, aby państwo nadal dopłacało do opieki zdrowotnej, kultury, oświaty, i tak dalej, i tak dalej, jeżeli jednak szukając pieniędzy minister Niekarz zajął do kieszeni wspomnianego Kowalskiego, ten podnosi wrzask, bo prywatna kieszeń bliższa jest jednak ciału niż państwu.

Jest to zrozumiałe, jest to ludzkie, pełnej zgody między ministrem a Kowalskim nigdy nie będzie, cała rzecz teraz w tym, żeby przy okazji nie wyłać dziecka razem z kąpielą, jak to się ładnie mówi: nie przedobrzyć.

Z relacji PAP, a jeszcze szerzej ze sprawozdania w „Życiu Warszawy” dowiedziałem się o, że wątpliwości wśród dziennikarzy informowanych o zmianie taryf celnych wzbudziła nie tyle sprawa samochodów, co wyrobów futrzarskich, kozuchów głównie.

Padło bezcelne pytanie: skoro przywożenie kozuchów jest aż tak dobrym interesem, że 80 proc. opłat celnych ściąganych na międzynarodowym lotnisku Okęcie pochodzi od tych, którzy wracają z Istanbulu, dlaczego nie wysłać do tegoż Istanbulu przedstawiciela jednej z naszych handlowych central i nie przywieźć hurtem tylu kozuchów, ile rynek byłby w stanie wchłonąć?

Odpowiedź była taka, że ręce wprost opadają, a nóż sam otwiera się w kieszeni. Otóż — powiadał mi wymieniony z nazwiska i stanowiska ktoś — rzecz nie jest prosta, ponieważ tak zwany turysta kupuje tanio, a sprzedaje drogo, zaś przy zakupie przez handel państwowy byłoby wręcz odwrotnie. No, bo transport, marża, cła, żaden interes po prostu.

Przymaję że wstydem, że tego nie rozumiem, może dlatego, że jestem prostym szachistą i nawet nie magistrem ekonomii, czyli niejako z przyzwyczajenia staram się myśleć logicznie. Na całym świecie handel polega mniej więcej na tym, że kupuje się coś hurtem, a sprzedaje detalicznie, zaś mali sklepikarze przegrzywają w wielkich domach towarowym datego głównie, że nie mogą wytrzymać konkurencyjnych cen. U nas natomiast Kowalski może szarpać się na samolot, może zapłacić cło, marżę — chyba, że sam pójdzie z kozuchem na bazar — kupić (ryzykując) kolejne dolary na czarnym rynku i jeszcze wyjąć na swoje, a handel państwowy nie może!

Metodą dedukacji (w dzieciństwie zamierziałem zostać Sherlock Holmesem, ale nic z tego jakoś nie wyszło) doszedłem do wniosku, że zwłok tego psa, który gdzieś tu jest potrzebny, ale teraz niech ktoś mądry sprawdzi, czy się nie myli.

Jeżeli handel państwowy sprawdził kozuchy, zostaną one obłożone tyłoma podatkami — w tym od luksusu — że cena ich wzrośnie niebotycznie, przekraczając nawet tzw. cenę równowagi („Cena równowagi — twierdził pewien mój znajomy — to taka, na widok której normalny człowiek się przewraca”). Naród będzie psioczył, ale nie będzie kupował, co spowoduje jedynie kłopoty.

Kowalski oczywiście też przeczuci podniesienie cła na nabywce, ale to on zaryzykuje swój kapitał i na niego ewentualnie będą psioczyć. Czy nie prościej więc — nie kiwając nawet palcem — zarabiać na Kowalskim, niż — kiwając — na kozuchach?

Może i prościej, ale w rezultacie ja, Jerzy P., będę chodził w starym szynelu wartowniczym kupionym przed wieloma laty też bynajmniej nie w państwowym sklepie...

JERZY P.

3

A wiatr rozwiewał smród po ulicy

Już od dawna sygnalizowano, że nie należy do najczystszych krajów świata. Być może są bardziej brudne, ale to żadna dla nas pociecha, bo bez wątpienia są czystsze. I powinniśmy równać do tych najczystszych. W gazetach nieustannie skargi na brud. Brudno w tramwajach, brudno w podłogach, brudno na dworcach, w poczekalniach, w sklepach, w urzędach i tak dalej i temu podobnie. Oczywiście zdają się wyjątki, ale one jakoś uchodzą ogólnej uwadze i ludzie dbający o czystość mogą zupełnie niesłusznie powiedzieć: — po co się starać, jak i tak nikt tego nie zauważy? Otóż, starać się trzeba nie dla pochwały — choć i to powinno się liczyć, bo są miłe — ale dla czystości, która jest nam niezbędna. Obok skarg w gazetach na brud pojawiają się coraz częściej komunikaty o zatruciach pokarmowych. A biorą się one właśnie z nieprzestrzegania higieny, czyli po prostu z brudu.

Nie muszę sięgać do gazet, żeby się przekonać, że zbytnio nie przejmujemy się czystością. Wystarczy rozejrzeć się wokół. Pojemniki na śmiecie przepelnione, niech tylko słońce przgrzeje, zaraz wiatr rozwiewa smród po ulicy, że przechodząc nos trzeba zatykać. Korzystanie z publicznego szaletu w naszych warunkach to już prawie czyn bohaterski. Wiemy zresztą o tym stanie naszego otoczenia wszyscy, pisze się o tym i mówi, a jakoś skutków nie widać. Maksyma, iż „od brudu nikt jeszcze nie umarł” świeci widać nadal triumfy i choć oficjalnie wzywa się do czystości, to w praktyce nikt tych wezwań poważnie nie bierze, a wszyscy raczej ufają owej nieprawdziwej maksymie. Co zatem robić?

Gazety doniosły niedawno, że mandaty nakładane przez Bytowską Inspekcję Sanitarną nie odnoszą skutku, są po części umarzane przez lokalne władze. Napływające skargi i uwagi na temat brudu w podłogach wywołują niechęć PKP, która tłumaczy się, że to specjalistyczne spółdzielnie dbają o czystość wagonów, a one nie mają ludzi do pracy. Poza tym byłoby najlepiej, gdyby ludzie w ogóle nie jeździli podłogami, wtedy byłoby w podłogach czysto i luksusowo. Tylko dla kogo? O brudnych obrusach w restauracjach nie chce się już mówić i pisać. Kelnerzy też się skarżą, że jest ich mało i nie mogą sobie dać rady ze wszystkim.

A w ogóle skargenie się na cokolwiek jest u nas dziś bardzo niepopularne i zaraz wywołuje protesty oraz oskarżenie o naruszenie godności osobistej i zawodowej. Każdy ma godność. To pięknie. Ma ją ekspedient, lekarz, nauczyciel, ma ją kolejarz, kierowca taksówki, tramwajarz, mają wszyscy ci, którzy mają z zasady służbę społeczeństwu. Nie ma jej natomiast klient, pasażer, uczeń, pacjent, petent i cała reszta. A może by tak mniej mówić o godności, a więcej o dobrej pracy. Po prostu dobrze wykonywana praca, zadowolenie klienta, pacjenta, pasażera i całej reszty z tej pracy najlepiej świadczy o godności obu stron społecznego podziału pracy. Każdy przecież coś robi i każdy jest klientem, pententem, pasażerem, pacjentem. Czyż nie można szanować się wzajemnie?

Co to ma wspólnego z czystością? A ma. I to dużo. Przypominam sobie, że już niegdys w dziejach II Rzeczypospolitej był taki facet, nazywał się Felicjan Sławoj Składkowski, który umyślił Polaków przymusić do czystości. Był on zaufanym człowiekiem Józefa Piłsudskiego, robił za niego najczystsza robotę jako minister spraw wewnętrznych, a w jakimś czasie po śmier-

ci Józefa Piłsudskiego został premierem. Był to w 1926 roku i miał być premierem rządu „tymczasowego”, a był aż do września 1929 roku. Napisał sporo wspomnień i myślał, że warto byłoby wydać jego „Skrzypki meidunków”, gdyż książka ta może by pozwoliła coś zrozumieć bezkrytycznym wielbielcom Józefa Piłsudskiego. Otóż Felicjan Sławoj Składkowski, który zawsze wierzył w działanie siły, i za to chwalił go Józef Piłsudski, umyślił nakazać malowanie piotów i stawianie wychodków, które ówczesnym stanie oświaty, wiedzy i kultury był to przysłowiowy kwiatek przy kożuchu. Mamy już więc niechlubne doświadczenie, że nakazami administracyjnymi można tylko wywołać huragan śmiechu.

Sądzę, że walka o higienę, o czystość, walka z brudem i brudami nie może być oderwana od ogólnej walki o dobrą robotę, o szacunek dla pracy i o poszanowanie prawa. „Kto z brudem mieszka, każdy się ubrudzi” — pisał w 1632 roku Grzegorz Knapki. Chodzi więc o to, aby nie tylko nie mieszkać z brudnym, ale i brudnego zmusić do utrzymania czystości. A co to jest — utrzymanie czystości? To po prostu należyte wywiązanie się ze swoich obowiązków. To po prostu dobra robota. To wreszcie — właściwie zrozumiane poczucie odpowiedzialności. To także — kultura, umiejętności współżycia z innymi, poszanowanie swoich współpracowników, współziomków, współobywateli, czy kto jak chce.

To także poszanowanie prawa. Jeśli jedna władza karze kogoś za brud, a inna mu tę karę umarza, to ktoś kogoś nie szanuje, a wszyscy razem kpią sobie z prawa, pokazując, że prawo jednych obowiązuje, a innych nie. No, i już mamy początek tego, co już mamy — totalnego zubożenia na prawo. Jakoś to będzie. Zawsze znajdą kogoś, kto znajdzie drogę, aby obejść zakaz i umorzyć karę. I często znajduje. Niestety.

Jeśli więc spojrzymy uważnie wokół, to okaże się, że brud to nie tylko przejaw naszego niedbalstwa, ale też i czegoś więcej. Naszej obojętności na wiele spraw publicznych, naszego lekceważenia porządku, siebie i innych. Zgodny na brak porządku, szacunku i... Każdy może sobie coś tu jeszcze dopisać.

LUCJAN BOGUSZ

Nikt mnie nie przekona, że do tego potrzebne były pieniądze, inicjatywa, pomysliwość, znajomość i Bóg wie co jeszcze. Do tego, aby kierownice nie pękały kolarzom w czasie jazdy potrzebna jest dobra praca, dokładna kontrola, wystarczająca ilość sprawdzianów. A przecież nie tylko kolarze narzekają na zię rzutki nasi strzelcy, kilingi naszych szpadzistów, niebezpieczeństwem partnerom naszych szermierzy. Nasze szymbowce...

Pamiętam takie czasy, gdy chwalił się jakością naszych szymbowców, gdy były one poszukiwane, gdy nasi szymbownicy przywozili diamenty z szymbowców mistrzostw. We Włoszech na mistrzostwach świata nasi szymbownicy mogli tylko piakać. Ich szymbowce, które kiedyś cieszyły się taką sławą, teraz nie dotują do celu. Zie spisuja się „Krokusy”. Lepiej ponoć spisuja się szymbowce „Brawo”. Zależy to jednak od pogody. Przy gorszej pogodzie spisuja się lepiej, przy lepszej gorzej. Takie to przewrotne „ptaki”. Widać przewyżki do tego, że u nas pogoda zawsze jest gorsza.

W sporcie tak już jest, że wiele zależy od zawodnika od jego umiejętności, talentu, przygotowania, kondycji, koncentracji podczas walki sportowej. On decyduje o wyniku. Ale, aby mógł osiągnąć przyzwoity wynik musi też mieć dobry, niezawodny sprzęt. Na całym świecie specjalści wysilają się, aby zrobić taki sprzęt, który pomógłby zawodnikowi w uzyskaniu najlepszego wyniku. Tylko nasi specjalści mają to głęboko w nosie. Oni postępują w myśl zasady, że jakoś to będzie. Przy takiej zasadzie nie będzie jednak jakości sportowego sprzętu, a bez tego dobrego sprzętu, i do kogo tu mieć różnicę pretensje?

BOGDA MADEJ

rze mogą w ogóle nie pojechać, bo nie będą mieli na czym. W magazynach PZKOL pozostała tylko żelazna porcja gum dla zawodników, którzy pojadą na mistrzostwa świata. Koniec. Kropka. Co dalej? Nie wiem. Boję się też, że nie wie tego prezes dr Zbigniew Rusin.

Bogusław Barwiński w „Sportie” ujawnił wypowiedź czterech sędziów, którzy towarzyszą kolarzom w czasie wyścigu. Otóż ci sędziowie jechali w różnych kombinizonach, co jest dziwne i raz. W międzynarodowej imprezie powinni jeździć w jednakowych kombinizonach. Nie mogą. Dlaczego? Bo nie ma takich kombinizonów. Sędziowie zwięzli się Bogusławowi Barwińskiemu, że gotowi są kupić jednakowe kombinizony za własne pieniądze, ale nie mają gdzie i nikt im jakoś nie może w tym pomóc. Kryzys, panowie, coraz trudniej żyć, a cóż dopiero działać w sporcie.

Otóż nie byłabym pewna tak do końca tego wniosku, który powyżej napisałam, a który niejako automatycznie się nasuwa. Kryzys wszystkiego nie tłumaczy. Nie wierzę, iż nie można zdobyć ośmiu jednakowych kombinizonów dla kolarskich sędziów na międzynarodowe i krajowe imprezy, bo tytu w ogóle jest sędziów w Polsce. Potrzeba do tego tylko dobrej woli, pomysliwości, uporu, inicjatywy i pieniędzy. Pieniądze — jak się okazuje — znajdują się. Czego więc brakuje?

Rzucono swego czasu hasło: „polscy kolarze — na polskich rowerach”. Piękne hasło. Mamy „Romet” w Bydgoszczy. Mamy dobrych kolarzy. Polsky kolarze na polskich rowerach mogą rozwieść sławę i kolarstwa i fabryki po całym świecie. Pod warunkiem tylko takim, że te rowery będą dobre. Oto bowiem fabryka w Bydgoszczy przygotowała „Romety — super” specjalnie na mistrzostwa świata. Wszyscy się z tego ucieszyli. Kolarze wraz z ekipą trenerów pojechali pod Piotrków Trybunalski, gdzie w międzynarodowej obsadzie odbywały się drużynowe wyścigi na czas, iako przygotowanie do mistrzostw świata. Polacy pojechali wspaniale, ale... Zbigniewowi Ludwinakowi dwukrotnie pęka kierownica u roweru „Romet — super” specjalnie na mistrzostwa świata przygotowanego. Raz w jego rowerze, raz w pożyczonym od Marka Leśniewskiego. Jak na przygotowania do mistrzostw świata kierownica o dwa razy za dużo pęka.

Nikt mnie nie przekona, że do tego potrzebne były pieniądze, inicjatywa, pomysliwość, znajomość i Bóg wie co jeszcze. Do tego, aby kierownice nie pękały kolarzom w czasie jazdy potrzebna jest dobra praca, dokładna kontrola, wystarczająca ilość sprawdzianów. A przecież nie tylko kolarze narzekają na zię rzutki nasi strzelcy, kilingi naszych szpadzistów, niebezpieczeństwem partnerom naszych szermierzy. Nasze szymbowce...

Pamiętam takie czasy, gdy chwalił się jakością naszych szymbowców, gdy były one poszukiwane, gdy nasi szymbownicy przywozili diamenty z szymbowców mistrzostw. We Włoszech na mistrzostwach świata nasi szymbownicy mogli tylko piakać. Ich szymbowce, które kiedyś cieszyły się taką sławą, teraz nie dotują do celu. Zie spisuja się „Krokusy”. Lepiej ponoć spisuja się szymbowce „Brawo”. Zależy to jednak od pogody. Przy gorszej pogodzie spisuja się lepiej, przy lepszej gorzej. Takie to przewrotne „ptaki”. Widać przewyżki do tego, że u nas pogoda zawsze jest gorsza.

W sporcie tak już jest, że wiele zależy od zawodnika od jego umiejętności, talentu, przygotowania, kondycji, koncentracji podczas walki sportowej. On decyduje o wyniku. Ale, aby mógł osiągnąć przyzwoity wynik musi też mieć dobry, niezawodny sprzęt. Na całym świecie specjalści wysilają się, aby zrobić taki sprzęt, który pomógłby zawodnikowi w uzyskaniu najlepszego wyniku. Tylko nasi specjalści mają to głęboko w nosie. Oni postępują w myśl zasady, że jakoś to będzie. Przy takiej zasadzie nie będzie jednak jakości sportowego sprzętu, a bez tego dobrego sprzętu, i do kogo tu mieć różnicę pretensje?

BOGDA MADEJ

4

Sport

Jakość to nie będzie

Kolarze Ryszarda Szurkowskiego — gratulacje z powodu znalezienia się na krajowej liście kandydatów na posłów — przywrócił zainteresowanie kolarstwem. Dzięki ich wspaniałemu zwycięstwom ludzie interesowali się również Wyścigiem Dookoła Polski. Wprawdzie ta gonitwa cyklistów zawsze miała mniejszą rangę, ale tym razem ludzie tłumnie wylegali na trasę, aby zobaczyć naszych wspaniałych kolarzy. Ludzie mają bowiem nadzieję, że nasi chłopcy ścigają się na rowerach pokazując na mistrzostwach świata, co potrafia i znów nam będzie przyjemnie. Znowu poczujemy się, że my nie gorszy od innych.

CHŁOPY SA CHĘTNI DO POKAZANIA, STARAJĄ SIĘ, ĆWICZĄ, TRENUJĄ, ŚCIGAJĄ SIĘ, ALE MOŻE IM TO NIE WYJŚĆ. WYŚCIGI MAJĄ TO DO SIEBIE, ŻE WYGRYWA LEPSZY. ALE TEN LEPSZY, ŻEBY MOGI WYGRAĆ MUSI MIEĆ TEŻ DOBRY SPRZĘT. MAŁO TEGO — MUSI GO W OGÓLE MIEĆ. NASZA KOLARSKA RZECZYWISTOŚĆ JEST NATOMIAST TAKA ŻE — JAK OŚWIADECYŁ PREZES PZKOL — DR ZBIGNIEW RUSIN — KOLA-

Wielki las

(7)

ZBIGNIEW NIENACKI

Tego dnia Maryn już nie pojechał do lasu. Usiadł na ławeczce na podwórzu i rozmyślał o czymś patrząc na sad i jezioro. A Horst Sobota doszedł do wniosku, że Józef Maryn stoczył pierwszą swoją potyczkę z szatańskimi mocami lasu. Wziął mundurową kurtkę Maryna i starannie ją zacerował zielonymi niciami. A jeszcze później pospieszył do wsi, kupił kurę, oskubał ją i przed wieczorem zaprosił Maryna na tusty rosół. Chciał, aby Maryn był silny. Podczas obiadu poprosił Maryna, żeby mu mówił „ty”. Maryn kiwnął głową i też poprosił Sobotę, żeby mu mówił „ty”, to jest nazywał „Józwa” tak, jak wolano na niego w domu, gdy był małym chłopcem.

— Mielśmy też duży sad — opowiadał. — O tej porze roku już przekwitła, ale tutaj jest północ i wszystko dzieje się później. Grusze kwitły na biało, jabłonie na różowo, różowe kwiaty miały wiśnie. Gdy byłem mały musiałem obcinać wczesną wiosną uschnięte gałęzie i takie gałązki, które się ze sobą krzyżują. Lubię sady, Horście, bo przypominają mi dzieciństwo. Czy zakładasz lepiane się opaski? A może robisz opaski ze zwykłego towotu? One też dobrze chwytają pelzające robactwo.

— Robię i jedno, i drugie — odparł Sobota i poczuł znowu radość w swoim sercu. — Zakładam opaski ze słomy i papieru falistego. Zakładam opaski lepowe. Opylam też sad różnymi chemicznymi środkami jak każda współczesna nauka, ale nie gardzę starymi sposobami. Dla zwalczania bawełnicy korówki dobrze jest osiedlić na drzewach jej wroga, osca korówkowego. Przeciwno owocówkom śliwkowcówkom i owocówkom jabłkowcówkom dobry jest ich wróg, kruszynka. Myślę, że i trzy leśne szatany mają swoich naturalnych wrogów, ale ja ich nie znam. A może ty, Józwa, o nich słyszałeś?

— Niewiele wiem o lesie. Mówiłem ci to już — zaznaczył Maryn.

— Tak. Dlatego bądź ostrożny. Las bywa zdradliwy. Mnie zabrali żonę i dwoje dzieci, a potem drugą żonę i syna. Ostatnio znowu bardzo mnie skrzywdził, a jak to uczynił, kiedyś ci opowiem. Trzy są bowiem niemożliwe leśne siły: biocenoza, ekosystem i klimaks leśny.

— A ludzie? Leśni ludzie? — spytał Józwa Maryn.

— Ludzie wchodzi za skład klimaksu leśnego. Są okrutni, bo las zabrali im dusze. Leśnych ludzi strzeż się najbardziej.

— Wiem o tym — kiwnął głową Józwa. — Dlatego chciałbym mieć psa. Tobie i mnie przydałby się pies. Któregoś dnia pojedę do miasta i kupię szczeniaka. Nauczmy go polować na leśnych ludzi.

— Potrafisz tresować psy?

— Umieję tresować ludzi. Myślę, że z psami jest łatwiej.

— Nigdy nie widziałem wytresowanych ludzi — zachichotał Sobota i w tym uśmiechu pokazał bezębne usta.

— Naprawdę? — zdziwił się Maryn. — Przecież prawie wszyscy ludzie są przez kogoś wytresowani. Co chwila stają na tylnych łapkach, dwie przednie błagalnie do kogoś wyciągają, rzucają się na rozkaz i chwytają za gardło. Na rozkaz też stają się posłuszni, warują, czolgają się. Skomla, gdy im się pokaże bat albo są głodni. Niestety, są gorsi od psów. Potrafią ugryźć rękę swojego pana, wprowadzić go na fałszywy trop. Ty o tym nie wiesz Horście, ponieważ zdaje się, nikomu nie dałeś się dobrze wytresować.

— Próbowałem... — powiedział w zamysleniu Horst.

— Ja też przeszedłem długą tresurę — uśmiech zniknął z warg Maryna.

Nagle Maryn znowu rozemniał się bardzo pogodnie, jak gdyby przypomniał sobie coś naprawdę zabawnego.

— Czy znasz, Horst, leśniczego Tarchońskiego? Tego, który otrzymał niedawno leśnictwo Janowiec, gdzieś w głębi lasu. Inżynier z Warszawy. Przyjechała do niego żona, też z Warszawy, zobaczyła leśniczkę, rozbechała się i powiedziała, że w lesie mieszkać nie będzie, ponieważ nie potrafi być bez oglądania wystaw sklepowych. Byłem właśnie u nadleśniczego Mastocho, gdy on wszedł z podaniem o przeniesienie go ze względu na żonę do pracy w Nadleśnictwie w Bartach.

— Tak, znam tego młodego człowieka. Ma wielką szepę włosów na głowie, nosi grube okulary i jest bardzo wysoki. Oglądał z leśniczym Stęborkiem mój dom i namawiał mnie do sprzedaży.

— Gdy wszedł do gabinetu nadleśniczego był taki małutki, że ledwie sięgał do klamki. Zrobił się z niego karzełek. Mastocha dobrze ich tresuje. Z dużego psa nie zrobisz małego, a z człowiekiem coś takiego może się stać. I to mnie śmieszy, Horście.

— O psa się nie martw. Nie musisz kupować szczeniaka. Wiem o półtorarocznym owczurku, którego ma pewien rolnik w sąsiedniej wsi. Nienawidzi leśników, bo kiedyś urwał się z łańcucha, pobiegł do lasu i tam go któryś z leśnych ludzi zranił strumieniem. Chłop trzyma go przy budzie i pies zrobił się prawie dziki. Kupię go od niego. Każę go przywieźć i zamknę w wybiegu dla kur. Ale pamiętaj, że jeśli się stamtąd wyrwie, poprzegryza nam gardła. Ty go będziesz musiał wytresować. Czy robiesz to już kiedyś?

— Tresowałem ludzi. Myślę, że psy tresuje się tak samo — oświadczył Maryn.

Podziękował Horstowi za obiad, zderemnął się trochę w swoim pokoju, a potem o zmroku poszedł do leśniczówki Kuleszy, aby wytłumaczyć się, dlaczego zrezygnował z mieszkania u niego.

U Stefana Kuleszy stały na stole trzy półlitrowki, półmiski z pokrojoną kiełbasą, waza z kiszonymi ogórkami, sterta pokrojonego chleba. Za stołem oprócz Kuleszy zobaczył Maryn leśniczego Tarchońskiego, gajowego Wzdregę z poślizgią i pobrudzoną twarzą oraz traktorzystę obsługującego leśną maszynę, która swoimi potężnymi pazurami potrafiła przenosić ogromne pnie, wyrwać drzewa z korzeniami.

— Kończymy przygotowanie gruntu pod sadzenie plantacji — wyjaśnił Marynowi Kulesza. — Niech pan siada z nami i wypije za nowy las.

— I za mój awans — powiedział Tarchoński, poprawiając okulary na nosie. — Wkrótce dostanę dekret na nadleśniczego terenowego i przeniosę się do bloków w Bartach.

Nadleśniczy terenowy to nie była wielka władza. Takich nadleśniczych miał Mastocha ze czterech, co w rodzaju donosićeli, którzy jeździli po leśnictwach i weszli zło. Stworzyła ich kolejna reorganizacja i zapewne kolejna miała ich usunąć. Ale Tarchońskiemu chodziło o dodatkowy pasek na czapce i mieszkanie w blokach zbudowanych przez nadleśnictwo.

Traktorzysta Budrys — niski, krępy, z błyszczącymi oczami alkoholika — już był pijany, choć zapewne niewiele wypił. Policzki, szyje i kark miał aż czarne od słońca i wiatru, ale czło biułek jak półdupek niemowlaka. Chyba jedynie do spania i siadania przy stole zdejmował swoją wyszarganą wełnianą czapkę pod kask. Mieszkał w Dolinie, w tej samej wiosce, z której pochodził Zenon Karaś, nowy przyjaciel Maryna. To o nim donosił mu już Karaś, że zakłada siodła w rezerwacie ptasim na jeziorze Tuby w samym sercu lasu.

— Pan się wywyższa, panie Maryn — bełkotał traktorzysta Budrys. — Jezusi pan na swoim koniu jak hrabia. I po co? Złapał pan jakiegoś kłusownika?

Kulesza krzyknął w otwarte drzwi do drugiego pokoju:

— Weronika, podaj krzesło dla pana Maryna...

Żona Kuleszy wyniosła stołek z sypialni, skąd Maryn słyszał skrzywienie łózka. Może to ten stołek się przewrócił, gdy na nim dokazywali? Twarz młodej kobiety wydawała się chmurna, czarne brwi ściągnięta nad nosem, patrzyła wrogo na stół z wodką.

Maryn nie chciał się wywyższać. Pragnął wtopić się w zieleń lasów, zieleń leśnych mundurów. Wziął do ręki napełniony dla niego kieliszek z grubo rżniętego szkła, powiedział: „Wasze zdrowie. Za awans, panie inżynierze. Za plantację, panie inżynierze”. I wypił, oclerając usta wierzchem dion.

— Przeniosł się pan od nas, ale to i lepiej — rzekł Kulesza.

— Pokój będzie nam potrzebny, gdy w przyszłości urodzi się dziecko Weroniko, napij się z nami.

— Nie chcę — gniewnie odburknęła młoda kobieta i zniknęła w drzwiach sypialni.

Tarchoński znowu poprawił okulary i poklepał Kuleszę po plecach.

— Moja żona jest już w ciąży. Dlatego uparła się do miasta,

dół do kuchni. Była w szlafroku i gdy ich mijali zobaczyli jej śladę uda.

— Dobra jest — emoknął Kulesza, kiedy zniknęła za drzwiami.

— Dobrze się ją zatawia. Tylko, że się zmarowiała.

— Niezwyczajna — zaczął Wzdregę.

Kulesza uderzył pięścią w stół aż podskoczyły puste butelki i talerze po ogórkach i kiełbasie.

— Myślicie, że nie wiem, co się o niej mówi? Ze pięciu czy sześciu miało ją na rzebie. Spła się jak świnią, a teraz nawet kieliszka nie chce wziąć do ust. Nie wypije z własnym mężem i jego przyjaciółmi.

— Wywyższa się — bełkotliwie rzekł Budrys.

— Z łózka mnie zrzuciła. Z siebie. O małe kregosłupa nie złamałem — twarz Kuleszy stała się czerwona ze złości.

Weszła Weronika z pełną butelką wódki w ręku. Postawiła ją na stole, nie patrząc na żadnego z nich. Chciała odejść, ale Kulesza złapał ją w pól.

— Napij się z nami — rozkazał.

Wyrwała się mu jednym silnym szarpnięciem, ale jemu pozostał w dłoni rozwiązany pasek szlafrocka, który rozchylił się obnażając jej goły brzuch i trójkąt czarnego lona. Osłoniła się zaraz wstydliwie i chciała wbiec do sypialni. Kulesza był jednak szybszy, dogonił ją i chwycił w pasie.

— Przytrzymaj ją, Tarchoń! — wrzasnął. — Ja ją rozumu nauczę.

Tarchoński nie od razu wstał z krzesła. Kobieta szarpała się z mężem jak z obcym człowiekiem. Palce wpiła w policzki Kuleszy, czarne gęste włosy zasłaniały jej twarz, to znów odsłaniały, a wtedy Maryn widział jej oczy — przerażone, rozgniewane, podobne do oczu rozwścieczonego dzikiego zwierzęcia.

Pierwszy podniósł się Budrys i w swoje brudne łapska chwycił ręce kobiety, a potem oderwał je od policzków Kuleszy.

— Pomóżemy panu, panie leśniczy. Tak zrobimy jak z moją kobietą.

Wstał Tarchoński. Kulesza przewrócił żonę na wersalkę, która stała pod ścianą pokoju. Szlafrok był rozchyłony, kobieta leżała naga, duże ciężkie pierśi zakrywała dłońmi, później dłońmi zakryła podbrzusze. Ugryzła Budrysa w rękę, odepchnęła męża i już zrywała się z wersalki, gdy podbiegł Tarchoński i Wzdregę. Złapał ją, przytrzymał ramiona, Wzdregę zadził jej do góry brodę, żeby nie mogła gryźć. Budrys oderwał jej dłoń od łona, ciekawie zaglądając między nogi. Kulesza rozsunał suwak rozporka, niemrawo wyjmując z niego sznoka.

— Stoł — zachichotał radośnie.

Budrysowi ślina poleciała z ust. Obliznął się i zamruczał:

— Dalej, panie leśniczy. Do roboty.

Weronika szarpała się, trzymała ją jednak mocno. Usiłowała zacisnąć uda, lecz Budrys swoimi silnymi dłońmi rozchylił jej kolana tak szeroko aż w czerni gęstych włosów pokazała się różowa szpara. Wtedy Kulesza ugiąłwszy nieco nogi w kolanach wsadził w nią swoje sterczące prącie i zaczął rytmicznie poruszać tyłkiem.

Maryn wrzucił niedopalonego papierosa do kieliszka z resztką wódki i wyszedł z pokoju. Zbiegł po schodach na dół, na podwórzu odetchnął ostrym, niemal mroźnym powietrzem wiosennej nocy. Było ciemno, ale płaszczyzna drogi rysowała się jaśniejszą smugą. Ruszył przed siebie zupełnie nieczuły na to, co działo się u Kuleszy. To były sprawy między mężem i żoną, nie musiało go to obchodzić, a nawet nie powinno. Pozostawał tu obcy, nie przybył, aby kogokolwiek pouczać. Zresztą, może tej kobiecie to się właśnie należało? Po co wychodziła za męża z tego głupca z wąsikami i krągłą dobrze wypasioną buźką? Może też to samo polubił, co polubiła żona Tarchońskiego? On, Józef Maryn miał własne kłopoty. Budrys musi być schwytyany przez soczewkę aparatu fotograficznego i przestanie być podejrziwy. Maryn go wytrzesuje, może chodzić na dwóch łapach i skamlać, kłekać to na jedno, to na drugie kolano. Gwałt na własnej żonie? Nie ma czegoś takiego. Gwałcą swoje żony ludzie subtelni aż do wymiotów. To, co się stało w leśniczówce Kuleszy nie nie obchodziło Maryna, choć być może zaciekawiliby Ivo Bundera, gdyby oczywiście Bunder był w jego sytuacji. Ivo Bundera interesował seks, można powiedzieć, był nawet specjalistą w tej dziedzinie. W wielkich miastach znał wszystkie dzielnice będące kupą łajna. Szczególnie lubował się Bunder w odwiedaniu domów dla klientów o bardzo dziwnych upodobaniach, był w knajpkach, gdzie pod ogromną narzuconą na stół serwetą mali chłopcy i małe dziewczynki grzebały w rozporkach i majtkach, zajętych pićm mężczyznom i kobiet. „Ty nawet nie wiesz, ilu można tam spotkać ciekawych ludzi” — tłumaczył Bunder. Sam brzydził się tym wszystkim i żartobliwie twierdził, że z powodu tego brudu, w jakim grzeźnie, nie może dupczyć własnej żony. Józefa Maryna interesował hazard, alkoholizm i narkomania. To aż dziwne, w ilu ludziach drzemie żądza hazardu, w ilu ubikacjach różne piękne i bogate kobiety wstrzykują sobie różne świństwa, ilu jest pijaków, którzy mają jakąś tam władzę albo dostęp do jakichś tam tajemnic. Maryn wiele nocy spędził w domach gry, na alkoholowych orgiach, choć sam, poza papierosami z marihuana, niczego nigdy nie próbował, a alkohol budził w nim wstręt, podobnie jak seks powodował wstręt u Bundera. Ale taki mieli zawód. Jakis dziennikarz, co to ręce miał zapewne aż po łokcie umazane w drukarskiej farbie nazwał takich jak oni „chłopcami od brudnej roboty”. Robota była czysta, w białych rękawiczkach, delikatna.

CDN

bliziej lekarzy. A tobie, jak mówiłeś, żona nie chce dawać. Jak zrobisz jej dziecko?

Gajowy Wzdregę dotknął wskazującym palcem swój nos podobny do łuszczonego się, prochniętego sosnowego sęka. Palec ten miał sękaty, z grubą brązową narośnią paznokcia.

— Wziął pan sobie za żonkę porządną kobietę, panie leśniczy — stwierdził. — Porządną kobietą niezwykłą tych rzeczy. Przywyknąć musi.

Tarchoński uśmiechnął się, lecz natychmiast odwrócił twarz do ściany, aby ukryć uśmiech. Zakłopotany, że być może Kulesza zauważył ów uśmiech, znowu poprawił okulary a potem rozlał wódkę do kieliszków.

Kulesza zacisnął usta, poglaskał swoje wąsiki. Może ta kobieta w sypialni nie była aż tak porządna jak to sugerował Wzdregę i o tym właśnie pomyślał Tarchoński? Pijany Budrys rzekł niewyraźnie:

— Z każdą jest tak samo. Z początku nie chcą dawać. Ale przyszli do mnie koledzy, położyli moją babę na łóżku i powiedzieli: „bierz, bo to twoje”. Przytrzymali babę i zrobiliem co trzeba.

— To jest po męsku — przytaknął Wzdregę.

— Moja żona też lubi na siłę — wstydliwie dorzucił Tarchoński.

— To prawda — Kulesza chciał się odplacić Tarchońskiemu za złośliwy uśmiech. — Widziałem jak ci kiedyś dała po gębie.

— Tak, ale nie zrozum tego źle — bronił się Tarchoński. — To tylko taka prowokacja z jej strony. Ona mi da po gębie, a potem ja jej przyłożę i wezmę na siłę. Właśnie tak lubi.

— Pan się wywyższa, panie Maryn. Nie powie nam pan jak pan bierze kobietę? Pan się ma za innego niż my, czy nie tak?

To było dziwne, ale właśnie ten prostak zdawał się wyczuwać w Marynie jakąś inność, której nie potrafili zauważyć ci dwaj wykształceni ludzie z wielkiego miasta. Byli chyba zbyt pewni swojej wiedzy, swoich tytułów, swego obycia ze światem.

Maryn poczekał aż znowu wypili, zakąślił ogórkiem.

— Ktoś mi gadał, panie Budrys, że pan zastawia siodła na ptaki na jeziorze Tuby w samym środku lasu. Nie znam dobrze tych okolic, może mnie pan tam zaprowadzi.

— Ja? — wrzasnął Budrys. — Ludzie kłamią, panie Maryn. Kłamią.

Podniósł się nieco chwiejnie ze swojego krzesła i chciał stanąć przed Marynem, chwytając mu w twarz odorem wódki i zesputych zębów, ale Maryn na to nie pozwolił. Popchnął dłoń Budrysa aż tamten usiadł.

— Spokojnie, panie Budrys — zgrzmił go Kulesza. — Siedzi pan nie wśród swoich kolegów, tylko u mnie, u leśniczego. Jeśli pan wódki nie umie pić, to niech pan sobie stąd idzie. Tu, u mnie nikt mi nie będzie szumiał oprócz drzew.

— Kłamią. Kłamią. — pomrukiwał Budrys.

Wypróbował już Maryna na swój sposób. Myślał, że ma do czynienia z eleganckim chuchrem, teraz zaś zwietrył niebezpieczeństwo i po prostaku, czujnie i chytrze, postanowił się nie odzywać.

Maryn się nudził. Oni już zaczęli bełkotliwą, pełną jakichś załóż pijacką rozmowę. O nadleśniczym Masłosze, o jego zastępcy Wojtaczku, że nie ma on żadnego wykształcenia leśnego, z awansu się wziął. Potem o premiach kwartalnych. Taką premię dostał stary leśniczy, technik z wykształcenia, jakiś Kondradt. Mówił, że ma najłatwiejsze do prowadzenia leśnictwo. Nie należała mu się, Kulesza powinien był ją dostać, bo zakłada plantację nasienną i wziął na siebie ogromną odpowiedzialność. „Nie bój się Stefan” — pokrzykiwał Tarchoński. — „Po to przyjąłem funkcję nadleśniczego terenowego, żeby nas, młodych leśników, bronić. Zobacysz jaki ogień w nadleśnictwie rozpalę i pierwszy w ten ogień rękę włożę”. A Marynowi nawet wargi nie drgnęły do uśmiechu, kiedy sobie przypomniał Tarchońskiego tak skurczonego, że ledwie klamki sięgał w drzwiach gabinetu Masłoszy. Gadali i gadali, wciąż o tym samym. O ogniu, który rozpała. Jeden drugiego nie słuchał, to samo gędzili w kółko, nawet tych samych słów używali, te same zdania płynęły im z ust. Opróżnili trzecią półlitrowkę.

— Weronika, daj nam jeszcze jedną butelkę. Jest w szafce w kuchni — zawołał Kulesza w stronę sypialni.

Kobieta w milczeniu przesunęła się przez pokój i zeszła na



Rys. Janusz Szymański-Glane